

**PATRICIA A. MCKILLIP**

# **HARFISTA NA WIETRZE**

**TOM III TRYLOGII MISTRZ ZAGADEK**

**(PRZEŁOŻYL: JACEK MANICKI)**

**SCAN-DAL**

Naznaczony Gwiazdkami, siedząc w towarzystwie Raederle na koronie najwyższej z siedmiu wież Anuin, patrzył, jak trącony czubkiem buta biały kamyczek spada ku stokowi skapanego w letniej zieleni wzgórza, na którym wznosiło się dworzyszczce. Od podnóża, aż po morze, rozciągało się samo miasto. Nad głowami mieli jasny nieboskłon, którego bezchmurny błękit mącił od czasu do czasu krążący jastrząb. Morgon od paru godzin ani drgnął. Cień jego profilu przesuwiał się wraz z porannym słońcem po zębie blanki, w strzelnicy której siedział. Zamyślony, postrzegał Raederle jedynie jako pewną cząstkę otaczającego go krajobrazu, lekkiego wietrzyka, stada kruków, które lśniącymi czarnymi smugami zakreślały zieleniące się w dali sady; jako coś spokojnego i odrealnionego, coś czego piękno przenikało raz po raz do jego podświadomości.

Tok jego rozumowania rozbijał się wciąż o zręby ignorancji. Gwiazdki, dzieci z twarzyczkami z kamienia, gorejące skorupy misy, którą rozbił w chacie Astrina, wymarłe miasta, ciemnowłosa zmiennokształtny, harfista - im więcej o tym myślał, tym więcej rodziło się nierozwiązanych zagadek. Oglądał się na swoje życie, na dzieje królestwa, wygrzebywał z przeszłości oderwane fakty i usiłował poskładać je w całość niczym odłamki rozbitego naczynia. Nic nie pasowało; nic nie trzymało się kupy; co i rusz otrząsał się z tych rozważań i wciągał w płuca aksamitne letnie powietrze.

W końcu drgnął, poruszył się sztywno, jak kamień, który postanawia zbudzić się do życia, i zakrył dłońmi oczy. Pod powiekami zatrzepotały kształty starożytnych bezimiennych zwierząt. Odpędził od siebie wszelkie myśli i wizje, te odfrunęły z powrotem na mielizny niemożliwości.

Zobaczył bezkresne błękitne niebo i labirynt uliczek w dole. Dosyć miał bicia się z myślami; oparł się o swój cień. Wniknęła weń cisza starożytnego kamienia; myśli odpłynęły, ścichły.

Jego wzrok padł na trzewiczek z miękkiej skóry, kątem oka ujrzał zieloną jak liść tkaninę. Odwrócił głowę. Na stopniu obok siedziała ze skrzyżowanymi nogami Raederle.

Nachylił się do niej i przyciągnął do siebie. Zanurzył twarz w długich, pachnących wiatrem włosach dziewczyny i poprzez zamknięte powieki ujrzał ich płonące pasma. Milczał, tuląc ją do siebie, tak jakby obawiał się niespodziewanego podmuchu wichru, który zmiecie ich oboje z tych wyżyn.

Raederle trwała przez chwilę w bezruchu, potem uniosła głowę, by go pocałować. Z

ociąganiem wypuścił ją z objęć.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś - mruknął, kiedy rozłączyły się ich usta.

- Tak podejrzewałam, kiedy przez godzinę nie raczyłeś zwrócić na mnie uwagi. O czym myślałeś?

- O wszystkim. - Wydłubał kawałek zaprawy murarskiej spomiędzy kamieni i cisnął go w dół, na drzewa. Stado kruków zerwało się do lotu z pełnym oburzenia krakaniem. - Próbuję sobie przypomnieć swoją przeszłość i wciąż dochodzę do jednego wniosku. Nie mam pojęcia, co, na Hel, robię.

Raederle podciągnęła kolana pod brodę, oparła się o kamienny murek i spojrzała na Morgona. Oczy miała pełne światła, przypominały wypolerowany przez morze bursztyn, i Morgonowi natłok słów ścisnął krtań.

- Szukasz rozwiązań zagadek - powiedziała. - Powiedziałeś mi, że tylko to ci pozostało, choć czujesz się ślepy, głuchy, niemy i zagubiony.

- Wiem. - Wydłubał spomiędzy kamieni jeszcze jeden kawałek zaprawy i rzucił go z takim rozmachem, że omal nie stracił równowagi. - Wiem. Ale jestem tu z tobą, w Anuin, od siedmiu dni, i nie znajduję powodu ani zagadki, która kazałaby mi opuścić ten dom. Nie licząc świadomości, że jeśli pozostaniemy tu dłużej, umrzemy oboje.

- Właśnie - powiedziała z powagą.

- Nie wiem, dlaczego te trzy gwiazdki, które noszę na czole, są dla mnie śmiertelnym zagrożeniem. Nie wiem, gdzie jest Najwyższy. Nie wiem, kim są zmiennokształtni, ani jak mogę pomóc obróconym w kamień dzieciom z korzeni góry. Znam zaś tylko jedno miejsce, od którego można rozpocząć poszukiwanie odpowiedzi. A nie jest to miejsce zachęcające.

- O jakim miejscu mówisz?

- O umyśle Ghisteslwchlohma.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, a potem spuściła wzrok na nagrany słońcem kamień.

- Cóż. - Głos drżał jej ledwie uchwytnie. - Zdawałam sobie sprawę, że nie możemy tu zostać na zawsze. Ale, Morgonie...

- Ty możesz tu zostać.

Uniosła głowę. Słońce znowu odbiło się w jej oczach i nie potrafił określić ich wyrazu. Ale głos miała napięty.

- Nie puszczę cię samego. Dla ciebie wyrzeknę się nawet bogactw Hel i wszystkich święt. Będziesz się musiał nauczyć żyć ze mną u boku.

- Dla mnie sama walka o utrzymanie się przy życiu jest wystarczająco trudna -

wymruczał bez zastanowienia i zaraz się zarumienił. Usta Raederle drgnęły. Wziął ją za rękę.

- Za jeden włoszek ze szczeciny srebrnego knura zabrałbym cię na Hed i spędził tam z tobą resztę życia, hodując pociągowe konie.

- Znajdę ci ten włoszek ze szczeciny knura.

- Jak zawiera się w tym kraju małżeństwa? Co mam zrobić, żeby cię poślubić?

- To niemożliwe - odparła spokojnie. Puścił jej dłoń.

- Jak to?

- Tylko król jest władny udzielać ślubu swoim dziedzicom. A mojego ojca tu nie ma.

Będziemy musieli więc poczekać, aż raczy wrócić do domu.

- Ależ, Raederle...

Rzuciła kawałkiem zaprawy w przelatującego kruka. Ptak, trafiony w ogon, zakrakał przestraszony i skręcił gwałtownie.

- Co? - burknęła ponuro.

- Nie mogę... nie mogę tak po prostu wkroczyć na ziemie twego ojca, zakłócić spokój umarłym, co zresztą uczyniłem, o mało nie popełnić morderstwa w jego sali tronowej, a potem zabrać cię ze sobą na włóczęgę po królestwie, nie pojmując cię wcześniej za żonę. Co, na Hel, pomyśli sobie o mnie twój ojciec?

- Powie ci to, kiedy się w końcu poznacie. Ja uważam, że mój ojciec dostatecznie już pogmatwał mi życie. Być może przewidział, że się spotkamy, a nawet, że się pokochamy, ale moim zdaniem nie wszystko musi być tak, jak on tego chce. Nie wyjdę za ciebie za męża, bo podejrzewam, że i to w jakimś swoim śnie przewidział.

- Myślisz, że dlatego właśnie złożył tę dziwną przysięgę dotyczącą Wieży Pevena? - spytał Morgon. - Z góry wiedział?

- Zmieniasz temat.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, rozważając tę możliwość. Pod jego spojrzeniem Raederle spłonęła rumieńcem.

- Cóż - odezwał się w końcu cicho, rzucając ich przyszłość na wiatr swawolący nad szczytem wieży - jeśli nie chcesz mnie poślubić, to nic na to nie poradzę. A skoro uparłaś się mi towarzyszyć - tak to przynajmniej zrozumiałem - to nie będę cię od tego odwoził. Zbyt cię pragnę. Ogarnia mnie jednak przerażenie. Wydaje mi się, że większą szansę na utrzymanie się przy życiu mielibyśmy, skacząc z tej wieży. A przynajmniej wiedzielibyśmy wtedy, co czynimy.

Raederle przyłożyła dłoń do kamieni, które ich dzieliły, a potem uniosła ją i dotknęła twarzy Morgona.

- Masz imię i misję do spełnienia - powiedziała. - Wierzę, że wcześniej czy później zaświta ci jakaś nadzieja.

- Jak dotąd nie zaświtała. Ty jesteś wyjątkiem. Czy poślubisz mnie na Hed?

- Nie.

Milczał przez chwilę, patrząc jej w oczy.

- Dlaczego?

Sploszona, odwróciła wzrok; wyczuł u niej nagły przyływ dziwnego podniecenia.

- Z wielu powodów. - Raederle...

- Nie. I nie pytaj o to więcej. I przestań tak na mnie patrzeć.

- Jak sobie życzysz - mruknął po chwili, a potem dorzucił: - Nie wiedziałem, że taki z ciebie uparciuch.

- Taki zakuty świński łeb?

- Taki zakuty świński łeb.

Spojrzała na niego znowu z przekornym uśmiechem, a potem przysunęła się bliżej, otoczyła go ramieniem i zwiesiła nogi poza krawędź wieży.

- Kocham cię, Morgonie z Hed. Dokąd wpraw się udamy, opuszczając granice tego kraju? Na Hed?

- Tak. Na Hed... - Wymawiając nazwę rodzimej wyspy, poczuł ucisk w sercu, jak po wypowiedzeniu zaklęcia. - Właściwie, to nie mam po co tam wracać. Ale chcę. Na kilka godzin, w nocy... będzie bezpieczniej. - Pomyślał o morzu, które dzieliło go od domu, i przeszedł go dreszcz. - Nie mogę zabrać cię na morze.

- Na Hel, dlaczego? - zachnęła się.

- To zbyt niebezpieczne.

- Bzdura. Niebezpiecznie jest w Lungold, a udaję się tam z tobą.

- To co innego. Po pierwsze, w Lungold nie umarła żadna z osób, które kochałem. Jak dotąd. Po drugie...

- Morgonie, ja nie umrę na morzu. Podejrzewam, że tak samo jak ogień potrafię też kształtować wodę.

- Ale pewności nie masz. Prawda? - Wyobraził sobie, jak pochłania ją rozkołysana woda, zlewająca się w twarz i ociekające wilgocią, błyszczące postaci, i dorzucił szorstko: - Nie miałabyś nawet czasu się o tym przekonać.

- Morgonie...

- Raederle, byłem na statku, który rozpadł się na morzu na kawałki. Nie chcę narażać w ten sposób twojego życia.

- To moje życie, nie twoje. A poza tym, szukając cię, pływałam statkami z Caithnard do Kyrth i z powrotem, i nic złego mi się nie stało.

- Byłoby lepiej, gdybyś została w Caithnard. Tylko na kilka...

- Nie zostanę w żadnym Caithnard - odparła tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Płynę z tobą na Hed. Chcę zobaczyć wyspę, którą tak kochasz. Może kiedyś, kiedy ty wyruszysz w podróż, przyjdzie mi siedzieć w chacie na Hed i czekać na ciebie, łuskając groch, tak jak czekałam już przez blisko dwa lata.

- Nie potrafisz łuskać grochu.

- Owszem, nie potrafię. Ale ty mnie nauczysz.

Ujrzał oczyma wyobraźni siebie, jak chudy, rozczochrany, ze znużoną, pustą twarzą, z wielkim mieczem u boku i wysadzaną gwiazdkami harfą na plecach, siedzi na przyzbie w Akren z misą grochu na kolanach. Parsknął śmiechem. Obserwująca go Raederle też się uśmiechnęła. Wrócił jej dobry humor.

- Od siedmiu dni się nie śmiałeś.

- Wiem. - Otoczył ją ramieniem i znieruchomiał. Wesołość zniknęła z jego oczu. Myślał o Hed, tej bezbronnej, otoczonej morzem wyspie, która nie może liczyć nawet na ochronę ze strony Najwyższego. - Tak bym chciał wzmocnić Hed, żeby nie mogły jej dotknąć żadne niepokoje na kontynencie i żeby pozostawała wolna od strachu.

- Poproś Duaca, żeby dał ci armię.

- Nie śmiem sprowadzać armii na Hed. Byłby to pierwszy krok do katastrofy.

- Zabierz więc ze sobą kilka duchów - podsunęła. - Duac chętnie się ich stąd pozbędzie.

- Duchy. - Morgon oderwał wzrok od odległych lasów i spojrzał na nią dziwnie. - Na Hed.

- Są niewidzialne. Nikt by ich nie atakował, nie widząc, z kim ma do czynienia. - Potrząsnęła z dezaprobatą głową. - Co też ja opowiadam? Wszyscy kmiecie z Hed czuliby się nieswojo, mając świadomość ich obecności.

- Chyba żeby kmiecie o nich nie wiedzieli. - Dłonie nagle mu zgrabiały przeniknięte osobliwym chłodem. - Co też ja opowiadam? - wyszeptał.

Raederle odsunęła się nieco i spojrzała mu w oczy.

- Bierzesz moje słowa na poważnie?

- Chyba... chyba tak. - Nie widział teraz jej twarzy, lecz oblicza umarłych wyrażające pełną frustracji siłę. - Potrafiłbym ich sobie podporządkować. Rozumiem ich... ich gniew, ich żądzę zemsty, ich miłość do ziemi. Mogą zabrać tę miłość i swoją tęsknotę za wojną na Hed...

Ale twój ojciec... jak mogę wyrwać część historii An i powieść ją ku czyhajacemu na Hed niebezpieczeństwu? Nie wolno mi igrać w ten sposób z prawem ziemi An.

- Duac da ci na to przyzwolenie. Co zaś do mojego ojca, to prawem ziemi interesuje się tak, jakby sam był duchem. Tylko co z Eliardem, Morgonie?

- Z Eliardem?

- Nie znam go, ale czy on... czy nie wytrąciłaby go trochę z równowagi sprowadzona przez ciebie na Hed armia umarłych?

Morgonowi zamajaczyła przed oczami na wpół zapomniana twarz brata, obecnego ziemwładcy Hed.

- Może trochę - powiedział cicho. - Ale przywykł już pewnie do tego, że co i rusz wytrącam go z równowagi, nawet we śnie. Rzuciłbym mu do stóp własne serce, gdyby to mogło zapewnić jemu i Hed bezpieczeństwo. Podyskutowałbym z nim o tym...

- Jak zareaguje?

- Nie wiem... nie wiem już nawet, czego się po nim spodziewać. - Była to bolesna myśl, myśl drażniąca niezabliźnione rany. Ale nie dał tego po sobie poznać. Wstał z ociąganiem z parapetu wieży.

- Chodźmy. Porozmawiam z Duakiem.

\* \* \*

- Bierz ich - powiedział Duac. - Wszystkich.

Zastali go w wielkiej sali, wysłuchującego skarżących się kmieci oraz posłańców od lordów An, których ziemi i życie znalazło się w zagrożeniu na skutek niepokojów i waśni wzniecanych przez umarłych. Kiedy sala wreszcie opustoszała i Morgon mógł przedłożyć swoją prośbę, Duac zrobił wielkie oczy.

- Naprawdę ich chcesz? Morgonie, toż oni zburzą spokój Hed.

- Nie, nie zburzą. Wyjaśnię im, po co tam są...

- Jak? W jaki sposób zamierzasz wyjaśnić cokolwiek umarłym, którzy toczą odwieczne boje na krowich pastwiskach i wiejskich ryneckach?

- Dam im po prostu to, czego szukają. Przeciwnika. Nie wiem jednak, Duacu, jak wyjaśnię to twemu ojcu.

- Memu ojcu? - Duac rozejrzał się po sali, przesunął wzrokiem po belkach sufitu, a na koniec we wszystkie cztery kąty. - Nigdzie go tu nie widzę. A skoro go nie widzę, to jest pewnie tak zajęty, że nie będzie miał czasu liczyć głów umarłych. Ilu ci potrzeba?

- Tyłu, ilu możesz mi dać, szlachetnie urodzonych i rycerzy, w których tli się jeszcze

iskierka wyrozumiałości. Będzie im potrzebna do zrozumienia Hed. Rood mógłby mi pomóc... - Urwał nagle, i na policzki Duaca wypłynął rumieniec. - Właśnie, gdzie jest Rood? Od paru dni go nie widziałem.

- Bo od paru dni go tu nie ma. - Duac odchrząknął. - Jakoś tego nie zauważyłeś. Bałem się, że zapytasz. Wysłałem go za Dethem.

Morgon milczał. Dźwięk tego imienia cofnął go w czasie o siedem dni, kiedy to stał w tej samej kałuży słonecznego światła i rzucał przed siebie cień na spękana, kamienną posadzkę.

- Deth - szepnął i wzdrygnął się.

- Kazałem Roodowi sprowadzić tu z powrotem harfistę; dałem mu czternastu zbrojnych. Puściłeś Detha wolno, ale ziemwładcy królestwa mają jeszcze do niego wiele pytań. Pomyślałem sobie, że zatrzymam go tutaj do czasu, kiedy Mistrzowie z Caithnard będą go mogli przesłuchać. Ja wolę się do tego nie zabierać. - Dotknął z wahaniem ręki Morgona. - Nawet byś nie wiedział, że tu jest. Dziwię się tylko, że Rood dotąd nie wrócił.

Bładość ustępowała z wolna z twarzy Morgona.

- Mnie to nie dziwi - powiedział. - Nie zazdrozczę Roodowi tego zadania. Zawrócenie Detha do Anuin nie będzie sprawą prostą. Ten harfista chadza własnymi ścieżkami.

- Zobaczymy.

- Roodowi nie uda się go tu przyprowadzić. Na próżno wysłałeś go w chaos Trzech Prowincji.

- Cóż - westchnął z rezygnacją Duac - lepiej ode mnie znasz harfistę. A Rood ruszyłby za nim, nawet gdybym go o to nie poprosił. On też ma do niego sporo pytań.

- Jemu nie zadaje się pytań mieczem. Rood powinien to wiedzieć. - Morgon usłyszał szorstką nutę, która wkradła się do jego głosu. Usunął się trochę zbyt gwałtownie z plamy światła i usiadł przy jednym ze stołów.

- Przepraszam - mruknął bezradnie Duac. - Niepotrzebnie ci mówiłem.

- Dobrze, że mi powiedziałeś. Może tylko trochę za wcześnie. - Wsparł się rękami o dębowy blat i przypomniały mu się zalane słońcem dębowe ściany Akren.

- Wracam do domu. - Te słowa ni stąd ni zowąd napełniły go zapalem. - Do domu... Duacu, potrzebne mi statki. Statki kupieckie.

- Zamierzasz przewieźć umarłych na wyspę statkami? - zdumiała się Raederle. - Zechcą na nie wsiąść?

- A jak inaczej dostaliby się na Hed? - spytał Morgon i po chwili zastanowienia,



wpatrując się w swoje odbicie w polerowanym drewnie, podjął: - Nie chcę, żebyś płynęła z nimi jednym statkiem. Tak więc... udamy się do Caithnard konno i tam się z nimi spotkamy. Zgoda?

- Chcesz wracać konno przez Hel?

- To może pofruniemy? - zaproponował, ale Raederle szybko pokręciła głową.

- Nie. Wolę już jechać konno.

Przyjrzał się dziewczynie uważniej, wychwytyjąc w jej głosie dziwną nutkę.

- Mogłabyś bez trudu przyjąć postać kruka.

- Jeden kruk w rodzinie wystarczy - odparła ponuro. - Bri Corbett wynajdzie ci statki, Morgonie. I zamustruje na nie załogi.

- Znalezienie chętnych do tego rejsu będzie kosztowało małą fortunę - zauważył Morgon, ale Duac wzruszył tylko ramionami.

- Umarli, niszcząc plony i zabijając zwierzęta, kosztowali nas już więcej. Jak, na Hel, zamierzasz nad nimi zapanować na Hed, Morgonie?

- Ze mną nie będą walczyć - odparł Morgon. Duac przypatrywał mu się przez chwilę w milczeniu jasnymi oczami koloni morza.

- Zastanawiam się - powiedział w końcu powoli - czym ty właściwie jesteś. Człowiek z Hed potrafiący poskromić umarłych z An... Naznaczony Gwiazdkami.

Morgon spojrzał na niego z osobliwą wdzięcznością.

- Gdyby nie ty, znienawidziłbym w tej sali własne imię. - Wstał. - Duacu, muszę znać ich imiona. Mogę przez wiele dni penetrować umysłem kurhany, jeśli nie będę wiedział, kogo budzę. Znam z imienia wielu królów Trzech Prowincji, ale ani jednego umarłego.

- Ja też - przyznał Duac.

- Wiem, gdzie można znaleźć te imiona - wtrąciła Raederle. - Praktycznie mieszkałam tam w dzieciństwie. Mówię o bibliotece naszego ojca.

Resztę dnia i cały wieczór Morgon z Raederle przesiedzieli w bibliotece wśród starożytnych ksiąg i zakurzonych pergaminów, Duac zaś posłał do portu po Bri Corbetta. Do północy Morgon wrył sobie w pamięć imiona niezliczonych wodzów, ich synów, członków dalekich rodzin, legendy o miłości, przekazy o krwawych watażkach i o lądowych wojnach, w które obfitowała historia An. Potem wyszedł w bezwietrzną letnią noc i udał się samotnie na błonia rozciągające się za królewskim dworem, gdzie spoczywały kości tych, którzy zginęli w bitwach pod Anuin. Tam przystąpił do apelu poległych.

Na głos i w myślach wymieniał imię po imieniu i przytaczał fragmenty legend oraz poezji, które zapamiętał. Umarli, na dźwięk swoich imion powstawali z martwych w sadach,

w lasach, spod murawy porastającej same błonia. Jedni szarżowali na Morgona z dzikim, niesamowitym wrzaskiem, a w poświęcie księżycy połyskiwały pancerze okrywające ich objedzone przez robactwo szkielety. Inni nadciągali w ciszy: ciemne, posępne postaci ze strasznymi śmiertelnymi ranami. Chcieli go przerazić, ale on patrzył na nich spokojnie oczyma, które nie takie już widziały koszmary. Próbowali go atakować, ale otworzył przed nimi swój umysł i objawił pokłady mocy, jaką dysponował. Wytrzymał ich napór i w końcu stanęli przed nim szeregami na rozległych błoniach. Podziw i ciekawość wyrwały ich ze wspomnień i zmusiły do trzeźwiejszego spojrzenia na świat, do którego zostali wezwani.

Wtedy wyjaśnił im, co od nich chce. Nie oczekiwał, że zrozumieją Hed, ale zrozumieli o co mu chodzi, zrozumieli jego gniew, rozpacz i miłość do ziemi. Złożyli mu hołd w rytuale starym jak samo An. Ich oręż zalsnił matowo w poświęcie księżycy. Potem, powoli, wtopili się z powrotem w noc, w ziemię, by czekać tam, aż ponownie ich zawezwie.

I został na pustych błoniach, wpatrzony w jedną nieruchomą, mroczną postać, która nie odeszła z innymi. Przyglądał się jej przez chwilę z zaciekawieniem, a kiedy się nie poruszyła, sięgnął sondą w jej umysł. Głowę wypełniły mu natychmiast żywotne zasady prawa ziemi An.

Serce zabiło mu mocniej. Wysoki mężczyzna w opończy z kapturem, ni to Mistrz, ni widmo, ruszył ku niemu wolnym krokiem. Kiedy był już blisko, blask księżycy wyłowił z ciemności jego rysy - ciemne brwi nad oczyma osadzonymi w umęczonej, zgorzkniałej twarzy, dziwnie przypominającej twarz Rooda. Mężczyzna zatrzymał się przed Morgonem i w milczeniu mierzył go wzrokiem.

Po chwili uśmiechnął się nieoczekiwanie, zgorzkniałość w oczach ustąpiła miejsca osobliwemu zachwytowi.

- Widuję cię - odezwał się - w snach. Naznaczony Gwiazdkami.

- Mathom. - Morgonowi zaschło w ustach. Pokłonił się królowi An, który przybył na jego wezwanie z ciemności nocy. - Pewnie... pewnie zastanawiasz się, co tu robię.

- Nie. Wyłuszczyłeś to jasno armii, którą powołałeś z martwych. Śmiało sobie poczynasz na mojej ziemi.

- Poprosiłem Duaca o przyzwolenie.

- Duac na pewno z ochotą przyjął tę sugestię. Chcesz płynąć z nimi na Hed? Dobrze słyszałem?

- Nie... Zamierzałem dotrzeć do Caithnard lądem i tam zaczekać na statki, ale teraz myślę, że byłoby chyba lepiej, gdybym popłynął z umarłymi. Żywe załogi statków lepiej by się czuły, gdybym był z nimi.

- Zabierasz Raederle na Hed?

- Nie udało mi się... nie zdołałem jej tego wyperswadować.

Król odchrząknął.

- Dziwna z niej kobieta - powiedział, przypatrując się Morgonowi przenikliwymi, zaciekawionymi oczami ptaka, tak jakby pod jego słowami szukał ukrytego znaczenia.

- Jakim widzisz mnie w snach? - zmienił temat Morgon.

- To same strzępy. Fragmenty. Dużo ci one nie pomogą, a i mnie niewiele mówią. Dawno temu śniłem, że przyszedłeś z wieży z koroną w rękach i z trzema gwiazdkami na czole... ale bez imienia. Ujrzałem cię z piękną młodą kobietą, o której wiedziałem, że jest moją córką, ale nadal nie wiedziałem, kim jesteś. Zobaczyłem... - Mathom potrząsnął lekko głową, jakby starał się pozbyć jakiejś hipnotyzującej, wzbudzającej grozę wizji.

- Co zobaczyłeś?

- Nie mam pewności.

- Mathomie. - Morgona, choć noc była ciepła, przeszedł zimny dreszcz. - Bądź ostrożny. To, co kłębi ci się w umyśle, może cię kosztować życie.

- Albo zagrozić mojemu prawu ziemi? - Król położył smukłą dłoń na ramieniu Morgona. - To możliwe. Dlatego właśnie rzadko wyjawiam swoje myśli. Chodźmy do dworu. Moim pojawieniem się wywołam tam małą burzę, ale jeśli przeczekasz ją cierpliwie, będziemy mogli potem porozmawiać. - Postąpił krok, ale Morgon ani drgnął. - O co chodzi?

Morgon z trudem przełknął ślinę.

- Muszę ci coś wyznać. Zanim wejdziesz z tobą do twojej sali tronowej. Przed siedmioma dniami wkroczyłem tam z zamiarem zabicia harfisty.

Król z cichym świstem wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Deth tam był?

- Nie zabiłem go.

- Nie wiem czemu, ale wcale mnie to nie dziwi. - Głos Mathoma był schrypnięty, przypominał chrząkanie wieprza. Wziął Morgona za rękę i pociągnął go za sobą w kierunku wielkiego, zalanego blaskiem księżyca dworu. - Opowiadaj.

Morgon wszystko mu po drodze opowiedział. Zawarł w swej opowieści nawet wydarzenia ostatnich siedmiu dni, które upłynęły mu w takiej błogości, że wydawały się nierealne. Mathom słuchał w milczeniu, od czasu do czasu wydając tylko ciche gardłowe pomruki przywodzące na myśl głos kosa. Wkraczając na wewnętrzny dziedziniec, ujrzeli drżące, spocone konie, które służba prowadziła do stajni. Spod siodła wystawały purpurowo-niebieskie derki. Były to barwy królewskiej gwardii przybocznej. Mathom zaklął pod nosem.

- Rood pewnie wrócił. Z pustymi rękami, wściekły, znękany przez widma i zdrożony.

Weszli do sali tronowej skapaniej w blasku pochodni. Rood siedział przygarbiony nad czarką wina. Na widok ojca zrobił wielkie oczy i zerwał się z miejsca. Towarzyszący mu Duac i Raederle obejrżeli się jak na komendę.

- Na Hel, gdzieś ty się podziewał?!

- Nie krzycz na mnie - odezwał się spokojnie król. - Nie mam współczucia dla głupca, który wyprawia się w ten chaos szukać harfisty.

Oniemiały Rood opadł z otwartymi ustami na ławę, a Mathom przeniósł wzrok na Duaca, który przyglądał się mu na pozór beznamiętnie. Kiedy się jednak odezwał, w jego głosie wyraźnie pobrzmiwało napięcie.

- Cóż cię sprowadza do domu? - spytał. - Spadasz z nieba jak zły omen. Nie widać po tobie, byś przejmował się zbyt z zamieszaniem, jakiego narobiłeś w ziemwładztwie.

- Bo i czym się przejmować - odparł z niewzruszonym spokojem Mathom, nalewając sobie wina. - Bardzo dobrze radziliście tu sobie z Roodem beze mnie.

- Tak uważasz? - wycedził Rood przez zaciśnięte zęby. - A wiesz, że wojna wisi na włosku?

- Wiem. I An przygotowało się do niej w zadziwiająco krótkim czasie. Nawet ty w niecałe trzy miesiące przeobraziłeś się z książkowego mola w wojownika.

Rood wciągnął powietrze w płuca, by odpowiedzieć, ale Duac wymownym gestem ścisnął go za nadgarstek.

- Wojna? - spytał z pobladłą twarzą. - Z kim?

- A kto, prócz nas, się zbroi?

- Ymris? - bąknął Duac. - Ymris? - powtórzył z niedowierzaniem.

Mathom opróżnił duszkiem czarkę wina. Wyglądał teraz starzej niż w blasku księżyca na błoniach, był posepny i zdrożony. Usiadł obok Raederle.

- Widziałem wojnę w Ymris - odezwał się cicho.

- Rebelianci opanowali już połowę wybrzeża. To dziwna, krwawa, bezlitosna wojna, która nadszarpane poważnie siły Heureu Ymrisa. Nie ma się co łudzić, że zdoła on nie dopuścić do rozlania się buntu poza granice swojego państwa. Przewidywałem taki rozwój wypadków, ale nawet ja nie mogłem wzywać Trzech Prowincji do stawiania pod broń bez podania przyczyny. A podanie przyczyny przyśpieszyłoby tylko rebelię.

- A więc zrobiłeś to celowo? - zachnął się Duac. - Zostawiłeś nas, żebyśmy sami się zbroili?

- Owszem, to było drastyczne posunięcie - przyznał Mamom - ale przyniosło

pożądany rezultat.

Zerknął znowu na Rooda, który odzyskawszy wreszcie głos, zapytał cicho: - Gdzie byłeś?

- Tu i ówdzie, zaspokajałem ciekawość.

- Na długo ściągnąłeś do domu?

- Chyba już tu zostanę. Jeśli nie będziesz podnosił na mnie głosu.

- Nie podnosiłbym, gdybyś nie był takim zakutym świńskim łbem.

Mathom popatrzył na syna sceptycznie.

- Widzę, żeś zhardział. Co chcieliście zrobić z Dethem, gdyby udało się go wam schwytać?

- Odesłałbym go za jakiś czas na okręcie wojennym do Caithnard - odezwał się po chwili milczenia Duac - żeby Mistrzowie go tam przesłuchali.

- Uniwersytet w Caithnard to nie sąd. Duac spojrział na ojca zmieszany.

- A jak ty byś postąpił? - zapytał. - Jak byś postąpił na moim miejscu, widząc, że Morgon... że Morgon zamierza dokonać samosądu na człowieku, którego w królestwie nie chroni żadne prawo, który zdradził wszystkich mieszkańców królestwa? No, jak byś postąpił?

- Sprawiedliwie - odparł cicho Mathom. Morgon popatrzył na króla i dostrzegł w jego ciemnych, zmęczonych oczach ledwie uchwytny, osobliwy ból. - Deth jest harfistą Najwyższego. Najwyższemu pozostawiłbym sąd nad nim.

- Mathomie? - odezwał się Morgon. Ale Mathom, nie zwracając na niego uwagi, wyciągnął rękę i pogładził po włosach Raederle.

- Najwyższy - mruknął Rood. Z jego tonu zniknęła wojownicza szorstkość. Słowa króla były zagadką, pełnym gorczy i rozpachy błaganiem o odpowiedź. Rood zerknął na Morgona. - Słyszałeś mego ojca. Ja nie zajmuję się już rozwiązywaniem zagadek. Ty będziesz musiał ją rozwiązać, mistrzu zagadek.

- Na to wygląda - odparł ze znużeniem Morgon. - Nie widzę innego wyjścia.

- Bawisz tu o wiele za długo - zauważył Mathom.

- To prawda. Nie mogłem wyjechać wcześniej. Ale wyruszę... - Zerknął pytająco na Duaca. - Jutro? Czy statki będą już gotowe do drogi?

Duac kiwnął głową.

- Bri Corbett powiedział, że wyjdą w morze o północy, wraz z odpływem. Jeśli mam być szczery, to dowiedziawszy się ode mnie, o co ci chodzi, powiedział o wiele więcej. Ale zna ludzi, którzy za złoto popłyną nawet z umarłymi.

- A więc jutro - mruknął Mathom. Zerknął wymownie na Morgona, a potem na

Raederle, która z naburmuszoną miną wpatrywała się w dopalającą się świecę. Dziewczyna, jakby czytając w myślach ojca, uniosła powoli wzrok.

- Jadę z Morgonem i nie proszę cię, żebyś udzielił nam ślubu. Nie zamierzasz stawiać przeszkód?

Mathom westchnął i pokręcił głową.

- Przeszkód Morgonowi? Za stary jestem i zbyt zmęczony, i pragnę tylko, żebyście w tym ogarniętym wojenną zawieruchą królestwie znaleźli spokój.

Raederle napływały do oczu łzy.

- Och, dlaczego tak długo cię nie było? - wyszeptała i Mamom przytulił ją do siebie. - Potrzebowałam cię.

Rozmawiali, dopóki świece nie wypaliły się w lichtarzach i do okien nie zajrzał szary świt. Przespali prawie cały następny dzień, a późnym wieczorem, kiedy świat znowu znieruchomiał, Morgon wezwał swoją armię umarłych do portu w Anuin.

Cumowało tam w poświęcie księżycą siedem statków kupieckich z lekkim ładunkiem wytwornych tkanin i przypraw. Morgon z głową pełną imion, twarzy i wspomnień, które czerpał z umysłów umarłych, patrzył, jak ich szeregi stają się z wolna na w pół widzialne. Nadciągali konno zbrojni i milczący, i ustawiali się w kolejce do zaokrętowania. Miasto za ich plecami spowijał mrok, maszty stojących w porcie statków to wznosiły się ku gwiazdom, to opadały w rytm falującej wody. Temu odbywającemu się w koszarnej ciszy zlotowi umarłych przypatrywali się Duac, Bri Corbett i zafascynowani marynarze pełniący nocne wachty na stojących w porcie statkach. Widmowe zastępy były już gotowe do wejścia na pokłady, kiedy Morgona wytrącił z koncentracji tętent końskich kopyt. Powracając myślami do świata żywych, zobaczył zeskakującą z wierzchowca Raederle. Zdziwił się, że dziewczyna już nie śpi. Pasemka jej włosów wymykające się spod wysadzanych klejnotami spinek lśniły w blasku palącej się w pobliżu samotnej portowej latarni. Nie widział dobrze twarzy.

- Płynę z tobą na Hed - oznajmiła. Wyciągnął rękę z pomroki dziejów, by obrócić twarz dziewczyny ku światłu. Zdumiał go malujący się na niej gniew.

- Przecież ustaliliśmy - powiedział. - Nie popłyniesz na statku pełnym widm.

- Ustaliłeś to z moim ojcem. Mnie zapomniałeś poinformować.

Przetarł grzbietem dłoni spocone czoło. Bri Corbett stał na pokładzie pobliskiego statku oparty o nadburcie, łowiąc uchem dochodzące z nabrzeża odgłosy i obserwując odpływ.

- Panie - zawołał cicho - jeśli wkrótce nie odbijemy, to siedem wypełnionych umarłakami statków utknie do rana w porcie.

- Rozumiem. - Morgon przeciągnął się, by rozprostować obolałe plecy. Raederle założyła ręce na piersi. Pochwycił w powietrzu spinkę, która wysunęła się z jej włosów. - Najlepiej będzie, jeśli udasz się do Caithnard konno i tam się spotkamy.

- Miałaś jechać przez Hel ze mną. A nie płynąć z duchami na Hed.

- Nie mogę poprowadzić armii upiorów do Caithnard łądem i ładować jej tam w porcie na statki na oczach wszystkich kupców...

- Nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że w jakikolwiek sposób będziesz chciał się dostać na Hed, ja na krok cię nie opuszczę. Rzecz w tym, że chciałaś obrać kurs prosto na Hed, a mnie zostawić w Caithnard.

- Nieprawda - zaprzeczył z oburzeniem.

- W połowie drogi wpadłoby ci to do głowy - fuknęła - a ja czekałabym na ciebie jak głupia w Caithnard. Mam na koniu juki ze wszystkim, czego mi trzeba; płynę z tobą.

- Nie. Nie zabiorę cię w czterodniowy rejs przez morze z umarłymi z An.

- Zabierzesz.

- Nie zabiorę. - Zabierzesz.

- Nie zabiorę. - Morgon, zaciskając pięści, patrzył na Raederle rozplomienionym wzrokiem. W świetle latarni widział wyraźnie jej twarz, jej błyszczące oczy, i przypomniał sobie, że niedawno spoglądała w puste oczodoły czaszki i stawiała dzielnie czoło umarłym królom. - Nie - powtórzył chrapliwie. - Nie wiem, jaki ślad mocy pozostawią umarli na wodzie. Nie wiem...

- Nie wiesz, na co się porywasz. Nie wiesz, na ile będziesz bezpieczny, nawet na Hed.

- I dlatego właśnie nie zabiorę cię na statek.

- I dlatego właśnie popłynę z tobą. Ja przynajmniej czuję morze. Urodziłam się z tym.

- I co zrobisz, jeśli ono rozerwie pod tobą drewno i rozrzuci po falach deski, przyprawy i umarłych? Utoniesz, bo obojętne jaką postać przybierzesz, ja nie będę cię mógł ocalić. I co wtedy?

Milczała. Odniósł wrażenie, że szeregi umarłych za jej plecami patrzą na niego z taką samą beznamietną nieugiętością. Odwrócił się gwałtownie, rozwierając i z powrotem zaciskając pięści. Przechwycił kpiące spojrzenie jednego z królów i zastygł. W martwych oczach widma majaczyło wspomnienie jego imienia. Po chwili sylwetka upiora zafalowała w ciemnościach; ruszył z miejsca i wjechał po trapie na statek.

Nadzorując załadunek widmowej armii na siedem statków kupieckich, Morgon stracił znowu poczucie czasu. Stulecia przepływały przez niego z cichym pomrukiem, który mieszał się z pluskiem wody oraz z głosami Duaca i Raederle rozmawiających ze sobą w jakiejś

odległej krainie. Dobrnął wreszcie do końca długiej listy imion i znowu przejrzał na oczy.

Ciemne, ciche statki kołysały się na fali odpływu. Szyprowie wydawali rozkazy przyciszonymi głosami, jakby w obawie, że zakłóca spokój umarłym. Marynarze krzatali się cicho po pokładach. Raederle i Duac stali samotnie na opustoszałym nabrzeżu i patrzyli w milczeniu na Morgona. Zszedł do nich. Słony wiatr, który niedawno się zerwał, osuszał mu spoconą twarz.

- Dziękuję za wszystko - zwrócił się do Duaca. - Nie wiem, co na to powie Eliard, ale ja nie wyobrażam sobie lepszej ochrony dla Hed. Będę spokojniejszy. Przekaż Mathomowi... powiedz mu... - zająknął się, szukając słów.

Duac położył mu dłoń na ramieniu.

- On wie. Uważaj na siebie.

- Będę uważał. - Spojrzał na nieruchomą, milczącą Raederle. Przez chwilę, milcząc, patrzyli sobie w oczy. - Do zobaczenia w Caithnard - powiedział w końcu i ją pocałował. Potem odwrócił się szybko i wszedł na prowadzący statek. Wciągnięto za nim trap; Bri Corbett czekał przy otwartym luku ładowni.

- Naprawdę chcesz odbyć tę podróż w towarzystwie umarłych? - z troską zapytał Morgona spuszczonego się po drabince do nieoświetlonej ładowni.

Morgon kiwnął bez słowa głową. Kiedy Bri zatrzasnął pokrywę luku, wyszukał sobie po omacku miejsce między belami tkanin i workami przypraw. Czuł, jak statek odbija od nabrzeża i wychodzi z portu Anuin na otwarte morze. Oparty o ścianę ładowni słyszał szum wody rozcinanej przez kadłub. Otaczali go milczący, niewidzialni umarli. Ich umysły uspokajały się w miarę, jak zostawiali za sobą swoją przeszłość. Morgon przyłapał się na tym, że mimowolnie usiłuje wypatrzeć w kompletnych ciemnościach ich twarze. Podciągnął kolana pod brodę, wsparł czoło na przedramieniu i wsłuchał się w plusk wody. Po chwili dało się słyszeć skrzypnięcie otwieranego luku.

Wciągnął w płuca długi haust powietrza i wypuścił je powoli. Zamknięte powieki przeświecił mu blask latami. Ktoś zszedł na dół po drabince, odnalazł w ciemnościach drogę przez zapchaną towarami ładownię i usiadł obok. W nozdrza uderzyła go woń pieprzu i imbiru. Luk znowu się zatrzasnął.

Wtedy uniósł głowę i odezwał się do Raederle, której obecność zdradzał jedynie cichy oddech i rześki zapach morskiego powietrza.

- Czy do końca życia zamierzasz robić mi na przekór?

- Tak - odparła wyniośle.

Opuścił głowę z powrotem na podciągnięte kolana. Po chwili wyciągnął rękę i



namacał w ciemnościach najpierw jej nadgarstek, a potem dłoń. Zapatrzony w smolisty mrok przytulił sobie tę dłoń do serca.

Do Hed dopłynęli czwartej doby nocą. Sześć statków kupieckich skręciło na zachód i weszło w kanał, by zaczekać w Caithnard; Bri skierował swój statek do Tol. Zmęczonego Morgona wyrwało z drzemki skrzypiecie, z jakim drewniana burta otarła się o nabrzeże. Usiadł prosto i znieruchomiał, wytyżając słuch. Z pokładu dobiegał głos Bri przekomarzającego się z kimś na żarty. Odsunięto pokrywę luku; oślepił go blask latami. Poczł zapach ziemi.

Serce zabiło mu mocniej. Raederle zagrzebana obok niego w stos futer, uniosła głowę.  
- Jesteście w domu, panie - oznajmił z uśmiechem Bri.

Morgon wstał i wspiął się na pokład. Z całego Tol widać było tylko garstkę domów rozsianych poza granicami cienia rzucanego przez mroczne klify. Ciepłe, nieruchome powietrze pachniało znajomo krowami i ziarnem.

Uświadomił sobie, że coś powiedział, dopiero kiedy Bri, gasząc latarnię, odparł:

- Nie ma jeszcze północy. Dopłynęliśmy szybciej, niż się spodziewałem.

Fale lizały leniwie plażę i cofały się, pozostawiając wilgotny, srebrzący się w blasku księżycy piasek. W cieniu klifów nikła biała jak kość wstęga odchodzącego od portu i biegnącego wzdłuż brzegu gościńca. Ponad klifami gościniec pojawiał się znowu, by przecinając pastwiska i pola uprawne, dotrzeć do progu Akren. Morgon zacisnął dłonie na relingu. Wspominał kręty, powikłany szlak, który przywiódł go z powrotem na Hed na statku pełnym umarłych, i ten nadbrzeżny trakt wiodący do Akren wydał mu się nagle czymś więcej niż zwyczajną drogą.

Usłyszał swoje imię wypowiedziane przez Raederle i rozluźnił ściskające reling dłonie. Na nabrzeże opadł z łomotem trap.

- Wrócę przed świtem - powiedział do Bri i dotykając majaczącego w mroku ramienia kapitana, dodał: - Dziękuję.

Zeszli z Raederle ze statku i opuścili port. Minawszy pogrążone we śnie rybackie chaty i stare, wypłowiałe na słońcu łodzie, na których spały mewy, wspięli się pogrążonym w ciemnościach gościńcem na szczyt klifu. Tu, w poświacie księżycy, pnąc się na pagórki, spływając w zagłębienia terenu, rozlewało się morze pól uprawnych otaczające ze wszech stron Akren. Noc była bezgłośna; nadstawiając ucha, Morgon słyszał wolny, spokojny oddech bydła i ciche skamlenie śniącego o czymś psa. W Akren paliło się światło. Morgon myślał, że to lampa na ganku; kiedy jednak podeszli bliżej, okazało się, że światło pochodzi z wnętrza

domu. Raederle szła obok w milczeniu, zerkając na rzędy fasoli i łany na wpół dojrzałej pszenicy ponad oddzielającymi gościnniec od pól murkami. Odezwała się dopiero wtedy, kiedy zbliżyli się do Akren na tyle, że na tle gwiazd można już było odróżnić zarysy spadzistego dachu.

- Jaki mały dom - powiedziała zdziwiona. Morgon kiwnął głową.

- Mniejszy, niż go zapamiętałem... - Gardło miał wyschnięte, ściśnięte. W jednym z okien izby ujrzał cień przesuwający się na tle płonącej świecy. Zastanowiło go, któż to siedzi w domu sam do tak późnej nocy? I nagle poczuł zapach wilgotnej ziemi, po czym niespodziewanie oplatały go korzenie; wspomnienie za wspomnieniem wypuszczały pędy i wici, którymi rozpływało się po nim prawo ziemi, aż w końcu nadeszła taka chwila, że na ułamek sekundy przestał czuć własne ciało, a jego umysł rozgałęził się korzeniami Hed na całą wyspę.

Zaparlo mu dech w piersiach. Zatrzymał się. Cień w oknie znowu się poruszył. Ktoś, zasłaniając ciałem światło, patrzył w noc; był wielki, szeroki w barach, bez twarzy. Nagle odwrócił się i pobiegł przez izbę. Jego cień przemykał przez kolejne okna. Drzwi Akren otworzyły się z hukiem; szczeknął pies. Morgon usłyszał kroki. Przecięły podwórzec i zatrzymały się w ukośnym cieniu rzucanym przez dach.

- Morgon? - Głos zabrzmiał w nieruchomym powietrzu trochę niepewnie. - Morgon! - Okrzyk ten poniósł się echem po polach, rozszczękały się zbudzone psy.

Eliard był przy Morgonie, zanim ten zdążył się poruszyć. Z tymi włosami koloru masła, potężnymi barami i oświetlaną przez księżyc twarzą do złudzenia przypominał ojca. Porwał brata w objęcia, ścisnął, pozbawiając niemal tchu, i jął walić pięściami w jego plecy.

- Nie spieszno ci było wracać do domu - wyszłochał. Płakał.

Morgona też piekły powieki. Chciał coś powiedzieć, ale słowa więzły w wyschniętej krtani. Oparł głowę na potężnym barku Eliarda.

- Uspokoisz się, ty wielka góro? - wyszeptał. Eliard odsunął brata od siebie na długość wyciągniętych ramion i zaczął nim potrząsać.

- Poczułem przed chwilą twój umysł w swoim, tak jak to odbierałem w snach, kiedy przebywałeś pod tamtą górą. - Łzy płynęły mu po policzkach. - Morgonie, tak mi przykro, tak mi przykro, tak przykro...

- Eliardzie...

- Wiedziałem, że masz kłopoty, ale nic nie zrobiłem... nie wiedziałem, co zrobić... a potem umarłeś i przeszło na mnie ziemwładztwo. Teraz wracasz, a wszystko, co miałeś, należy teraz do mnie. Morgonie, przysięgam, że gdyby istniał jakiś sposób, zwróciłbym ci

ziemwładztwo... - Urwał, bo w tym momencie Morgon ścisnął go mocno za ramiona.

- Więcej mi o tym nie wspominaj. Nigdy. - Eliard patrzył na Morgona oniemiały, a temu wydało się nagle, że ścisną w dłoniach całą siłę i niewinność Hed. - Jesteś tu u siebie. I potrzebowałem cię tutaj, żebyś zajął się Hed. Potrzebowałem bardziej niż czegokolwiek.

- Ależ Morgonie... ty też jesteś tu u siebie. To twój dom, wróciłeś do domu...

- Tak. Ale przed świtaniem znowu go opuszczę.

- Nie! - Eliard ponownie chwycił Morgona za ramiona. - Nie wiem, przed czym uciekasz, ale nie dam ci znowu odejść. Zostajesz tutaj; będziemy walczyli w twojej obronie widłami, zębami bron. Wynajmę armię...

- Eliardzie...

- Cicho! Masz w rękach siłę imadła, ale nie uda ci się już wrzucić mnie w rózę Tristan. Zostajesz tu, gdzie twoje miejsce.

- Przestań się wydierać, Eliardzie! - Morgon potrząsnął bratem, zmuszając go do zamknięcia.

I w tym momencie, pośród radosnych okrzyków i ujadania, dopadła do nich Tristan z psami. Rzuciła się w pełnym biegu na Morgona, objęła go kurczowo za szyję i wtuliła twarz w jego piersi. Obsypał siostrę pocałunkami, a potem odsunął od siebie i ujął jej twarz w obie dłonie. Ledwie ją poznawał. Coś w jego minie sprawiło, że zmarkotniała; zarzuciła mu znowu ramiona na szyję. Nagle zauważyła Raederle i podskoczyła do niej, a Morgona opadły psy. W oknach odległych chat zaczęły zapalać się światła. Morgona ogarnęła na chwilę panika. Potem po prostu zastygł jak nieruchoma wstęga gościńca pod jego nogami, jak nasączone blaskiem księżyca powietrze. Psy odskoczyły; Tristan i Raederle przerwały rozmowę i spojrzały na niego. Eliard oniemiał, zafascynowany nieruchomością brata.

- Stało się coś? - wykrztusił po chwili, odzyskując głos. Morgon drgnął, podszedł i położył mu dłonie na ramionach.

- Owszem - powiedział. - Rozmawiając tu z wami na drodze, Eliardzie, narażam was na wielkie niebezpieczeństwo. Wejdźmy wreszcie do domu.

- Naturalnie - mruknął Eliard, ale zamiast ruszyć z miejsca, przeniósł wzrok z Morgona na Raederle. W ciemnościach widać było tylko niewyraźny zarys jej twarzy i wysadzone klejnotami spinki połyskujące we włosach. Przełknął z trudem ślinę, kiedy się do niego uśmiechnęła. - Raederle z An? - spytał niepewnie.

Skinęła głową.

- Tak. - Wyciągnęła rękę i Eliard ujął ją lekko, tak jakby była ze szkła i ściśnięta silniej mogła się rozkruszyć. Odebrało mu mowę.

- Płynęliśmy razem z Raederle do Isig i z powrotem, szukając Morgona - powiedziała z dumą Tristan. - Gdzieś ty był? Skąd... - Głos dziwnie jej nagle zadrżał. - Skąd przypląnąłeś?

- Z Anuin - odparł Morgon. Zauważył w ciemnych oczach siostry iskierkę niepewności i odczytał jej myśli. - Wejdźmy do domu - powtórzył znużonym tonem. - Tam porozmawiamy.

Tristan wzięła go za rękę i w milczeniu ruszyli do Akren.

Kiedy znaleźli się w środku, Tristan skrzyła do kuchni, żeby przygotować jakiś posiłek, a Eliard zapalił pochodnie i uprzątnął z ław końską uprząż, żeby było gdzie usiąść.

Potem stanął nad Morgonem i postukując czubkiem buta w ławę, patrzył w zamyśleniu na brata.

- Wytlumacz mi wszystko tak, żebym zrozumiał - odezwał się nagle. - Dlaczego nie możesz zostać? Gdzie ci tak teraz pilno?

- Nie wiem. Nigdzie. Wszędzie, byle nie tam, gdzie akurat jestem. Pozostawanie w bezruchu to śmierć.

Eliard kopnął ławę z taką siłą, że odłupał od niej sporą drzazgę.

- Dlaczego?! - wybuchnął.

Morgon zakrył dłońmi twarz.

• - Próbuję się dowiedzieć - mruknął. - Znaleźć rozwiązanie nierozwiązanego... - Urwał na widok wyrazu twarzy Eliarda. - Wiem. Gdybym został wtedy w domu, zamiast wyprawiać się do Caithnard, to nie siedziałbym teraz tutaj w środku nocy, nie pragnął opóźnić świtu i nie bał się ci wyznać, jaki ładunek przywiozłem ze sobą na Hed.

Eliard usiadł powoli, mrugając powiekami.

- O czym mówicie? - Do izby weszła Tristan, niosąc wielką tacę z kufkami, dzbanem piwa, dzbanem mleka, świeżym chlebem, owocami, zimnymi resztkami pieczonej gęsi, masłem i serem. Postawiła ją na stole. Morgon przesunął się, robiąc jej miejsce; usiadła obok niego i rozlała piwo do kufli. Jeden podała Raederle, która niepewnie skosztowała napitku. Morgon obserwował siostrę spod oka; zauważył, że twarz jej wyszczuplała, rysy się wyostrzyły.

Tristan, marszcząc brwi, wpatrywała się w wieniec piany na piwie, czekając, aż ten opadnie i będzie można dopełnić kufel. Zerknęła przelotnie na brata i zaraz spuściła wzrok.

- Znalazłem Detha w Anuin - powiedział cicho Morgon. - Nie zabiłem go.

Tristan odetchnęła bezgłośnie, oparła dzban z piwem na kolanie, kufel na drugim i wreszcie spojrzała otwarcie na Morgona.

- Bałam się zapytać.

Dotknął palcami jej policzka; opuszczając rękę, zauważył, że Tristan sunie wzrokiem za bliznami vesty na jego dłoni. Eliard poprawił się na ławie.

- To nie moja sprawa - zaczął przyciszonym głosem. - Ale tropiłeś go przecież przez całe królestwo. - Na jego twarzy malowała się nadzieja. - Czy... czy wyjaśnił...

- Niczego nie wyjaśnił. - Morgon wziął od Tristan kufel z piwem i pociągnął długi łyk; poczuł, jak krew napływa mu do twarzy. - Tropiłem Detha przez An - podjął ciszej - i przed dwunastoma dniami dopadłem go w Anuin. Stałem przed nim w królewskiej sali tronowej i powiedziałem, że zamierzam go zabić. Potem uniosłem oburącz miecz, żeby wprowadzić swoje słowa w czyn, a on tylko stał i patrzył, nawet nie mrugnawszy. - Urwał.

- I co? - spytał ze ściągniętą twarzą Eliard.

- I... - Morgon sięgnął do wspomnień, szukając słów. - I nie zabiłem go. Jest taka stara zagadka z Ymris: Kim byli Belu i Bilo, i co ich łączyło? Otóż Belu i Bilo to dwaj ymriscy książęta, którzy przyszli na świat dokładnie w tej samej chwili, i którym przepowiedziano, że w tym samym momencie umrą. Znienawidzili się nawzajem, ale łączyło ich to, że jeden nie mógł zabić drugiego, bo wtedy sam by zginął. Eliard patrzył dziwnie na brata.

- Chcesz przez to powiedzieć, że sprawiła to jakaś zagadka? Że Deth zawdzięcza życie zagadce?

Morgon sączył w milczeniu piwo. Nie miał pewności, czy Eliard będzie w stanie pojąć cokolwiek z tego, czego on w swoim życiu dokonał. W końcu Eliard nachylił się nad stołem i ścisnął go lekko za nadgarstek.

- Powiedziałeś mi kiedyś, że mam mózg z dębowego klocka. Być może. Ale rad jestem, że nie zabiłeś Detha. Zrozumiałbym, dlaczegoś tego nie zrobił, gdybyś ty sam to rozumiał. Ale wybacz, nie bardzo już wiem, do czego zmierzasz. - Puścił rękę Morgona i podał mu gęsie udko. - Jedz.

Morgon spojrzał na brata.

- Masz zadatki na dobrego adepta sztuki rozwiązywania zagadek - powiedział cicho.

Eliard prychnął i zarumienił się.

- Nie zaciągnąłbyś mnie wołami do Caithnard. Jedz. - Odkroił cienką kromkę chleba, potem grubsze już plastry wędliny i sera, i podał to Raederle.

- Czy jesteś... zamężna? - wykrztusił, kiedy podziękowała mu uśmiechem.

Pokręciła głową, odgryzając kęs kanapki.

- Nie.

- Cóż więc... przybyłaś tu, żeby poczekać? - Nie dało się ukryć, że jest trochę zbulwersowany, ale głos miał ciepły. - Jesteś tu mile widziana.

- Nie. - Mówiła do Eliarda, ale Morgon odniósł wrażenie, że zwraca się do niego. -  
Koniec już z czekaniem.

- No to w jakim celu tu przybyłaś? - zapytał zdumiony Eliard. - Gdzie będziesz  
mieszkała? - Przeniósł wzrok na Morgona. - A co ty chcesz robić, kiedy wyjedziesz stąd o  
świecie? Masz jakieś plany?

Morgon kiwnął głową.

- Bardzo mgliste. Szukani pomocy. I odpowiedzi. Krążą pogłoski, że niedobitki  
czarodziejów zbierają się w Lungold, by rzucić wyzwanie Ghisteslwchlohmowi. Możliwe, że  
w nich znajdę sojuszników, a od Założyciela uzyskam odpowiedzi.

Eliard zerwał się z ławy.

- Dlaczego nie poprosiłeś go o nie pod Górą Erlenstar? Oszczędziłoby ci to wyprawy  
do Lungold. Masz do niego pytania. Morgonie, sęk w baryłce na piwo ma więcej rozumu od  
ciebie. Czego się po nim spodziewasz? Że potulnie ci na nie odpowie?

- Czego ty ode mnie chcesz? - Morgon wstał. Oczy mu płonęły. Nie wiedział już, czy  
dyskutuje z Eliardem, czy z nieuleczalną tępotą wyspy, na której nagle zabrakło dla niego  
miejsca. - Mam tu siedzieć i czekać, aż on zapuka do twoich drzwi i znajdzie mnie tutaj?  
Przejrzysz ty wreszcie na oczy i zrozumiesz, że ja to już nie ten sam człowiek, którego  
pamiętasz? Noszę na czole piętno trzech gwiazdek, a na dłoniach blizny vesty. Potrafię  
przybrać niemal każdą postać, jaką można określić. Walczyłem, zabijałem, o mało nie  
zabiłem znowu. Noszę imię starsze od tego królestwa, a po domu rodzinnym pozostało mi  
tylko wspomnienie. Przed dwoma laty zadałem zagadkę, i teraz miotam się zagubiony w ca-  
łym labiryncie zagadek, nie wiedząc nawet od czego zacząć, by znaleźć z niego wyjście.  
Sercem tego labiryntu jest wojna. Choć raz w życiu zainteresuj się tym, co dzieje się poza  
granicami Hed. Pijąc to piwo, prócz jego goryczki zakosztuj trochę strachu. Królestwo stoi na  
krawędzi wojny. A Hed nie ma żadnej ochrony.

- Wojna? O czym ty mówisz? Owszem, w Ymris trwają jakieś utarczki, ale tam jest  
tak zawsze.

- A wiesz, z kim walczy Heureu Ymris?

- Nie.

- On też nie. Eliardzie, wędrując przez Ymris, widziałem rebeliancką armię. Służą w  
niej ludzie, którzy już umarli, a dalej walczą, bo ich ciałami zawładnęło coś nieludzkiego.  
Jakie masz zabezpieczenie na wypadek, gdyby postanowili najechać na Hed?

Eliard odchrząknął.

- Najwyższego - mruknął i zaraz krew odpląnęła mu z twarzy. - Morgonie - szepnął.

- Tak. - Morgon zacisnął pięści. - Umarłe dzieci nazwały mnie człowiekiem pokoju, ale ja uważam, że swoimi poczynaniami wprowadzam tylko chaos. Eliardzie, rozmawiałem w Anuin z Duakem, jak zabezpieczyć Hed przed ewentualną napaścią. Zaoferował mi ludzi i okręty wojenne.

- I z nimi tu przybyłeś?

- Na statku kupieckim, którym przy płynęliśmy do Tol, oprócz zwyczajnego ładunku znajdują się zbrojni królowie i lordowie, wielcy wojownicy Trzech Prowincji...

- Królowie? - Eliard ścisnął brata za ramię.

- Rozumieją prawo ziemi i znają się na wojennym rzemiośle. Nie rozumieją Hed, ale będą za nią walczyć. Są...

- Sprowadziłeś na Hed upiory An? - wyszeptał Eliard. - Są teraz w Tol?

- Dalsze sześć statków czeka w Caithnard...

- Morgonie z Hed, czyś ty zmąsły postradał?! - Eliard wpił się palcami w ramię brata. Morgon stęzał, Eliard puścił go, odwrócił się gwałtownie i rąbnął pięścią w tacę, strącając z niej wszystko prócz dzbana z mlekiem, który moment wcześniej podniosła Tristan. Dziewczyna siedziała teraz blada, tuląc dzban do piersi, i szeroko rozwartymi oczyma patrzyła na Eliarda, który krzyczał:

- Morgonie, słyszałem opowieści o chaosie panującym w An! O zwierzętach, które przepędza się po nocach, aż padną z wyczerpania, i o plonach gnijących na polu, bo nikt nie śmie ich zebrać. I ty chcesz, żebym sprowadził to na moją ziemię! Jak możesz mnie o to prosić?

- Ja o nic nie muszę prosić, Eliardzie! - Spotkały się ich spojrzenia. Morgon, obserwując w oczach brata własną przemianę, czując, jak uchodzi zeń coś cennego, ulotnego, ciągnął nieubłaganie: - Gdyby zależało mi na ziemwładztwie Hed, mógłbym je bez trudu odzyskać. Kiedy Ghisteslwchlohm stopniowo mi je odbierał, odkryłem, że moc ziemwładztwa posiada strukturę i definicję, i znam strukturę ziemwładztwa Hed do ostatniego pędu winorośli. Gdybym chciał cię nakłonić do czegokolwiek siłą, mógłbym to uczynić, tak jak nakłoniłem do przybycia tutaj starożytnych umarłych z Trzech Prowincji...

Eliard, oparty plecami o obmurowanie kominka, gapił się na niego z otwartymi ustami.

- Czym ty jesteś? - wykrztusił, wzdrygając się.

- Nie wiem. - Morgon nie potrafił opanować drżenia głosu.

Zapadło milczenie, słychać było tylko spokojne, niczym nie zmaćcone odgłosy nocy na Hed. W końcu Eliard oderwał się od kominka, ominął Morgona i kopiąc po drodze zaściewające podłogę skorupy rozbitych naczyń, podszedł do stołu. Oparł się o blat i zwiesił



głowę.

- Morgonie - powiedział przytłumionym głosem - oni nie żyją.
- A więc w bitwie mają tę przewagę nad żywymi.
- Nie mogłeś sprowadzić tu armii z krwi i kości? Byłoby prościej.
- Sprowadzenie na tę wyspę uzbrojonych ludzi sprowokowałyby atak.
- Jesteś pewien? Jesteś pewien, że ważyliby się napaść na Hed? Czyś ty sobie aby

czegoś nie uroił?

- Być może - wyszeptał Morgon. - Pewien nie jestem już niczego. Boję się tylko o wszystko, co kocham. Wiesz, jakiej prostej, ale bardzo przydatnej umiejętności nie mogłem się za nic nauczyć od Ghisteslwhlohma pod Górą Erlenstar? Widzenia w ciemnościach.

Eliard odwrócił się do brata. Znowu płakał.

- Przepraszam, Morgonie. Krzyczę na ciebie, ale nawet gdybyś wyrwał mi z korzeniami ziemwładztwo, to dalej bym ci ślepo ufał. Zostaniesz tu? Błagam cię, zostań. Niech przychodzą do ciebie czarodzieje. Niech przychodzi Ghisteslwhlohm. Zginiesz, jeśli znowu opuścisz Hed.

-- Nie, nie zginę. - Morgon objął Eliarda za szyję i przyciągnął do siebie. - Zbyt jestem ciekawy. Umarli nie będą zakłócali spokoju twoim kmieciom. Masz na to moje słowo. Nawet nie zauważycie ich obecności. Są mi posłuszni. Pokazałem im fragment pokojowej historii Hed i przysięgli stać na straży tego pokoju.

- Podporządkowałeś sobie zmarłych królów An?
- Nigdy bym tego nie próbował, gdyby Mathom nie utracił nad nimi kontroli.
- Jak ci się to udało?
- Widzę ich oczami. Rozumiem ich. Chyba aż za dobrze.

Eliard zmierzył go wzrokiem.

- Jesteś czarodziejem - powiedział powoli. Morgon pokręcił głową.  
- Żaden czarodziej, prócz Ghisteslwhlohma, nie miał nigdy styczności z prawem ziemi. Jestem po prostu obdarzony mocą i zdesperowany. - Spojrzał na Raederle. W oczach dziewczyny, choć ta nawykła do awantur wybuchających czasami w domu ojca, malowało się teraz napięcie i niepokój. Tristan wpatrywała się w milczeniu w dzban z mlekiem. Morgon pogładził siostrę po ciemnych włosach. Podniosła na niego wzrok. Twarz miała bladą, ściągniętą.

- Przepraszam - szepnął Morgon. - Przepraszam. Nie chciałem wszczynać tu kłótni.
- Nic się nie stało - odparła po chwili. - Przynajmniej ta jedna umiejętność pozostała ci ze starych dobrych czasów. - Odstawiła dzban z mlekiem na stół i wstała. - Pójdę po miotłę.

- Ja pójdę.

Tristan uśmiechnęła się przelotnie.

- Dobrze. Ty pozamiataj, a ja przyniosę jeszcze coś do jedzenia. - Dotknęła z wahaniem blizny na jego dłoni. - Potem opowiesz mi, w jaki sposób zmieniasz postać.

Zamiótlszy podłogę, Morgon zaczął opowiadać. Obserwował przemieszany z niedowierzaniem zachwyty na twarzy Eliarda, kiedy tłumaczył, jak to jest być drzewem. Wyszukiwał w pamięci inne tego rodzaju ciekawostki, które pomogłyby im zapomnieć na chwilę o ciemnej stronie jego wędrówek. Opowiadał o przemierzaniu pod postacią vesty północnych rubieży, gdzie cały świat to wiatr, śnieg i gwiazdy. Opowiadał o zapierającym dech w piersiach pięknie Przełęczy Isig i o dworze króla-wilka, po którym przechadzają się swobodnie dzikie zwierzęta, o mgłach, głazach i moczarach Herun. I odnajdując w sobie niespodziewanie uwielbienie dla dzikich, surowych i pięknych zakątków królestwa, sam na krótką chwilę zapomniał o swoich zgryzotach. Zapomniał też o upływie czasu. Do rzeczywistości przywołał go dopiero księżyc, który, ześlizgując się po firmamencie, zajrzał przez jedno z okien. Kiedy przerwał w pół zdania opowieść, w zachwyconych dotąd oczach Eliarda pojawił się lęk.

- Zapomniałem o umarłych.

- Jeszcze nie świta - odparł Eliard, z wyraźnym trudem opanowując drżenie głosu. - Księżyc nawet nie zaszedł.

- Wiem. Ale statki stojące w Caithnard czekają na mój sygnał, by wpływać kolejno do Tol. Chcę nadzorować wyładunek. Nie obawiaj się. Nie zobaczysz umarłych, ale powinieneś być w porcie, kiedy zaczną schodzić na ląd.

Eliard wstał z ociąganiem. Twarz miał kredowobiałą.

- Ty też tam będziesz? - Tak.

Wyszli wszyscy z domu i ruszyli do Tol gościńcem, który niczym obnażone ostrze przecinał poła kukurydzy. Morgon szedł obok Raederle, trzymając ją za rękę. Wyczuwał jej napięcie i zmęczenie po długiej, niebezpiecznej podróży.

- Zamieniłam jedną rodzinę zakutych świńskich łbów na drugą... - powiedziała w pewnej chwili z uśmiechem, odgadując jego myśli.

Księżyc w trzeciej kwadrze spoglądał z nieba na Tol. Po drugiej stronie ciemnego kanału płonęło dwoje przymrużonych ślepi - ogniska ostrzegawcze na narożach portu w Caithnard. Na piasku suszyły się srebrne pajęczyny rybackich sieci; przy brzegu kołysały się małe łodzie.

- Już? - zawołał cicho Bri Corbett, wychylając się przez reling statku.

- Już - odparł Morgon.

- Mam nadzieję, że wiesz, co czynisz - wymruczał przez zaciśnięte zęby Eliard. Cofnął się przed opuszczanym na puste nabrzeże trapem tak gwałtownie, że omal nie upadł. Morgon znowu sięgnął sondą w jego umysł.

Upór, ta nieugiętość właściwa Hed zdała się uderzyć niczym kij w koniec trapu. Zacisnęła się kurczowo wokół myśli Morgona; uwolnił się od niej i przesłał do umysłu Eliarda barwne, wspaniałe i dziwaczne obrazy z historii Trzech Prowincji, które zaczerpnął z umysłów umarłych. Powoli, w miarę jak otwierał się umysł Eliarda, coś wydostawało się ze statku i wsiąkało w Hed.

Wtem Eliard zadrzał.

- Tak cicho to się odbywa - powiedział zdumiony.

Morgon ujął go pod łokieć.

- Bri popłynie teraz do Caithnard i przyśle tu następny statek. Będzie ich w sumie sześć. Ostatni Bri sam przyprowadzi i odpłyniemy nim z Raederle.

- Nie...

- Ja wrócę.

Eliard milczał. Ze statku dobiegło skrzypienie liny i drewna, dały się słyszeć rzucane cichym głosem komendy Bri. Statek odbił od nabrzeża, ciemne żagle wydeły się, chwytając wiatr. Odpłynął bezgłośnie w noc, wielki i czarny na tle połyskującej w blasku księżycy wody, pozostawiając za sobą roziskrzony ślad, który po chwili rozmył się i zniknął.

- Nigdy nie wrócisz tu na stałe - powiedział Eliard, odprowadzając statek wzrokiem.

Do nabrzeża zaczęły przybijać, jeden po drugim, kolejne okręty. Tuż przed zachodem księżycy Morgon dostrzegł na wodzie cienie zbrojnych postaci w koronach. Kiedy cumy rzucał ostatni statek, księżycy nie było już na niebie. Zmarznięta Tristan, przestępując z nogi na nogę, tuliła się do Morgona. Na tle wody, między dwoma ogniskami ostrzegawczymi, rysowała się sylwetka stojącej nieopodal Raederle. Morgon przeniósł wzrok na statek. Umarli już z niego schodzili; mroczna paszcza ładowni będzie czekała otwarta, by zabrać go z Hed. Tyle miał jeszcze do powiedzenia Eliardowi, ale widok tego okrętu nie pozwalał mu zebrać myśli. W końcu uświadomił sobie, że zostali w porcie sami; umarli wtopili się w Hed. Nadeszła pora rozstania.

Odwrócił się do Eliarda. Zbliżał się przedświt, niebo pociemniało. Nad falami zawodził cicho wiatr. Morgon nie widział twarzy brata, wyczuwał tylko jego potężne ciało i ogromną masę ziemi za jego plecami.

- Wrócę na Hed - powiedział cicho i serce mu się ścisnęło, kiedy wyobraził sobie tę

skapaną w promieniach letniego słońca krainę. - Jakoś. Kiedyś.

Eliard wyciągnął rękę i dotknął w ciemnościach jego policzka - łagodnie, tak jak to niegdyś robił ojciec. Tristan wciąż się do niego tuliła; Morgon złożył pocałunek na jej włosach. Potem zrobił krok do tyłu i znalazł się nagle sam pośród nocy, wyczuwając pod stopami drżenie desek omywanego przez fale pomostu.

Odwrócił się, nie oglądając już za siebie, wszedł po trapie na pokład i zniknął w smolistoczarnej ładowni.

Przed świtem statek dobił do cichego nabrzeża portu w Caithnard. Morgon słyszał, jak kotwica wpada z pluskiem do wody, i przez kratownicę pokrywy luku zobaczył kwadraciki perłowszarego nieba. Raederle spała. Przyglądał jej się przez chwilę z dziwną mieszaniną zmęczenia i ulgi, zupełnie jakby ocalił jakiś wielki skarb. Potem wyciągnął się na worach z przyprawami i też zasnął. Nie obudził go ani poranny portowy zgiełk, ani duchota, jaka zapanowała w południe w ładowni. Ocknął się dopiero późnym popołudniem. Otworzył oczy i napotkał wzrok obserwującej go Raederle.

Usiadł powoli. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest.

- Caithnard - powiedziała Raederle. Siedziała, obejmując rękami podciągnięte pod brodę kolana; na policzku odcisnął się jej wzór zgrzebnej tkaniny worka. W oczach miała coś, czego nie potrafił zrazu określić. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to strach. Chrząknął.

- I co teraz? - spytała cicho.

Morgon oparł się plecami o ścianę ładowni, uściśnął pokrzepiająco przegub Raederle, a potem przetrął oczy.

- Bri Corbett obiecał znaleźć nam konie. Będziesz musiała powyjmować z włosów te spinki.

- Co takiego? Morgonie, czy ty jeszcze śpisz?

- Nie. - Spuścił wzrok na jej trzewiczki. - I spójrz na swoje buty.

Spojrzała.

- No co?

- Są piękne. Ty też. To niedobrze.

- A kogo wolałbyś widzieć na moim miejscu? - spytała ironicznie. - Siwą jędzę w łachmanach?

- Nie w tym rzecz. Płynie w tobie krew zmiennokształtne; powinnaś potrafić... - Urwał, dostrzegając w jej oczach strach, oburzenie, odrazę.

- Nie - powiedziała stanowczo.

W pełni już rozbudzony zaklął w duchu i wziął głęboki oddech. Samo wspomnienie o długim szlaku ciągnącym się przez królestwo ze wschodu na zachód jego też doprowadzało na skraj paniki. Spróbował zebrać myśli, ale w dusznej ładowni nie było to łatwe.

- Podróż do Lungold zajęłaby nam mnóstwo czasu, gdybyśmy oboje jechali konno - powiedział. - Zamierzałem pozbyć się koni, kiedy tylko nauczę cię przyjmowania jakiejś

innej postaci.

- Sam sobie zmieniaj postać. Ja pojedę konno.

- Raederle, spójrz tylko na siebie - powiedział bezradnie. - Po drodze będziemy spotykać kupców z całego królestwa. Mnie nie widzieli od ponad roku, ale ciebie od razu poznają i wcale nie będą musieli pytać, kim jest mężczyzna, w którego towarzystwie podróżujesz.

- W takim razie... - straciła ze stóp trzewiczki, a następnie wyjęła spinki z włosów, które spłynęły jej gęstą falą na plecy - ...znajdź mi inne buty.

Siedziała teraz z rozpuszczonymi włosami, bosa, w suto marszczonej, bogato haftowanej sukni, i pomimo zmęczenia malującego się na bladej twarzyczce, wyglądała jak boginka z jakiejś starej ballady. Morgon westchnął i podźwignął się na nogi.

- No dobrze. Zaczekaj tu na mnie.

- Tym razem zaczekam - dobiegł go jej głos, kiedy wspinał się po drabince na pokład.

Zamienił kilka słów z Bri Corbettem, który przez cały dzień czekał cierpliwie, aż raczą się oboje obudzić. Bri znalazł już konie - stały na nabrzeżu objuczone zapasami na drogę. Były to łagodne wiejskie chabety o masywnych, ciężkich kopytach, ale niecierpliwiły się już długim postojem. Bri, do którego dotarły wreszcie implikacje tak długiej podróży, odradzał ją Morgonowi. W końcu, widząc, że jego argumenty trafiają w próżnię, zaproponował, że pojedzie z nimi.

- Proszę bardzo, jeśli tylko potrafisz zmieniać postać - ciężko westchnął Morgon.

Bri dał za wygraną. Zszedł ze statku i po godzinie wrócił z naręczem ubrań, które wrzucił Morgonowi do ładowni. Raederle obejrzała z kamienną twarzą części garderoby i wybrała z nich płócienną koszulę, ciemną spódnicę i workowatą, sięgającą kolan tunikę. Na nogi wzięła proste, ale mocne buty z miętko wyprawionej skóry. Włosy upięła w kok i ukryła je pod szerokoskrzydłym słomkowym kapeluszem. Tak odziana stanęła ze zrezygnowaną miną przed Morgonem, żeby ocenił efekt.

- Naciągnij rondo kapelusza bardziej na oczy - polecił.

Szarpnęła w dół rondo.

- Przestań się ze mnie naśmiewać.

- Wcale się nie naśmiewam - odparł z powagą. - Nie widziałaś jeszcze, na czym pojedziesz.

- Ty też zwracasz na siebie uwagę. Co z tego, że masz na sobie odzienie prostego kmiecia, skoro poruszasz się jak ziemwładca, a wzrokiem mógłbyś kruszyć kamienie.

- No to patrz - powiedział. Zastygł w bezruchu i wtopił swe myśli w otoczenie: w

drewno, w smołę, w cichy plusk wody i w przytłumione odgłosy portowego zamieszania. Imię odleciało odeń w upalne powietrze. Twarz straciła wyraz; jego oczy stały się na chwilę puste jak letnie niebo.

- Kiedy sama przestaniesz siebie zauważać, mało kto cię zauważy. To tylko jeden z setki sposobów, dzięki którym zachowałem życie, wędrując przez królestwo.

- Ledwie cię rozpoznawałam - przyznała zdumiona. - To jakaś iluzja?

- W niewielkim stopniu. To sposób na przetrwanie. Raederle milczała. Morgon widział na jej twarzy walkę myśli. W końcu odwróciła się i wspięła po drabince na pokład.

Słońce chyliło się już ku odległemu krańcowi królestwa, kiedy pożegnali się z Bri i ruszyli w drogę. Maszty statków i stopy towarów rzucały im pod nogi długie cienie. W gasnącym świetle dnia miasto wydało się Morgonowi jakieś obce; odnosił wrażenie, że wstępując na nieznaną szlak, staje się obcy samemu sobie. Prowadził Raederle na zachód labiryntem brukowanych kocimi łbami uliczek, mijając znane sobie niegdyś sklepiki i tawerny. Za miastem ulica, którą podążali, poszerzyła się, zgubiła wkrótce kocie łby, przechodząc w bity trakt, który znowu się poszerzył, pojawiły się koleiny żłobione w nim od stuleci kołami wozów, potem trakt jeszcze bardziej się poszerzył i biegł dalej przez setki mil ziemi niczyjej na zachód, by potem, na krańcu znanego królestwa skręcić na północ, ku Lungold.

Zatrzymali konie i spojrzeli przed siebie. Nad zakurzonym, szarym i nie mającym końca traktem zapadał zmierzch, blakły splecione cienie drzew. Konary dębów rosnących gęsto po obu stronach drogi łączyły się niemal ze sobą nad ich głowami. Drzewa sprawiały wrażenie umęczonych, matowe liście pokrywała patyna kurzu wzbijanego przez ciągnące tędy wozy. Wieczór był bardzo cichy; ostatni podróżni wjechali już do miasta. W dali las przechodził w szarą smugę. Z tej szarości dobiegło pohukiwanie sowy wyśpiewującej jakąś zagadkę.

Ruszyli dalej. Niebo poczerniało, wzeszedł księżyc, i na drogę, poprzez listowie, połała się mleczna poświata. Jechali tak, dopóki księżyc nie stanął w zenicie, a ich cienie schowały się pod wierzchowce. Liście zwały się przed oczyma Morgona w jedną niezmierną ciemność. Ściągnął cugle; Raederle też się zatrzymała.

Z pobliza dobiegał plusk płynącej wody.

- Przypominam sobie - powiedział Morgon; twarz miał pokrytą maską kurzu. - Zmierzając na południe od Wichrowej Równiny, przeprowaiałem się przez strumień. Płynię wzdłuż traktu. - Sprowadził konia z drogi. - Zatrzymamy się nad nim na noc.

Natrafili na strumień niedaleko od szlaku. W blasku księżyca przypominał srebrzystą wstążkę. Raederle usiadła pod drzewem, Morgon zaś rozsiadł konie i je napoił. Juki i koce

zaniósł na polankę pośród paproci. Potem usiadł obok Raederle i zwiesił głowę.

- Nie przywykłem do konnej jazdy - powiedział. Raederle zdjęła kapelusz i wsparła głowę na jego barku.

- Koń pociągowy - mruknęła.

Zasnęła na siedząco. Morgon otoczył ją ramieniem. Nasłuchiwał przez jakiś czas odgłosów nocy, ale dobiegały go tylko tajemne pomruki polujących zwierząt i łopot sowych skrzydeł. Kiedy zaszedł księżyc, jego też zmorzył sen.

Obudziły ich jasne promienie letniego słońca i przejmujące skrzypienie wozów. Posilili się, umyli i wrócili na drogę, na której panował już ożywiony ruch. Ciągnęły nią karawany wozów, kramarze na objuczonych koniach, kmiecie z pobliskich gospodarstw, zmierzający do Caithnard z płodami rolnymi i zwierzętami, lordowie z orszakami i jucznymi końmi, wybierający się w długą podróż na zachód. Morgon i Raederle niknęli w tym barwnym tłumie. Morgon nie odpowiadał na zaczepki podróżnych próbujących nawiązać rozmowę albo odburkiwał coś zniechęcająco. Raz przestraszył Raederle, obrzucając przekleństwami jakiegoś bogatego kupca, który wygłosił uwagę na temat jej twarzy. Mężczyzna zjeżył się w pierwszej chwili, zacisnął dłoń na bacie, ale spojrzawszy na połataną buty Morgona i jego brudną, spoconą twarz, roześmiał się, skłonił Raederle i ich ominął. Raederle jechała w milczeniu, ze spuszczoną głową, ściskając kurczowo cugle. Morgon, ciekaw, o czym myśli, dotknął jej ramienia. Podniosła na niego wzrok. Na jej zakurzonej twarzy malowało się zmęczenie.

- Sama tego chciałaś - powiedział cicho. Popatrzyła mu bez słowa w oczy, a potem westchnęła i zapytała:

- Znasz dziewięćdziesiąt dziewięć przekleństw, jakimi czarodziejka Madir obrzuciła człowieka, który ukradł jej jedną ze świń?

- Nie.

- Nauczę cię ich. Za sześć tygodni może ci się wyczerpać repertuar przekleństw.

- Raederle...

- Przestań mnie prosić, żebym postąpiła wbrew rozsądkowi.

- O nic cię nie proszę!

- Prosiłeś mnie wzrokiem. Przesunął ręką po włosach.

- Czasami jesteś tak nierozsądna, że przypominasz mi mnie samego. Naucz mnie tych dziewięćdziesięciu dziewięciu przekleństw. Będę miał czym zająć myśli, łykając kurz w długiej drodze do Lungold.

Milczała przez jakiś czas z twarzą skrytą w cieniu runda kapelusza.



- Przepraszam - odezwała się w końcu. - Przestraszył mnie ten kupiec. O mało się na ciebie nie rzucił. Wiem, że ściągam na ciebie niebezpieczeństwo, nie zdawałam sobie dotąd sprawy, że tak będzie. Ale, Morgonie, ja nie mogę... nie mogę...

- Tak, spróbuj uciec przed własnym cieniem. Może uda ci się to lepiej niż mnie. - Raederle odwróciła wzrok. Jechali dalej w milczeniu. Morgon patrzył na połyskujące w słońcu metalowe obręcze baryłek z winem na poprzedzającym ich wozie. W końcu osłonił dłonią oczy zmęczone tym blaskiem. - Nieważne, Raederle - podjął. - Nie dbam o siebie. Ale jeśli istnieje jakiś sposób zagwarantowania ci bezpieczeństwa, znajdę go. Jedziesz obok mnie naprawdę. Mogę cię dotknąć. Mogę cię kochać. Przez ten rok, który spędziłem w korzeniach góry, nikogo nie dotykałem. Nie widzę przed sobą niczego, co mógłbym pokochać. Martwe są nawet dzieci, które nadały mi imię. Gdybyś zgodziła się zaczekać na mnie w Anuin, zastanawiałbym się, co dla nas obojga wyniknie z tego czekania. Ale jesteś ze mną i zawracasz moje wybiegające w beznadziejną przyszłość myśli ku teraźniejszości, ku sobie - i dzięki temu znajduję jakąś perwersyjną przyjemność nawet w łykaniu kurzu na tej drodze. - Zerknął na nią. - Naucz mnie tych dziewięćdziesięciu dziewięciu przekleństw.

- Nie mogę. - Ledwie ją słyszał. - Przy tobie oduczyłam się kłąć.

Ale wydobył od niej te przekleństwa później, po południu. Przed zapadnięciem zmierzchu nauczyła go sześćdziesięciu czterech. Była to urozmaicona, drobiazgowa wiązanka, która uwzględniała wszystkie części ciała złodzieja, od włosów poczynając, a na paznokciach u stóp kończąc, a na ostatek przemieniła go w knura. Zjechali potem z drogi i zatrzymali się nad oddaloną od niej o pięćdziesiąt kroków rzeczką. W okolicy nie było ani jednego zajazdu czy wsi, więc nieopodal biwakowali też inni wędrowcy. Wieczór rozbrzmiewał wybuchami śmiechu, muzyką, w powietrzu unosił się zapach dymu i pieczonego nad ogniskami mięsiwa. Morgon odszedł kawałek w górę rzeki i złowił tam gołymi rękami rybę. Oczyszczył ją z łusek, wypchał dzikimi cebulkami i z tak przygotowaną skierował się z powrotem do obozu. Raederle wykapała się tymczasem, rozpałała ognisko i usiadła przy nim, rozczesując mokre włosy. Wracającemu Morgonowi, kiedy zobaczył ją w blasku ognia, unoszącą i opuszczającą z uśmiechem grzebień, na usta zaczęło się cisnąć wszystkich dziewięćdziesiąt dziewięć przekleństw na własną głupotę. Wyczytała to z jego twarzy, kiedy klękał obok i składał u jej stóp niczym ofiarę owiniętą w liść rybę. Przesunęła opuszkami palców po jego policzku i ustach.

- Przepraszam - szepnął.

- Za co? Za to, że słusznie postąpiłeś? Co mi przyniosłeś? - Rozwinęła z zaciekawieniem liść. - Ryba.

Morgon znowu przeklął siebie w duchu, a ona ujęła jego twarz w dłonie i obsypała go pocałunkami. Cały kurz i zmęczenie zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a przebyta droga zapłonęła w jego wspomnieniach niczym strumień jasnego światła.

Po posiłku wyciągnęli się wygodnie przy ognisku i Raederle zaczęła uczyć Morgona reszty przekleństw, które przemieniły legendarnego złodzieja w knura. Znał już wszystkie, prócz ostatnich trzech na przemianę uszu, zębów ocznych i kostek nóg, kiedy pośród nocy rozległy się ciche dźwięki harfy przemieszane z szemraniem rzeki. Morgon, słuchając ich, zapomniał o Raederle. Drgnął, kiedy dotknęła jego ramienia.

- Morgonie.

Zerwał się gwałtownie z ziemi, stanął na skraju światła rozsiewanego przez ognisko i wpatrzył się w noc. Oczy przywykały mu z wolna do ciemności; dostrzegł ogniska oświetlające ścianę gęstego lasu. Powietrze było nieruchome, głosy i muzyka ledwie tu docierały. Stłumił przemożny impuls, który kazał mu zerwać myślą struny tej harfy i przywrócić nocy spokój.

- Ty nigdy nie grasz na harfie - doleciał go głos Raederle.

Nie odpowiedział. Po chwili harfa umilkła; odetchnął powoli i odwrócił się. Raederle obserwowała go od ogniska. Nie odezwała się, dopóki znowu obok niej nie usiadł. Wtedy powtórzyła:

- Ty nigdy nie grasz na harfie.

- Tutaj nie mogę. Nie na tej drodze.

- Na drodze nie, ale na statku, gdzie przez cztery dni nie miałeś nic do roboty, też nie...

- Ktoś mógłby usłyszeć.

- W Hed nie, w Anuin, gdzie byłeś bezpieczny, nie...

- Ja nigdzie nie jestem bezpieczny.

- Morgonie - zachnęła się. - Kiedy ty się nauczysz korzystać z tej harfy? W niej zawarte jest twoje imię, może nawet twoje przeznaczenie; to podobno najpiękniejsza harfa w królestwie, a ty mi jej nawet nie pokazałeś.

Spojrzał na nią w końcu.

- Nauczę się znowu na niej grać, kiedy ty nauczysz się zmieniać postać. - Położył się na wznak. Nie widział, co zrobiła z ogniskiem, ale to nagle zniknęło, zupełnie jakby kamieniem spadła na nie noc.

Spał niespokojnie, świadom każdego ruchu wiercącej się przez sen Raederle. Ocknął się raz gotów ją wybudzić, coś wyjaśnić, podyskutować, ale powstrzymał go spokój malujący się na jej twarzy. Legł z powrotem na wznak, zakrył przedramieniem oczy i znowu zasnął.

Obudził się znowu pozornie bez żadnej przyczyny, ale coś, co usłyszał albo wyczuł, jakiś fragment snu sprzed samego przebudzenia, mówił mu, że ta przyczyna istnieje. Spojrzał na wędrujący po nocnym niebie księżyc i w tym momencie coś się przed nim podniosło, przesłaniając księżyc.

Krzyknął. Czyjaś ręka zatkała mu usta. Kopnął na oślep i usłyszał jęk bólu. Przeturlał się w bok i zerwał na równe nogi. Uderzenie w twarz odrzuciło go na pień drzewa. Usłyszał przesycony bólem i strachem krzyk Raederle. Ognisko, trącone pewnie czyjąś nogą, rozgorzało na nowo.

Płomień oświetlił kilka zwałistych postaci odzianych jak kupcy. Jeden z napastników trzymał Raederle za przeguby; stała przerażona, oślepią nagłym rozbłyskiem światła. Konie przebierały nogami, parskały, uwijały się przy nich jakieś sylwetki, rozcinając pęta. Morgon rzucił się w ich kierunku. Cios łokciem pod żebra powstrzymał go w pół kroku. Zgiął się we dwoje, wymrukując ostatkiem tchu pięćdziesiąte dziewiąte przekleństwo. Złodziej, który chwycił go od tyłu i próbował zmusić do wyprostowania się, wydał nagle zduszony okrzyk przerażenia i czmychnął między drzewa. Zbójca trzymający za ręce Raederle stęknął i puścił dziewczynę. Odwróciła się jak fryga, dotknęła go i broda mężczyzny stanęła w płomieniach. Kiedy skakał w rzeczny nurt, Morgonowi mignęła jego twarz. Konie wpadały w panikę. Wniknął w ich umysły i wypełnił je nieruchomością. Uspokoili się i stały jak wrośnięte w ziemię, nie zwracając uwagi na szarpiących za uzdy i klnących złodziei. Jeden wskoczył na konia i zaczął bić go piętami po bokach, ale wierzchołek ani drgnął. Morgon wydał w duchu bezgłośny krzyk i złodziej spadł z końskiego grzbietu. Inni odskoczyli, ale zaraz znowu z furią na niego natarli. Przygotował umysł do kolejnego krzyku, uchwycił wątki ich myśli. I wtedy coś zważyło się na niego od tyłu. To mężczyzna z rzeki wskoczył mu na plecy i obalił na ziemię. Padając, Morgon przekreślił się na wznak i zmartwił.

Twarcz była ta sama, ale nie taka sama. Znał te oczy, ale skądinąd, z innej walki. Wspomnienia toczyły zażartą dyskusję z tym, co rejestrował teraz wzrok. Miał przed sobą tę samą mięsistą, mokrą twarcz, którą okalała opalona płomieniami broda, z tym że osadzone w niej oczy były zbyt nieruchome, zbyt wyrachowane. Ktoś kopnął Morgona od tyłu w bark. Odturlał się; coś grzmotnęło go w potylicę, a może poraziło umysł, nie był pewien. I nagle na wszystkich, jak grom z jasnego nieba, spadł Wielki Krzyk. Morgon wtulił twarcz w paprocie i przywarł do rozkołysanej ziemi, trzymając się kurczowo, jak ostatniej deski ratunku, umysłowej więzi, którą nawiązał przed chwilą z końmi.

Echo krzyku zamierało powoli. Uniósł głowę. Byli znowu sami; konie stały spokojnie, nie zwracając uwagi na dobiegającą z ciemności wrzawę ludzkich głosów i kwik

przerażonych zwierząt. Raederle, krzywiąc twarz z bólu, osunęła się na ziemię obok Morgona.

- Zrobili ci coś? - spytał.

- Nie. - Dotknęła jego policzka. Syknął. - Ale ten krzyk owszem. Imponujący, jak na człowieka z Hed.

Spojrzał na nią zdumiony i znowu zastygł.

- To ty krzyknęłaś.

- Nie - szepnęła. - Ty.

- Nic podobnego. - Usiadł i ostrożnie dotknął głowy. - Na Hel, kto w takim razie wydał ten krzyk?

Raederle wzdrygnęła się i rozejrzała niespokojnie.

- Ktoś nas obserwował, może nadal obserwuje... Dziwne. Morgonie, czy ci ludzie chcieli tylko ukraść nasze konie?

- Nie wiem. - Obmacał sobie potylicę. - Nie mam pojęcia. Owszem, próbowali uprowadzić nasze konie, i dlatego tak trudno było mi dać im odpór. Za wielu ich było, żeby się z nimi bić, a byli zbyt nieszkodliwi, by ich zabijać. Nie chcę korzystać bez potrzeby ze swojej mocy, bo to zwróciłoby na nas uwagę.

- Na jednego rzuciłeś klątwę, od której całe jego ciało porosło świńską szczecina.

Morgon przystąpił do obmacywania sobie żeber.

- Zasłużył na to - mruknął. - Ale ten ostatni, który wylazł z wody...

- Ten, któremu podпалиłam brodę?

- Nie wiem. - Morgon zakrył dłońmi oczy i wyteżył pamięć. - Tego właśnie nie wiem. Nie wiem, czy człowiek, który wyszedł z wody, był tym samym, który do niej wskoczył.

- Morgonie... - szepnęła Raederle.

- Mógł uciec się do czarów; nie jestem pewien. Nie wiem. Może po prostu widziałem to, co spodziewałem się ujrzeć.

- Jeśli to był zmiennokształtny, to dlaczego nie próbował cię zabić?

- Może nie miał pewności, czy to rzeczywiście ja. Nie widzieli mnie od czasu, kiedy zniknąłem pod Górą Erlenstar. Miałem się na baczności, wędrując przez królestwo. Nie spodziewali się, że będę podróżował w biały dzień na pociągowym koniu Drogą Kupców.

- Jeśli jednak powziął jakieś podejrzenie... Morgonie, użyłeś swej mocy, uspokajając konie.

- To był prosty nakaz uciszenia się, zachowania spokoju; nie wzbudziłby w nim podejrzeń.

- Zresztą gdyby był zmiennokształtnym, nie uciekłby przed Wielkim Krzykiem, prawda? Chyba że pobiegł po pomoc. Morgonie... - Chwyliła go niespodziewanie za rękę i spróbowała postawić na nogi. - Czemu my tu jeszcze siedzimy? Czekamy, aż znowu ktoś na nas napadnie, może tym razem zmiennokształtni?

Uwolnił rękę z jej uścisku.

- Przestań, cały jestem obolały.

- To wolisz być martwy?

- Nie. - Zastanawiał się przez chwilę, wpatrzony w ciemny nurt rzeki. Zmroziła go nagle pewna myśl. - Wichrowa Równina. Rozciąga się na północ stąd... Heuru Ymris toczy tam teraz wojnę z ludźmi i półludźmi... za tą rzeką może stać armia zmiennokształtnych.

- Ruszajmy w dalszą drogę. Natychmiast.

- Czyniąc to w środku nocy, zwrócilibyśmy tylko na siebie uwagę. Lepiej będzie zmienić miejsce biwakowania. Potem poszukam tego, który krzyknął.

Przenieśli się z końmi i rzeczami dalej od rzeki, a bliżej kupieckich wozów. Potem Morgon zostawił Raederle i wyruszył na poszukiwanie tajemniczego krzykacza.

Raederle oponowała, nie chciała zostać sama.

- A potrafisz stąpać po suchych liściach tak lekko, by nawet nie zaszeleściły? - spytał cierpliwie. - Potrafisz zastygnąć w bezruchu tak, żeby nie zauważały cię przechodzące obok zwierzęta? Poza tym ktoś musi popilnować koni.

- A jeśli ci ludzie wrócą?

- A gdyby nawet. Widziałem, jak rozprawiłaś się z upiorem.

Usiadła pod drzewem, mrużąc coś pod nosem. Morgon zawahał się, bo wydała mu się taka bezradna i bezbronna.

Ukształtował swój miecz i zakrywając dłonią gwiazdki na jelcu, położył go przed nią na ziemi. Miecz znowu zniknął.

- Jest tutaj, gdybyś go potrzebowała, skryty pod iluzją. Jeśli będziesz zmuszona go dotknąć, wyczuję to na odległość.

Odwrócił się i bezszelestnie wśliznął w ciszę zalegającą między drzewami.

Las ucichł już po krzyku. Morgon przemykał od obozu do obozu, wypatrując kogoś, kto nie ułożył się jeszcze na spoczynek. Ale wszyscy podróżni spali spokojnie na wozach, albo pod namiotami, albo pod kocami przy dogasających ogniskach. Księżyc oblewał świat szaroczną mgiełką; na drzewa i paprocie kładła się osobliwa mozaika światłocieni. Wiatr zamarł zupełnie, las stał nieruchomy. Morgon przyłożył dłoń do pnia, wśliznął się myślą pod korę i wyczuł starożytny, sękaty sen drzewa. Omijając łukiem ich poprzednie obozowisko,

wrócił nad rzekę. Nic się tam nie poruszało. Wsłuchał się w szum wody i zaczął wychwytywać z niego poszczególne tony. Analizował każdy z osobna i jeden po drugim eliminował. Nie słyszał żadnych ludzkich głosów. Ruszył bezszelestnie z biegiem rzeki. Wczuwał się w powierzchnię, po której stapał, dostrajając swe myśli do nikłego ciężaru liści, do naprężeń w uschniętych gałązkach. Niebo ciemniało powoli i wkrótce przestał cokolwiek widzieć. Zatrzymał się. Zdawał sobie sprawę, że pora zawrócić, ale stał dalej nad brzegiem rzeki, patrząc w kierunku Wichrowej Równiny i wyteżając słuch, tak jakby miał nadzieję wyłowić strzępy bitewnej wrzawy z niespokojnych snów armii Heureu.

W końcu odwrócił się, by ruszyć z powrotem w górę rzeki. Zrobiwszy trzy bezgłośnie kroki, zatrzymał się, płynnie, ze zwierzęcą gracją, spowalniając swe ruchy aż do osiągnięcia całkowitego bezruchu. Między drzewami ktoś stał. Twarzy nie dało się rozróżnić. Postać przypominała półcień, podobnie jak Morgon na wpół wtopiony w noc. Czekał, ale cień się nie poruszył. Po chwili rozpląnął się w ciemnościach. Morgon miał sucho w ustach, krew pulsowała mu w skroniach. Ukształtował się w zawirowanie powietrza i cicho jak sowa, wypatrując drogi wzrokiem nocnego łowcy, poszybował między drzewami do obozowiska.

Przestraszył Raederle, zmieniając na jej oczach postać. Sięgnęła po miecz; uspokoił dziewczynę, przykucnął i wziął ją za rękę.

- Raederle - szepnął.

- Coś cię wystraszyło? - zapytała cicho.

- Sam nie wiem. Wciąż jeszcze nie wiem. Ale musimy się mieć na baczności. - Usiadł obok niej, ukształtował miecz i podniósł go z ziemi. Drugą ręką objął Raederle. - Śpij. Ja będę czuwał.

- Co nam zagraża?

- Nie wiem. Obudzę cię przed wschodem słońca. Lepiej zachować ostrożność.

- Co to da? - zapytała bezradnie. - Skoro i tak wiedzą, gdzie cię szukać: gdzieś na Drodze Kupców, na trasie do Lungold?

Nie odpowiedział, przytulił ją tylko mocniej. Złożyła głowę na jego ramieniu. Słyszając równy oddech dziewczyny, pomyślał, że już zasnęła. Kiedy jednak po długiej chwili milczenia znowu się odezwała, wyszło na jaw, że tak jak on, wpatruje się w noc.

- No dobrze - burknęła. - Naucz mnie sztuki zmieniania postaci.

Kiedy obudziła się przed świtem, zaczął ją uczyć. Słońce jeszcze nie wzeszło; otaczał ich chłodny, cichy las. Słuchała w milczeniu jego wykładu, obserwowała, jak budzi i przywabia sokoła śpiącego na wysokim drzewie. Sokół kwilił przesywającym głosem, siedząc mu na przedramieniu; był głodny i chciał polować. Morgon uciszył ptaka umysłem. Potem spojrzął na Raederle i widząc w jej oczach niepokój, zwrócił sokołowi wolność.

- Nie zmienisz postaci, jeśli nie będziesz tego chciała - powiedział.

- Ja chcę - zaprotestowała.

- Nie, nie chcesz.

- Morgonie...

Odwrócił się, podniósł z ziemi siodło i zarzucił je na grzbiet jednego z koni.

- Rozumiem - mruknął, zaciskając popręgi.

- Nic nie rozumiesz - fuknęła. - Nawet nie spróbowałeś. Poprosiłam cię, żebyś mnie nauczył, a ty obiecałeś, że to zrobisz. Zależy mi na naszym bezpieczeństwie. - Zastąpiła mu drogę, kiedy podnosił z ziemi drugie siodło. - Morgonie.

- Wszystko w porządku - powiedział, siłąc się na spokój. - Coś wymyślę.

Nie odzywała się do niego przez kilka godzin. Z początku jechali szybko, ale potem ruch na drodze wzmógł się i zwolnili, bo swoim pośpiechem zaczęli zwracać na siebie uwagę. Przejazd blokowały skutecznie stada świń, owiec i młodych białych byczków, które pędzono z odległych gospodarstw do Caithnard, przez co kupieckie wozy oraz kmieci furmanki wypełnione rzepą i kapustą wlokły się niemiłosiernie. W południe żar lejący się z nieba zamienił nawierzchnię drogi w suchy pył, którym musieli oddychać. Przed smrodem zwierząt i zgiełkiem nie było ucieczki. Kosmyki brudnych, spoconych włosów raz po raz wysuwały się Raederle spod kapelusza i lgnęły do twarzy. Zirytowana tym, zatrzymała konia, wzięła kapelusz w zęby, na oczach staruchy prowadzącej swinię na targ skrzyła włosy w węzeł i z powrotem wcisnęła kapelusz na głowę. Morgon widział to, ale nic nie powiedział. Jej milczenie zaczynało mu doskwierać tak samo jak upał i tłok na drodze. Nie wiedział już, czy dziewczyna czeka, aż on pierwszy się odezwie, czy może woli, żeby nic nie mówił; zastanawiał się, czy czasem nie żałuje, że w ogóle opuściła Anuin. Spróbował sobie wyobrazić podróż bez niej; byłby już w połowie drogi przez Ymris, lecąc do Lungold szlakiem kruków, by stanąć tam znowu oko w oko z Ghisteslwehlohmem.

Otrząsnął się z tych rozważań i rozejrzał dookoła. Wszędzie był kurz i poszarzała od

niego zieleń, widział odblaski słońca odbijającego się rytmicznie w mosiężnych kociołkach na wózku przekupnia. Otarł pot z twarzy i w tym momencie Raederle zdecydowała się przetrwać milczenie.

- Co ja źle zrobiłam? - spytała urażonym tonem. - Przecież postępowałam zgodnie z twoimi wskazówkami.

- Powiedziałaś "tak", a pomyślałaś "nie" - odparł znużony. - Dlatego się nie udało.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Co ci jest?

- Nic.

- Żałujesz, że mnie ze sobą zabrałaś. Ściągnął cugle.

- Przestanieś? Ranisz mi serce. To ty żałujesz, że się ze mną wybrałaś.

Raederle też zatrzymała konia. Na jej twarzy odmalowała się rozpacz. Patrzyli na siebie oszołomieni, sfrustrowani. Za ich plecami zaryczał muł. Ruszyli dalej w ciężkim, dusznym milczeniu, od którego, tak jak z wieży bez drzwi, najwyraźniej nie było ucieczki.

Nagle Morgon zatrzymał oba konie i sprowadził je z drogi nad brzeg rzeki. Zgiełk ścichł; powietrze było tu czystsze i rozbrzmiewało łagodnym śpiewem ptactwa. Morgon przykląkł nad rzeką, napił się chłodnej, orzeźwiającej wody, a potem obmył nią twarz i skropił włosy. Widział w nurcie odbicie stojącej nad nim sztywno Raederle. Nie odrywając od tego odbicia wzroku, przykucnął. Po chwili odwrócił powoli głowę i spojrzał na dziewczynę.

Nie wiedział, jak długo tak na nią patrzył, ale w końcu drgnęła i ukłękła obok niego.

- Jak możesz tak na mnie patrzeć?

- Wspominałem - odparł. Raederle zdjęła kapelusz. Pogłaskał ją po włosach. - Przez ostatnie dwa lata bardzo często o tobie myślałem. Teraz wystarczy mi odwrócić głowę i widzę cię obok siebie. Wciąż mnie to zaskakuje, mam wrażenie, że to jakieś czary.

- Morgonie, co z nami będzie? Boję się... tak się boję mocy, która we mnie drzemie.

- Zaufaj sobie.

- Nie potrafię. Widziałeś, jak ją wykorzystałam w Anuin. Nie byłam wtedy sobą; byłam cieniem innego dziedzictwa - tego, które próbuje cię zgładzić.

Przygarnął ją do siebie.

- Przywołałaś mnie tylko do porządku - wyszeptał. Tulił ją przez długą chwilę, potem podjął niepewnie: - Chcesz posłuchać zagadki?

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się lekko.

- Posłuchać mogę.

- Żyła sobie kiedyś kobieta, góralka z Herun imieniem Arya, która kochała zwierzęta.



Pewnego dnia znalazła maleńkie, czarne stworzonko, którego nazwy nie знаła. Zabrała je do swojej chaty, nakarmiła, zaopiekowała się nim. Stworzonko rosło i rosło. Wyrosło tak, że z chaty czmychnęły wszystkie inne zwierzęta, i zostało tylko ono, ciemne, olbrzymie, bezimienne. Snuło się po izbach za przerażoną Aryą, która nie wiedziała, co z nim począć, i bała się z nim zadrzeć...

Raederle zakryła dłonią usta Morgona i wsparła głowę na jego ramieniu. Czuł bicie jej serca.

- I co zrobiła? - wyszeptała po chwili.

- A co ty zrobisz?

Czekał na jej odpowiedź, ale nawet jeśli jej udzieliła, to szum rzeki uniósł ją w dal, zanim dotarła do jego uszu.

Kiedy wrócili na drogę, było tam już pusto i cicho. Cienie wydłużyły się, słońce chyliło się ku zachodowi i kryło za koronami drzew. Morgonowi nie podobało się to, że są sami. Nic nie powiedział Raederle, ale odetchnął z ulgą, kiedy godzinę później dogonili dużą grupę podróżnych. Ich wozy, furmanki i konie stały przed gospodą, starą chałupą wielkości stodoły z przylegającymi do niej stajniami i kuźnią. Sądząc po dolatującym ze środka gwarze i wybuchach śmiechu, przybytek był dobrze zaopatrzone i interes się kręcił. Morgon napoił konie w korycie ustawionym pod stajniami. Marzył o piwie, ale wolał nie pokazywać się w gospodzie. Kiedy wrócili na drogę, cienie już zblakły; zmierzch wisiał przed nimi niczym widmo.

Wjechali weń. Ptaki umilkły; ciszę mącił tylko stukot kopyt i parskanie wierzchowców. Minęli kilka obozowisk handlarzy koni. Ludzie siedzieli przy wielkich ogniskach, nieopodal pasły się spętane zwierzęta. Morgon przenocowałby chętnie w ich sąsiedztwie; czułby się bezpieczniej. Ale coś kazało mu jechać dalej. Ludzkie głosy ścichły, a oni zagłębiali się w zapadający zmierzch. Morgon wyczuwał niepokój Raederle, ale się nie zatrzymywał. W pewnej chwili poczuł jej rękę na swoim ramieniu i obejrzał się. Patrzyła za siebie na drogę, którą przebyli. Pobiegł za jej wzrokiem i ściągnął ostro cugle.

Jakąś milę za nimi majaczyła grupka jeźdźców. Jechali ani za szybko, ani za wolno, w sarn raz tak, jak pozwalały na to gęstniejące ciemności. Morgon obserwował ich przez chwilę w milczeniu, potem pokręcił głową i odpowiadając na nieme pytanie Raederle, mruknął:

- Nie wiem...

Szarpnął za cugle i sprowadził konia z drogi między drzewa. Posuwali się brzegiem rzeki i zatrzymali dopiero, kiedy zrobiło się tak ciemno, że nic już nie widzieli. Nie rozpalili ogniska. Posilili się suchym chlebem i suszonym mięsem. Rzeka w tym miejscu była głęboka

i wolno toczyła swe wody. Jej cichy szmer nie mógł zagłuszyć tętentu kopyt, a przecież Morgon nie słyszał, żeby jeźdźcy ich minęli. Wrócił myślami do milczącej postaci, którą widział wśród drzew, do tajemniczego krzyku, który rozbrzmiał w samą porę. Dobył miecza.

- Morgonie - odezwała się Raederle - dzisiaj ja będę czuwała. Ty nie spałeś całą poprzednią noc.

- To mi nie pierwszyna - odparł. Ale oddał jej miecz i wyciągnął się na kocu. Nie zasnął; leżał, nasłuchując i obserwując gwiazdy przesuwane się wolno po firmamencie. W pewnej chwili usłyszał znowu cichutkie pobrzękiwanie harfy. Dolatywało z ciemności, jakby się droczyło z jego wspomnieniami.

Usiadł zaintrygowany. Nie widział między drzewami żadnych ognisk; nie słyszał głosów, tylko te dziwne dźwięki harfy. Była idealnie nastrojona, miała łagodne, soczyste brzmienie, ale harfista mylił ciągle melodię. Morgon zakrył dłońmi oczy.

- Kto, na Hel... - Zerwał się na równe nogi.

- Morgonie - powiedziała cicho Raederle - na świecie są jeszcze inni harfiści.

- On gra w ciemnościach.

- Skąd wiesz, że to mężczyzna? Może to kobieta albo chłopiec, który ze swoją pierwszą harfą podróżuje do Lungold. Jeśli chcesz zniszczyć wszystkie harfy świata, to najlepiej zacznij od tej, którą nosisz na plecach, bo z nią nigdy nie zaznasz spokoju. - Kiedy nie odpowiadała, dodała: - Chcesz posłuchać zagadki?

Odwrócił się i spojrzał na ledwie widoczną w mroku sylwetkę dziewczyny i na miecz połyskujący blado w jej dłoniach.

- Nie - powiedział. Po chwili usiadł obok niej zmęczony wsłuchiwaniami się w tony znanej ymriskiej ballady, którą tajemniczy harfista tak niewprawnie grał.

- Wolałbym, żeby nękał mnie swą grą lepszy harfista - mruknął zgryźliwie i wziął miecz od Raederle. - Ja będę czuwał.

- Nie zostawiaj mnie tu samej - poprosiła, czytając w jego myślach.

- Dobrze - westchnął.

Położył sobie miecz na kolanach i wpatrywał się z napięciem w klingę, z której blask księżycy krzeszał zimne ognie, dopóki harfa nie ucichła. Dopiero wtedy odetchnął z ulgą.

\* \* \*

Od tej pory Morgon słyszał harfę każdej kolejnej nocy. Odzywała się o najdziwniejszych porach, zazwyczaj kiedy siedział i nasłuchiwał. Jej tony docierały do niego na granicy słyszalności; Raederle nie zakłócały snu. Czasami słyszał ją we śnie, a wtedy bu-

dził się zdrewniał, zlany potem, i mrugając półprzytomnie, powracał wolno z ciemności senny w rzeczywistości, w żadnej z nich nie znajdując ucieczki przed natrętną muzyką. Pewnej nocy poszedł szukać harfisty, ale zablądził między drzewami. Wracając nad ranem do obozu pod postacią wilka, spłoszył konie, a krąg ognia, którym otoczyła je Raederle, omal nie osmalił mu sierści.

Im dłużej podróżowali, tym bardziej dłużyła im się monotonna droga przez zwartą puszcę. Morgon analizował bez ustanku zasłyszane strzępy rozmów, wyrazy twarzy napotykanym ludzi, odgłosy przed i za nimi, spojrzenia, którymi od czasu do czasu obrzucały ich przelatujące ptaki. Jego niepokój rósł. Usiłował obserwować drogę przed i za sobą jednocześnie, wypatrując harfisty, koniokradów, zmiennokształtnych. Raederle słuchał jednym uchem. Kiedy pewnego razu w ogóle przestała się odzywać, uświadomił to sobie dopiero po wielu godzinach. Caithnard było już daleko i ruch na drodze zmniejszył się. Zdarzało się, że przez wiele mil nikogo nie spotykali. Ale upał nie folgował, a każdy obcy pojawiający się na drodze wzbudzał od razu podejrzenia. Jednak noce, jeśli nie liczyć natrętnych dźwięków harfy, upływały im spokojnie. W dniu, w którym Morgon uznał wreszcie, że są bezpieczni, stracili konie.

Tego wieczoru wcześniej zatrzymali się na nocleg, bo oboje byli zmęczeni. Raederle zeszła nad brzeg rzeki, żeby umyć włosy, Morgon zaś wrócił do odległej o pół mili gospody, którą po drodze mijali, z zamiarem dokupienia żywności i posłuchania wieści ze świata. W gospodzie kłębił się tłum podróżnych - wymieniający się plotkami przekupnie, zubożali muzycy zebrzący o posiłek grą na wszelkich możliwych instrumentach, tylko nie na harfie; kupcy, kmiecie; rodziny wyglądające tak, jakby w panice porzuciły swoje domostwa, z całego dobytku unosząc tylko to, co komu wpadło w rękę.

Powietrze było ciężkie od podlanych winem rozmów. Morgon zaczął się przepychać w głąb izby, kierując się na dolatujący stamtąd tubalny, donośny głos:

- Dwadzieścia lat - huczał mężczyzna. - Dwadzieścia lat przemieszkałem naprzeciwko tego miejsca. Sprzedawałem w swoim sklepie eleganckie tkaniny i futra ze wszystkich stron królestwa i ani razu nie zauważyłem w ruinach tej starożytnej szkoły niczego podejrzanego, może czasem tylko przemknął jakiś cień, który nie wiadomo skąd się brał. Aż tu naraz, pewnej nocy, kiedy do późna ślęczałem nad księgami rachunkowymi, widzę, że w niektórych powybijanych oknach pali się światło. Żaden człowiek nigdy nie zapuszczał się w te ruiny, choć powiadają, że skarbów tam co niemiara - to miejsce cuchnęło katastrofą. I to mi wystarczyło. Załadowałem na wóz cały towar, jaki miałem na składzie, zostawiłem swoim dostawcom wiadomość, że jak coś dla mnie mają, to niech mnie szukają w Caithnard, i

wziąłem nogi za pas. Jeśli w tym mieście zanosi się na kolejną wojnę czarodziejów, to ja wolę ją przeczekać w drugim końcu królestwa.

- W Caithnard? - spytał z niedowierzaniem inny kupiec. - Kiedy północną połowę wybrzeża Ymris trawi wojenna pożoga? W Lungold są przynajmniej czarodzieje. Caithnard ma tylko kramarzy z rybiego targu i studentów. Ani martwą rybą, ani książką bronić się nie da. Opuściłem Caithnard. Udaję się na bezdroża; za pięćdziesiąt lat może wrócę.

Do Morgona podszedł karczmarz i dalszy ciąg rozmowy utonął w ogólnym gwarze.

- Co podać, panie? - spytał usłużnie karczmarz.

Morgon zamówił piwo. Pochodziło z Hed i skutecznie przepłukało mu gardło z kurzu stu przebytych mil drogi. Pijąc je, przysłuchiwał się innym rozmowom; zainteresowało go to, co mówił jakiś przekupień o zgorzkniałej twarzy:

- To przez tę przeklętą wojnę w Ymris. Połowa kmieci z Ruhn musiała oddać armii swoje konie - potomków bojowych rumaków z Ruhn, których używali w charakterze koni zaprzęgowych. Król ma, co prawda, własne stada na Wichrowej Równinie, ale płaci krwawą cenę za pata w tej wojnie. Jego rycerze kupują teraz każdego konia, jakiego im się zaoferuje, tak samo kmiecie. Nikt już nie pyta, skąd koń pochodzi. Od wyjazdu z Caithnard moich wozów co noc pilnują uzbrojone straże.

Morgona ogarnął nagle niepokój o Raederle i konie. Odstawił pusty kufel. Siedzący obok kupiec zapytał o coś przyjaźnie; odburknął mu coś w odpowiedzi. Miał już wstać i wyjść, kiedy nagle usłyszał swoje imię.

- Morgon z Hed? Słyszałem, że zjawił się podobno w Caithnard przebrany za studenta. Zniknął, zanim Mistrzowie zdołali go rozpoznać.

Morgon rozejrzał się ukradkowo. Wokół dzbana z winem zgromadziła się grupka muzyków.

- Był w Anuin - powiedział dudziarz, ścierając ślinę ze swojego instrumentu. Potoczył wzrokiem po twarzach towarzyszy. - Nie słyszeliście o tym? Dopadł wreszcie harfistę Najwyższego w Anuin w królewskiej sali tronowej...

- Harfista Najwyższego - powtórzył z goryczą tyczkowaty młodzieniec obwieszony kolekcją bębenków. - I co na to Najwyższy? Człowiek traci swoje ziemwładztwo, zostaje zdradzony w imieniu Najwyższego przez harfistę, który oszukał wszystkich królów królestwa, a Najwyższy nie kiwnie nawet palcem - jeśli go w ogóle ma - by wymierzyć sprawiedliwość.

- Gdyby mnie ktoś pytał - wtrącił się śpiewak - to bym mu powiedział, że żadnego Najwyższego nie ma. Wymyślił go Założyciel Lungold.

Zamilkli na chwilę. Śpiewak mrugał nerwowo, nie wiedząc czemu przestraszony własnymi słowami, tak jakby przywidziało mu się nagle, że Najwyższy stoi nad nim z kuflem piwa w dłoni i przysłuchuje się rozmowie.

- Ale nikt cię nie pytał - warknął inny śpiewak. - Przestańcie mielić po próżnicy ozorami. Chcę posłuchać, co się wydarzyło w Anuin.

Morgon odwrócił się, żeby wstać, ale przytrzymała go czyjaś dłoń. Kupiec, który przed chwilą go zagadywał, powiedział powoli, z zakłopotaniem:

- Ja ciebie już gdzieś widziałem. Mam twoje imię na końcu języka, znam je... kojarzysz mi się z deszczem...

Morgon poznał go teraz; z tym samym kupcem rozmawiał dawno temu w deszczowy jesienny dzień w Hlurle, dokąd trafił po opuszczeniu Herun.

- Nie wiem, o czym mówisz - burknął opryskliwie. - Od tygodni nie spadła kropla deszczu. Zabierzesz tę rękę czy mam z nią wyjść?

- Panowie, panowie - wymruczał karczmarz. - Żadnych awantur pod moim dachem.

Kupiec wziął z tacy dwa kufle i jeden postawił przed Morgonem.

- Bez urazy. - Wciąż studiował z zainteresowaniem twarz Morgona. - Porozmawiaj ze mną chwilę. Mieszkam w Kraal i od miesiący jestem w podróży. Brakuje mi...

Wyrwując mu się, Morgon potracił łokciem kufel. Piwo chlusnęło na stół i ściekło na podolek jakiemuś handlarzowi koni, który z przekleństwem na ustach zerwał się z miejsca. Coś w twarzy Morgona - malująca się na niej władczość, a może desperacja - kazało mu powściągnąć pierwszą złość.

- Nie godzi się tak traktować dobrego piwa - burknął ponuro. - Ani tego, który je stawia. Jak udało ci się dożyć tego wieku, skoro bez powodu wszczynasz burdy?

- Śpieszę się - warknął Morgon. Rzucił na stół monetę i wyszedł w zapadający zmierzch. Własna obcesowość napełniała go niesmakiem. Szedł szybko przez las, przeklinając dłużącą się drogę, kurz, gwiazdki na swym czole, i wszystkie cienie wspomnień, przed którymi nie mógł uciec.

Omiał nie minął obozu. Zatrzymał się oszołomiony. Raederle i koni nie było. Przemknęło mu przez myśl, że może uraził ją czymś tak, że postanowiła zabrać oba wierzchowce i wracać do Anuin. Ale juki i siodła leżały tam, gdzie je rzucił; nie dostrzegał żadnych śladów walki - stratowanych liści czy osmalonych korzeni drzew. I nagle usłyszał jej wołanie. Brnęła z drugiego brzegu przez płytką w tym miejscu rzekę. Twarz miała zapłakaną.

- Morgonie, kiedy brałam z rzeki wodę, przemknęło obok mnie dwóch jeźdźców. Omiał mnie nie stratowali. Byłam taka zła, że zorientowałam się, iż odjeżdżają na naszych

koniach, dopiero kiedy byli już na drugim brzegu. I wtedy...

- Puściłaś się za nimi w pogoń? - spytał z niedowierzaniem.

- Myślałam, że znalazłszy się między drzewami, zwolnią. Ale oni pognali galopem.

Przepraszam.

- Dostaną za nie w Ymris dobrą cenę - mruknął ponuro Morgon.

- Morgonie, oni nie ujechali jeszcze mili. Mógłbyś z łatwością odzyskać te konie.

Patrzył przez chwilę niezdecydowany na jej rozgniewaną, zmęczoną twarz. Potem odwrócił się i schylił po torbę z żywnością.

- Armia Heureu potrzebuje ich bardziej niż my - rzucił.

Cisza, jaka zaległa za jego plecami, była niemal namacalna. Rozsupłał troki worka na żywność i po raz nie wiadomo który zaklął. Zapomniał dokupić prowiantu.

- Chcesz mi powiedzieć, że resztę drogi do Lungold odbędziemy pieszo?

- Na to wygląda.

Palce, którymi trzymał troki worka, drżały mu lekko. Wyczuł, jak Raederle wzrusza ramionami. Odwróciła się i zeszła nad rzekę po bukłak z wodą.

- Kupiłeś wino? - spytała po powrocie.

- Zapomniałem. Zapomniałem po co tam w ogóle poszedłem - przyznał i żeby nie dopuścić jej do głosu, szybko podjął: - I nie mogę tam wrócić, bo to grozi udziałem w karczemnej awanturze.

- A czy ja cię o to prosiłam? Nawet nie miałam zamiaru. - Raederle usiadła ciężko obok ogniska i dorzuciła do niego suchą gałązkę. - Ty nie kupiłeś jedzenia, ja nie dopilnowałam koni. Jesteśmy kwita. - Podciągnęła kolana pod brodę i wsparła na nich czoło. - Morgonie - szepnęła. - Przepraszam. Prędzej doczołgam się do Lungold, niż nauczę się zmieniać postać.

Popatrzył na nią z góry, odwrócił się, obszedł ognisko i wbił wzrok w pień starego drzewa. Po chwili przekrzywił głowę, czując, że drzewo też na niego patrzy, że widzi samo tajemnicze źródło jego mocy. Naszły go wątpliwości, czy może prosić Raederle o coś takiego. Niepewność z wolna ustąpiła.

- Nie możesz uciec przed sobą - powiedział.

- Ty uciekasz. Może nie przed sobą, ale przed zagadką, której boisz się stawić czoło.

Uniósł głowę i podsycił dogasający ogień.

- Idę na ryby - powiedział. - Jutro rano wrócę do gospody i kupię, co nam trzeba. Może uda mi się sprzedać tam siodła. Pieniądze by się nam przydały. Do Lungold jeszcze daleko.

Przez cały następny dzień prawie ze sobą nie rozmawiali. Letni upał doskwierał im bardzo, chociaż szli cienistym poboczem drogi. Morgon dźwigał cały dobytek. Dopiero teraz uświadamiał sobie, ile to wszystko waży. Rzemienie wrzynały mu się w ramiona, a on rozpamiętywał ostatnią kłótnię z Raederle. Zaoferowała się, że też coś poniesie, a on ofuknął ją gniewnie. Więcej tego tematu nie poruszyła. W południe zeszli nad rzekę, żeby wymoczyć otarte stopy. Zimna woda ochłodziła nastroje i zamienili kilka słów. Po południu na drodze trochę ucichło; słyszeli skrzypienie nadjeżdżających wozów na długo przed tym, nim je zobaczyli. Ale skwar był nie do zniesienia. Dali w końcu za wygraną i do zmierzchu wlekli się brzegiem wzburzonej rzeki.

Wieczorem wybrali miejsce na biwak. Morgon zostawił Raederle moczącą nogi w rzece, a sam, pod postacią sokoła, wybrał się na łowy. Upolował królika drzemiącego na łące w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Raederle zastał tak, jak ją był zostawił, z nogami w wodzie. Oprawił zdobycz, nadział ją na zieloną gałąź i zawiesił nad ogniskiem. Raederle wciąż siedziała bez ruchu nad wodą. Zawołał ją.

Podniosła się z trudem, stawiając ostrożnie kroki, podeszła do ogniska, usiadła i podwinęła pod siebie mokre nogi. Przyjrzał się jej w blasku ognia, zapominając o obracaniu różna. Twarz miała nieruchomą, ściągniętą, oczy pełne bólu. Kiedy na niego spojrzała, dostrzegł w nich wyraźną skargę. Współczucie zaparło mu na chwilę dech w piersiach.

- Czemu nie powiedziałaś, że aż tak cierpisz? - spytał. - Pokaż mi stopy.

- Zostaw mnie w spokoju! - Zaskoczyła go złość, z jaką to powiedziała. - Powiedziałam, że dojdę do Lungold, a więc tam dojdę.

- Jak? - Wstał. Gniew na samego siebie ścisnął mu krtań. - Kupię ci konia.

- Za co? Nie udało ci się przecież sprzedać siodeł.

- Sam się w niego zmienię. Pojedziesz na mnie.

- O, nie. - Z jej głosu przebijał znajomy, niewytłumaczalny gniew. - Nie uczynisz tego. Nie będziesz mnie dźwigał na grzbiecie do samego Lungold. Powiedziałam, że pójść sama.

- Nie ujdiesz trzech kroków!

- Ujdę. Wieczera nam się spali, jeśli zaraz nie obrócisz tego patyka.

Nie zareagował; pochyliła się i sama obróciła królika nad ogniskiem. Morgon patrzył na twarz dziewczyny skapaną w odbłasku płomieni i nie poznawał jej.

- Raederle - podjął błagalnie - jak ty to sobie, na Hel, wyobrażasz? W tym stanie iść nie możesz. Mnie osiąść nie chcesz; wzbranasz się przed zmianą postaci. Może chcesz wrócić do Anuin?

- Nie. - Wypowiedziała to słowo tak, jakby bardzo ją zranił swoim podejrzeniem. - Może nie jestem taka dobra w rozwiązywaniu zagadek, ale ślubów dotrzymuję. Przysięgam na imię Ylona, że nigdy cię nie opuszczę.

Pochyliła się znowu. Morgon myślał, że chce obrócić rożen, ale ona zaczerpnęła pełną garść ognia.

- Nienawidzę Ylona i wszystkiego, co się z nim wiąże, ale był swego czasu królem An i z tej racji należy mu się pewien szacunek. - Głos jej się łamał. Uformowała z ognia ramę i zaczęła rozciągać na niej palcami cienkie jak włos struny. Morgon uświadomił sobie nagle, co robi. Skończyła i podała mu swoje dzieło: harfę z ognia pożerającą ciemności wokół jej ręki. - Jesteś zagadką. Skoro pokładasz taką wiarę w znaczeniu zagadek, pokaż mi to. Nawet z własną nienawiścią nie potrafisz sobie poradzić, a zadajesz mi zagadki. Istnieje określenie na takiego człowieka.

- Głupiec - mruknął, nie dotykając harfy. Patrzył, jak światło igra bezgłośnie po ognistych strunach. - Teraz przynajmniej znam swoje imię.

- Jesteś Naznaczony Gwiazdkami. Dlaczego nie pozwalasz mi samej podejmować decyzji. To, czym ja jestem, w ogóle się nie liczy.

Patrzył na nią ponad płonąca harfą. Coś, co nieopatrnie powiedział albo pomyślał, sprawiło, że harfa rozprysła się w jej dłoni na kawałki. Sięgnął ponad ogniem, chwycił Raederle za ramiona i zmusił ją, by wstała.

- Jak możesz tak do mnie mówić? Czego, na Hel, się boisz?

- Morgonie...

- Przecież nie każę ci przybierać postaci, która nie będzie odpowiadała żadnemu z nas!

- Morgonie - powtórzyła z naciskiem. - Czy ty nie rozumiesz? Ja nie uciekam przed czymś, czego nienawidzę, uciekam przed czymś, czego pragnę. Przed mocą tego bękarciego dziedzictwa. Pragnę jej. Pragnę tej mocy, która przeżera Ymris i usiłuje zniszczyć królestwo i ciebie... ciągnie mnie do niej. Jestem nią napiętnowana. I kocham ciebie. Mistrza zagadek. Mężczyznę, który musi walczyć ze wszystkim, co wiąże się z tym dziedzictwem. Prosisz mnie o coś, co na pewno znienawidzisz.

- Nie - szepnął.

- Ziemwładcy, czarodzieje z Lungold... jak ja im spojrzę w oczy? Jak im powiem, że jestem spokrewniona z twoimi wrogami? Czy będą mi mogli zaufać? Czy ja mogę ufać samej sobie, skoro pragnę tej strasznej mocy...

- Raederle. - Morgon uniósł rękę, dotknął jej twarzy i otarł ją z ognia i łez. Ale niespokojne cienie dalej po niej tańczyły. Wydawała mu się ulepiona z ognia i ciemności,



odnosił wrażenie, że patrzy na kogoś, kogo nigdy dotąd nie widział, a i teraz nie widzi za dobrze. Było w tym licu coś zwodniczego, coś, co znikало, kiedy go dotykał. - Nie prosiłem cię nigdy o nic, poza prawdą.

- Nigdy nie wiedziałeś, o co mnie prosisz...

- Masz rację. Po prostu proszę. - Przedzielający ich ogień kształtował się w odpowiedź, której szukał. Zobaczył nagle tę odpowiedź i jednocześnie zobaczył Raederle, kobietę, za którą do wieży Pevena szło na śmierć tylu mężczyzn, która ukształtowała swój umysł w płomień, która kochała go, spierała się z nim i pragnęła mogącej go zniszczyć mocy. Elementy tej zagadki usiłowały przez chwilę dopasować się w jego umyśle. Potem złączyły się w jedno i ujrzał znajome twarze zmiennokształtnych - Eriela, harfisty Corriga, którego zabił, zmiennokształtnych z Isig, których również zabił. Przeszedł go dreszcz lęku i zachwytu.

- Jeśli widzisz... jeśli widzisz w nich coś wartościowego - wyszeptał - to czym, na Hel, są?

Raederle milczała. Twarz jej znieruchomiała, policzki lśniły od łez.

- Tego nie powiedziałam.

- Owszem, powiedziałaś.

- Nieprawda. W ich mocy nie ma niczego wartościowego.

- Owszem, jest. Czujesz ją w sobie. Pragniesz jej.

- Morgonie...

- Albo ty zmieniasz przede mną postać, albo oni. Ciebie znam.

Odsunęła się niezdecydowanie. Morgon szukał słów, którymi mógłby zdobyć jej zaufanie. Powoli zaczynał rozumieć, jak może do niej dotrzeć.

Sięgnął za siebie i ściągnął z pleców harfę, zdejmując z niej czar niewidzialności. Wypełniła jego dłonie niczym wspomnienie. Usiadł. Zastygła w bezruchu Raederle obserwowała go w milczeniu od ogniska. Popatrzył na enigmatyczne gwiazdki zdobiące ramę harfy, potem przycisnął ją do ramienia i szarpnął struny. Pochłonięty grą, zapomniał na chwilę o Raederle. Jego palce przypominały sobie rytmy, akordy, niepewnie wyczarowywały z ciszy fragmenty pieśni. Starożytne, nieskazitelne brzmienie instrumentu znowu go zachwytiło. Raederle przysunęła się i znowu znieruchomiała. Siedziała teraz tyłem do ogniska, nie widział więc jej twarzy.

Z mroków pamięci wtórował mu jakiś harfista. Im głośniejsz grał, by to wspomnienie zagłuszyć, tym natrętniejsza stawała się tamta muzyka: odległa, piękna, docierająca spoza czerni, spoza zapachu wody, która płynęła donikąd i od tysięcy lat nigdzie nie dopłynęła. Ognisko za plecami Raederle skurczyło się do punktu światła, który coraz bardziej się od niego oddalał, aż w końcu czerń niczym dłoń opadła na jego oczy. Drgnął na dźwięk czyjegós

głosu, który, odbijając się echem od kamieni, ścichł po chwili. Twarzy nie widział. Wyciągnął rękę poprzez ciemność, ale dotknął tylko kamienia. Ten głos zawsze go zaskakiwał, choćby nie wiadomo jak nasłuchiwał kroków. A słuchał teraz z natężeniem, leżąc na kamieniu. Głos wyzwolił wspomnienia, których nie mógł stłumić, przypomniał ból podczas walki na pięści, nie kończące się pytania, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi, co doprowadzało go do ślepej furii, i nagle ta furia przeszła w przerażenie, bo poczuł, jak zamierają w nim kruche, zawile instynkty prawa ziemi. Usłyszał swój własny głos udzielający odpowiedzi... Usłyszał dźwięki harfy.

Jego dłonie znieruchomiały. Rama harfy boleśnie uciskała policzek. Raederle siedziała obok, obejmując go ramieniem. W głowie rozbrzmiewały mu wciąż dźwięki harfy. Spróbował je odpędzić. Bezskutecznie. Raederle spojrzała na niego i wstrząśnięty uświadomił sobie, że ona też słyszy.

Rozpoznawał już tę grę. Wstał, blady i strwożony, po czym wyciągnął z ogniska płonąca gałąź. Raederle coś do niego powiedziała; nie zareagował. Ruszyła za nim przez paprocie boso, utykając, ale nie zaczekała na nią. Idąc za głosem harfy, przeciął drogę, gdzie wystraszył śpiącego pod wozem kupca; przedzierał się dalej przez krzaki i paprocie, a dźwięki harfy stawały się coraz głośniejsze, zdawały się go otaczać. W końcu blask pochodni wyłuskał z mroku sylwetkę pochylonego nad harfą człowieka pod drzewem. Morgon zatrzymał się. Oddychał chrapliwie, na usta cisnęły mu się słowa, pytania, przekleństwa. Harfista uniósł powoli głowę ku światłu.

Morgon wstrzymał oddech. Z czarnej nocy poza zasięgiem blasku pochodni nie docierał żaden dźwięk. Harfista, patrząc na Morgona, grał wciąż cicho, niezdarnie, z trudem przebierając po strunach guzowatymi, powykręcanyymi jak korzenie drzewa palcami.

Deth - szepnął Morgon. Dłonie harfisty znieruchomiały. Twarz miał tak zniszczoną i wynędzniałą, że gdyby nie oczy, które nie straciły blasku, trudno by go było poznać. Nie miał konia ani torby, nie miał żadnego dobytku, prócz ciemnej harfy o niczym nie ozdobionej, smukłej, eleganckiej ramie. Jego kalekie dłonie spoczywały przez chwile na strunach, potem zsunęły się po nich na ziemię.

- Morgon. - Głos miał schrypnięty ze zmęczenia i zdumienia. - Nie chciałem ci zakłócać spokoju - dodał tak łagodnie, że Morgona odszedł gniew, jaki jeszcze przed chwilą nim miotał.

Stał bez ruchu, a że noc była bezwietrzna, znieruchomiał również płomień pochodni, którą trzymał w ręku. Niesamowita, nieskazitelna muzyka harfy, dobiegająca dotąd z jakiegoś mrocznego zakamarka podświadomości, splątała się nagle z niepewnym, nieporadnym brzdąkaniem, które od kilku nocy go prześladowało. Stał tak na skraju blasku rozsiewanego przez własną pochodnię i chciało mu się krzyknąć z wściekłości, coś kazało mu odwrócić się bez słowa i odejść, a jednocześnie odczuwał potrzebę postąpienia jeszcze jednego kroku w przód i zadania pytania. I zrobił w końcu ten krok tak cicho, że sam nie zdawał sobie sprawy, iż w ogóle się poruszył.

- Co ci się przytrafiło? - Własny głos zabrzmiał mu w uszach obco, dziwnie nieswojo. Harfista spuścił wzrok na swoje dłonie, które spoczywały na ziemi niczym odważniki.

- Miałem spór - powiedział - z Ghisteslwchlohmem.

- Zawsze zwycięsko wychodziłeś z wszelkich sporów. - Morgon, nadal spięty, bezszelestnie jak zwierzę postąpił jeszcze jeden krok.

- W tym również stanęło na moim. Gdyby nie to, królestwo miałoby o jednego harfistę mniej.

- Nie łatwo cię zabić.

- O, nie. - Spojrzał Morgonowi w oczy wzrokiem, którym niczemu nie zaprzeczał i o nic nie prosił. Morgon miał już zrobić kolejny krok, ale nie uczynił tego. Przeniósł pochodnię do drugiej ręki. Płomień przypiekł mu skórę. Rzucił na ziemię gałąź, od której zajęła się kupka suchych liści. W miarę, jak przygasały, na twarz Detha nasuwał się cień; Morgon widział ją teraz taką jak dawniej, oglądaną z drugiej strony ogniska. Milczenie harfisty przyciągało go jak magnes. Odniosł wrażenie, że stąpa po cienkiej jak ostrze miecza kładce przerzuconej nad przepaścią własnego gniewu i rozterki. Przykucnął wreszcie przy ogniu,

zatonął wokół niego krąg, zmniejszył siłą woli.

- Dokąd zmierzasz? - spytał po chwili.

- Wracam do miejsca swoich narodzin. Do Lungold. Nigdzie indziej nie mam czego szukać.

- Idziesz pieszo do Lungold?

Deth wzruszył nieznacznie ramionami, wykonał nieokreślony gest rękami.

- Nie mam konia.

- Co tam będziesz robił? Na harfie grać już nie możesz.

- Nie wiem. Może zacznę żebrać.

Morgon zamilkł znowu. Przyglądał się harfście, grzebiąc palcami w ziemi. Natrafił na kapelusik żółdzia i rzucił go w ogień.

- Przez sześćset lat służyłeś Ghisteslwchlohmowi. Wydałeś mu mnie. Okazał się aż tak niewdzięczny?

- Nie - odparł beznamiętnie Deth. - Obudziła się w nim podejrzliwość. Puściłeś mnie żywym z Anuin.

Dłoń Morgona znieruchomiła między martwymi liśćmi. Coś przez niego przepłynęło, coś jakby ledwie uchwytny, dziki zapach wiatru, który hula nad pomocnymi rubieżami, a w nieruchomą letnią noc nad królestwem wnosi zaledwie aluzję swego istnienia. Po chwili poruszył znowu dłoń; pod palcami przełamała się z cichym trzaskiem sucha gałązka. Dorzucił jej połówki do ogniska i zaczął zbierać myśli, tak jakby przygotowywał się do pojedynku na zagadki z kimś, kogo możliwości nie zna.

- Więc Ghisteslwchlohm był w An?

- Przebywa od jakiegoś czasu na bezdrożach. Dochodzi tam do sił po wstrząsie, jakim dla jego mocy była twoja ucieczka. Nie wiedział, gdzie jesteś, ale ponieważ w moim umyśle może czytać jak w otwartej księdze, odnalazł mnie bez trudu w Hel.

Morgon podniósł na Detha wzrok.

- Czy wasze umysły są przez cały czas sprzęgnięte?

- Tak przypuszczam. Ze mnie Ghisteslwchlohm nie ma już żadnego pożytku, ale tobie może grozić niebezpieczeństwo.

- Nie szukał mnie w Anuin.

- Spotkałem się z nim siedem dni po opuszczeniu Anuin. Wydawało się mało prawdopodobne, że jeszcze tam jesteś.

- Byłem. - Morgon dorzucił do ognia garść suchych patyków i patrzył, jak zajmują się ogniem, kurczą i zwijają pod wpływem gorąca. Nagle przeniósł wzrok na powykręcane palce

harfisty. - Co on ci, na Hel, zrobił?

- Sporządził mi harfę, bo moją starą ty mi zniszczyłeś i nie miałem żadnej. - W oczach harfisty coś zabłysło; ni to wspomnienie bólu, ni tłumione, chłodne rozbawienie. Płomień przygasł i Deth opuścił powoli głowę. Na jego twarz znowu nasunął się cień. - Ta harfa była z czarnego ognia - podjął beznamiętnie. - Na jej ramie płonęły trzy rozpalone do białości gwiazdki.

Morgonowi ścisnęła się krtani.

- I zagrałeś na niej - wyszeptał.

- Kazał mi. Leżąc potem bez przytomności, czułem, jak wnika swoim umysłem w mój i wydobywa zeń moje wspomnienia z wydarzeń w Anuin, z miesięcy naszej wspólnej podróży, z lat i stuleci, przez które mu służyłem, i z jeszcze dawniejszych czasów... Ta harfa miała dziwne, udręczone brzmienie - przypominało głosy, które, jadąc przez Hel, słyszałem nocami.

- Ale darował ci życie.

Deth odchylił się, wsparł głowę o pień drzewa i spojrzał Morgonowi w oczy.

- Nie znalazł powodu, dla którego miałby mi je odbierać.

Morgon milczał. Gałązki w płonącym przed nim ognisku trzaskały jak łamane drobne kości. Choć noc była ciepła, przeszedł go nagle zimny dreszcz. Przynął się bliżej ognia. Jakieś zwierzę wywabione z zarośli zwróciło na niego świecące oczy, a potem zamrugowało i zniknęło. W panującej wokół ciszy wisiało tysiąc zagadek, które powinien zadać, ale wiedział, że w odpowiedzi usłyszy od harfisty jedynie nowe zagadki. Siedział przez chwilę w tej otchłani ciszy, ugniatając w dłoniach światło.

- Marna to zapłata za sześć wieków wiernej służby - odezwał się w końcu. - Czego się po nim spodziewałeś, proponując mu swe usługi?

- Powiedziałem mu, że potrzebuję pana, a nie wystarcza mi żaden król omamiony jego łągarstwami. Pasowaliśmy do siebie. On tworzył iluzje, ja je podtrzymywałem.

- Niebezpieczna to była iluzja. I nigdy nie bał się Najwyższego?

- A czy Najwyższy dał mu jakiś powód, dla którego miałby się go obawiać?

Morgon wziął w palce liść i włożył go do ogniska.

- Żadnego - przyznał, trzymając dłoń w ogniu i sięgając do wspomnień. - Żadnego - powtórzył szeptem. Ogień ryknął nagle bezgłośnie pod jego dłonią, przywołując go do rzeczywistości. Cofnął szybko rękę, łzy napłynęły mu do oczu. Przelykając przekleństwa, wsunął sobie spaloną dłoń pod pachę i przygarbił się. - Ależ ze mnie gapa.

- Nie mam wody, Morgonie...

- Zauważyłem. - Głos miał schrypnięty z bólu. - Nie masz wody, nie masz żywności, nie chroni cię prawo ani bogactwo, nie masz nawet na tyle czarodziejskiej mocy, by uchronić się przed poparzeniem. A z jedynej rzeczy, jaką jeszcze posiadasz, nie jesteś w stanie korzystać. Jak na człowieka, który dwa razy w ciągu siedmiu dni ledwie uniknął śmierci, stworzyłeś wspaniałą iluzję bezsiły. - Podciągnął kolana i wsparł na nich czoło. Milczał przez chwilę. Nie spodziewał się dowiedzieć czegokolwiek od harfisty i już mu na tym nie zależało. Przedzielający ich ogień mówił starożytnym językiem, który nie potrzebuje zagadek. Przypomniał sobie o Raederle i przemknęło mu przez myśl, że powinien do niej wrócić, ale siedział dalej. Harfista trwał w wiekowym, znużonym bezruchu, bezruchu starych korzeni albo zmurszałego kamienia. Ognisko, wymknąwszy się spod kontroli Morgona, przygasało. Uniósł w końcu głowę. Płomyk snuł się po popiele, twarz harfisty skrywał mrok.

Wstał, trzymając się za sparzoną pięść.

- Obudziłeś mnie swoją grą - powiedział - i przywabiłeś tu jak psa. Nie wiem, czy ci zaufać, czy zabić, czy może uciekać przed tobą, bo prowadzisz jakąś grę bardziej wyrafinowaną i niebezpieczną, niż jakikolwiek znany mi mistrz zagadek. Potrzebujesz żywności? Możemy ci trochę odstąpić.

Upłynęła długa chwila, zanim Deth mu odpowiedział; a i wtedy ta odpowiedź była ledwie słyszalna:

- Nie.

- Jak chcesz. - Morgon zwlekał jeszcze z odejściem, wbrew samemu sobie wciąż żywiąc nadzieję, że jednak czegoś się dowie. W końcu odwrócił się gwałtownie. Dym z dogasającego ogniska szczypał go w oczy. Postąpił trzy kroki w ciemność, a za czwartym wszedł w błękitny ogień, który rozgorzał nagle wokół niego z nicości, jaśniał i jaśniał, przewiercając się przez niego, aż w końcu Morgon krzyknął i poleciał w światłość.

Ocknął się o brzasku. Leżał na ziemi tam, gdzie upadł, twarz miał całą w ziemi i pokruszonych liściach. Ktoś wsunął stopę pod jego ramię i przewrócił go na plecy. Zobaczył znowu harfistę siedzącego nadal pod drzewem, a przed nim kupkę popiołu. Potem przeniósł wzrok na tego, który pochylał się nad nim, by chwycić go za tunikę pod szyją i poderwać na nogi.

Wciągnął w płuca haust powietrza, żeby krzyknąć z bólu i wściekłości; dłoń Ghisteslwchlohma zakryła mu usta. I wtedy zobaczył oczy harfisty, ciemne jak noc, nieruchome jak tafla czarnego stawu pod Górą Erlenstar, i coś w tych oczach rzucało mu wyzwanie. Harfista podniósł się z ziemi sztywno i niezdarnie, co świadczyło, że siedział tak przez całą noc. Z wystudiowaną pieczołowitością położył harfę w popiołach wygasłego

ogniska. Potem odwrócił głowę. Morgon spojrział w tamtą stronę i w promieniach wschodzącego słońca zobaczył pobladłą Raederle.

Bezgłośny krzyk rozpaczony wyrwał mu się z piersi. Usłyszała; spojrzała na niego z taką samą rozpaczą. Była brudna i zmęczona, ale cała i zdrowa.

- Jeśli tkniesz mego umysłu - warknął Ghisteslwchlohm - zabiję ją. Zrozumiałeś? - Potrzęsnał brutalnie Morgonem, zmuszając go, by na niego spojrział. - Zrozumiałeś?

- Tak - powiedział Morgon. I natychmiast zaatakował Założyciela rękami. Runęła na niego ściana białego ognia, który przeniknął go do szpiku kości. Osunął się na ziemię, mrugając zalewanymi potem powiekami i orząc paznokciami leśną podściółkę, by stłumić cisnący się na usta krzyk. Raederle podbiegła i pomogła mu wstać.

Kręcił głową i próbował odepchnąć dziewczynę poza zasięg płomienia miotanego przez czarodzieja, ale bezskutecznie.

- Przestań - wykrztusiła.

- Mądra rada - powiedział Założyciel. - Zastosuj się do niej. - W gorącym rozbłysku wydał się Morgonowi zmęczony. Jego twarz, na której od wieków nosił maskę łagodności, była wychudła i zapadnięta. Ubrany był nędznie, w zgrzebną, workowatą szatę, w której wyglądał na mniejszego, niż był w istocie. Szata ta była bardzo zakurzona, jakby szedł w niej pieszo Drogą Kupców.

- A więc w końcu mnie dopadłeś - wycodził Morgon, przewyciężając wściekłość i ból.

- Wbrew pozorom nie było to takie trudne. Przemierzając królestwo, pozostawiałeś za sobą ślad, którego i ślepy by nie przeoczył. Podejrzewałem, że popłyniesz na Hed, udałem się tam nawet za tobą, ale... - Ghisteslwchlohm uniósł rękę, by uśmierzyć zapędy rwącego się do ataku Morgona. - Przypląnąłeś tam i odpłynąłeś. A ja nie prowadzę wojny z kmieciami i krowami; podczas swojego tam pobytu w niczym nie zakłóciłem spokoju. - Zawiesił głos i przez chwilę przyglądał się w milczeniu Morgonowi. - Sprowadziłeś na Hed upiory An. Jak ci się to udało?

- A jak myślisz? Nauczyłeś mnie co nieco o prawie ziemi.

- Nie tak wiele.

Morgon poczuł w swoim umyśle spragnioną informacji sondę. Oślepiła go, przywołała wspomnienia strachu i bezradności. Znowu był bezradny, z tym że teraz miał u boku Raederle. Rozpacz i gniew ścisnęły mu gardło. Czarodziej, zbadawszy umysłową więź, którą nawiązał w Anuin z umarłymi, chrząknął cicho i wycofał sondę. Poranne światło znowu zalało ziemię; Morgon zobaczył cień harfisty leżący na zdeptanych liściach. Przyłgął do

niego wzrokiem. Nieruchomość tego cienia przyciągała go, sprowadzała nań otępienie. I nagle rozbrzmiały mu w głowie słowa Ghisteslwchlohma. Podniósł wzrok.

- O co ci chodzi? Wszystkiego, co wiem, nauczyłem się od ciebie.

Czarodziej patrzył na niego ze ściągniętymi brwiami, jak na zagadkę spisana na zakurzonej pergaminie. Nie odpowiedział.

- Potrafisz zmieniać postać? - zwrócił się niespodziewanie do Raederle.

- Nie.

Kręcąc głową, postąpiła krok w stronę Morgona.

- Połowa królów w dziejach An przybierała od czasu do czasu postać kruka, a dowiedziałem się od Detha, że ty odziedziczyłaś moc zmiennokształtnego. Szybko się nauczysz.

Krew napłynęła jej do poblądłej twarzy, ale nie spojrzała na harfistę.

- Nie zmienię postaci - powiedziała cicho i prawie nie zmieniając intonacji, ku zaskoczeniu zarówno Morgona, jak i czarodzieja, dodała: - przeklinam cię w imię swoje i Madir oczyma malutkimi i płomiennymi, byś nie widział wyżej ludzkiego kolana ani niżej niż błoto pod stopą... - Zamilkła, bo czarodziej zakrył jej usta dłonią.

Ghisteslwchlohm mrugał przez chwilę, jakby chciał przywrócić sobie ostrość widzenia. Potem zsunął dłoń na gardło Raederle, a w Morgonie coś zaczęło się napręzać z wymierzoną, niebezpieczną precyzją, jak struna harfy, która ma się za chwilę zerwać.

Ale czarodziej powiedział tylko kpiąco:

- Oszczędź mi kolejnych dziewięćdziesięciu ośmiu przekleństw. - Cofnął rękę i Raederle odchrząknęła. Morgon wyczuwał, że drży na całym ciele.

- Ani myślę zmieniać postać - podjęła. - Pędzej umrę. Przysięgam na moją...

Czarodziej znowu ją uciszył.

Przez chwilę przyglądał się dziewczynie z umiarkowanym zainteresowaniem, a potem rzucił przez ramię do Detha:

- Zaprowadzisz ją bezdrożami do Góry Erlenstar. Ja nie mam na to czasu. Zaklnę jej umysł; nie będzie próbowała ucieczki. Naznaczony Gwiazdkami pójdzie ze mną do Lungold, a potem do Góry Erlenstar. - Wyczuł chyba coś w cieniu rzucanym za nieruchomymi, ciemnymi paprociami, bo się obejrzał. - Znajdę ludzi, którzy będą dla ciebie polowali i pilnowali dziewczyny.

- Nie.

Czarodziej obrócił się jak fryga i stanął obok Morgona, tak że ten nie mógł teraz bez jego wiedzy wykonać najmniejszego ruchu. Patrzył spod ściągniętych brwi na Detha, dopóki



ten się nie odezwał.

- Jestem jej dłużnikiem - powiedział harfista. - Chciała mnie puścić wolno z Anuin przed przybyciem Morgona. Obroniła mnie przed nim niechcący ze swoją małą armią upiórów. Nie jestem już twoim sługą, a ty jesteś mi coś winien za te sześćset lat służby. Daruj jej wolność.

- Jest mi potrzebna.

- Możesz pojmać każdego z lungoldzkich czarodziejów, a Morgon nie będzie ci w stanie w tym przeszkodzić.

- Lungoldzcy czarodzieje są nieprzewidywalni i zbyt niebezpieczni. Są też zbyt skorzy do oddawania życia pod wpływem dziwacznych impulsów. Suth jest najlepszym tego przykładem. Fakt, jestem ci coś winien, choćby za twoją nieporadną grę na harfie, którą przywabiłeś Naznaczonego Gwiazdkami. Ale prosz mi o coś innego.

- Niczego innego nie chcę. Może tylko z wyjątkiem harfy ze strunami z wiatru dla człowieka, który nie ma rąk, by na niej zagrać.

Ghisteslwchlohm milczał. Morgonowi zadźwięczały w pamięci echa pewnej starej zagadki. Uniósł powoli głowę i spojrzał na harfistę. Głos Detha brzmiał jak zwykle beznamiętnie, ale w jego oczach dostrzegął twardość, której nigdy tam wcześniej nie widział. Ghisteslwchlohm zdawał się czegoś przez chwilę nasłuchiwać; jakiegoś głosu skrytego pod porannym wietrzykiem.

- No tak - odezwał się w końcu z niejakim zaciekawieniem. - Nawet twoja cierpliwość ma swoje granice. Wyleczę ci dłonie.

- Nie chcę.

- Jesteś nierozsądny, Dethu. Wiesz tak samo dobrze jak ja, co jest stawką w tej grze. Morgon po omacku, jak ślepiec, zgłębia swoją moc. Jest mi potrzebny pod Górą Erlenstar, a nie chcę ciągnąć go tam siłą.

- Nie pójdę do Góry Erlenstar - wyrwało się Morgonowi.

Czarodziej puścił to oświadczenie mimo uszu; patrzył spod przymrużonych powiek na Detha.

- Jestem stary, okaleczony i bardzo zmęczony - podjął cicho Deth. - W Hel pozostawiłem mi właściwie tylko życie. Wiesz, co potem zrobiłem? Zaprowadziłem swojego konia do Caithnard i znalazłem tam kupca, który nie splunął na mój widok. Zamieniłem u niego konia na ostatnią w swoim życiu harfę. I spróbowałem na niej zagrać.

- Powiedziałem, że...

- Nie ma już w całym królestwie dworu, na którym mógłbym zagrać, nawet gdybyś

wyleczył mi dłonie.

- Przystałeś na to ryzyko przed sześciuset laty - powiedział Ghisteslwchlohm. Jego głos stał się bardziej piskliwy. - Mogłeś wybrać pośledniejszy od mojego dwór, by na nim grać, jakieś niewinne, nie przesiąknięte mocą miejsce, którego niewinność nie przetrwałaby w ostatecznej rozgrywce. Dobrze o tym wiesz. Zbyt jesteś mądry, by o cokolwiek siebie obwiniać, i nie masz co ubolewać nad utraconą niewinnością, bo nigdy jej nie miałeś. Albo tu zostaniesz i umrzesz z głodu, albo zaprowadzisz Raederle z An do Góry Erlenstar i pomożesz mi w dokończeniu tej gry. Potem możesz żądać zapłaty za swoje usługi. - Urwał, a po chwili dorzucił szorstko: - A może łączy cię coś z Naznaczonym Gwiazdkami, coś ukrytego tam, gdzie nie sięgam?

- Naznaczonemu Gwiazdkami nic nie jestem winien.

- Nie o to pytałem.

- Zadawałeś mi już to pytanie. W Hel. Chcesz usłyszeć inną odpowiedź? - Urwał, jakby sam zaskoczony gniewem, który pobrzmiwał w jego głosie, a potem, już ciszej, podjął:

- Naznaczony Gwiazdkami jest w tej grze punktem centralnym. Tak samo jak ty nie wiedziałem, że okaże się nim młody książę z Hed, którego omal nie pokochałem. Nic więcej mnie z nim nie łączy, a to co łączy, trudno uznać za coś znaczącego. Zdradziłem go już dwa razy, wydając tobie. Ale będziesz musiał poszukać sobie kogoś innego, kto zdradzi Raederle z An. Jestem jej dłużnikiem. I jeszcze jedna sprawa małej wagi: ona nie stanowi dla ciebie żadnego zagrożenia i każdy ziemwładca z królestwa może zająć w twych planach jej miejsce...

- Na przykład morgola?

Deth znieruchomiał. Wstrzymał oddech, nie mrugnął nawet, przywodził na myśl twój wyrzeźbiony przez wiatr z powietrza. Obserwujący go Morgon otarł sobie coś z twarzy grzbietem dłoni; uświadomił sobie z zaskoczeniem, że to ła.

- Nie - odezwał się w końcu Deth bardzo cicho.

- A widzisz - powiedział czarodziej, studiując twarz harfisty. W kącikach jego ust pogłębiła się drobna siateczka zmarszczek zniecierpliwienia i władczości. - A więc istnieje jednak coś, co ma znaczenie. Tak sobie myślę. Skoro nie chcesz mi już służyć z własnej woli, to może uda mi się jakoś ciebie do tego nakłonić. Morgola Herun rozbiła pod Lungold obóz. Towarzyszy jej dwieście jej strażniczek. Zakładam, że chcą bronić miasta; morgola, nie wiedząc czemu, czeka tam na ciebie. Dam ci do wyboru. Jeśli nie zmienisz zdania i zostawisz tu Raederle, to ja, podporządkowawszy sobie wpierw z pomocą Morgona ostatnich czarodziejów z Lungold, zabiorę morgolę do Góry Erlenstar. Wybieraj.

Ghisteslwchlohm czekał. Harfista znowu znieruchomiał.

- Wybieraj - warknął znowu Założyciel i harfista drgnął.

Raederle poderwała ręce do twarzy.

- Pójdę z tobą, Dethu - wyszeptała. - Zresztą i tak nie mogę opuścić Morgona, bo popełniłabym krzywoprzysięstwo.

Harfista nie odpowiedział. W końcu, nie spuszczać wzroku z twarzy Ghisteslwchlohma, ruszył wolnym krokiem w ich stronę. Zatrzymał się przed czarodziejem i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Potem szybkim, płynnym ruchem spoliczkował Założyciela grzbietem okaleczonej dłoni.

Ghisteslwchlohm cofnął się, wpijając palce w ramię Morgona, ale ten się nie poruszył. Harfista osunął się na kolana i przygarbił, przyciskając do piersi dłonie, w których popękały kości. Podniósł wzrok na czarodzieja. Twarz miał bladą, wykrzywioną cierpieniem, ale nie było w niej prośby o litość. Ghisteslwchlohm spoglądał nań z góry, a Morgon widział w jego oczach coś jakby strzępy wspomnień z wielu stuleci. W końcu uniósł rękę. Ognisty bicz smagnał harfistę po oczach i odrzucił w tył. Deth padł na wznak między paprocie i znieruchomiał tam, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w słońce.

Czarodziej ręką i spojrzeniem przytrzymał Morgona, dopóki ten nie uświadomił sobie powoli, że szlocha bez łez, a mięśnie ma sprężone do ataku. Założyciel przetarł oczy, tak jakby struga ognia wydarta przed chwilą z umysłu przyprawiła go o ból głowy.

- Dlaczego, na Hel - zapytał - marnujesz na niego swoje pokłady współczucia? Spójrz na mnie. Spójrz na mnie!

- Nie wiem! - krzyknął Morgon. Kolejna struga ognia śmignęła w kierunku ciała harfisty. Trafiła w ciemną harfę i ta stanęła w płomieniach. Powietrze wypełniło się zawodzeniem pękających strun. Raederle zafalowała i zamieniła się w słup ognia; czarodziej przywrócił ją siłą swego umysłu do poprzedniej postaci. Wciąż na poły składała się z ognia i Morgon próbował walczyć z impulsem mocy, który mógł być dla niej śmiertelny, gdy nagle coś go zmroziło. Odwrócił się na pięcie. Spomiędzy drzew przyglądała się im ciekawie grupka mężczyzn. Dosiadali czarnych jak noc koni, odzienie mieli mokre, mieniające się barwami morza.

- Świat - skomentował jeden z nich w ciszy, jaka nagle zapadła - nie jest dla harfistów miejscem bezpiecznym. - Skłonił się Morgonowi. - Naznaczony Gwiazdkami. - Jego blada, nie wyrażająca niczego twarz zdawała się falować w podmuchach lekkiego wietrzyka. Zalaływało od niego morzem. - Dziecię Ylona. - Spojrzenie wodnistych oczu przeniósł na Ghisteslwchlohma. - Najwyższy.

Morgon gapił się na nich oniemiały. W głowie miał kompletną pustkę, choć jeszcze

przed chwilą jego umysł szukał gorączkowo sposobów wyjścia z sytuacji. Nie mieli broni; ich czarne wierzchowce stały nieruchomo, jak wykute z kamienia, ale Morgon wyczuwał, że najmniejsze poruszenie, zmiana światła, krzyk ptaka na fałszywą nutę, może sprowokować bezlitosną szarżę. Zdawali się trwać w zawieszeniu, zastygli jakby w chwili bezruchu, która występuje między dwiema kolejnymi falami; czy to wskutek zaciekawienia, czy niepewności - trudno było stwierdzić. Morgon czuł na ramieniu zaciśniętą dłoń Ghisteslwchlohma i dziwnie pokrzepiał go fakt, że czarodziej chce go żywym.

Zmiennokształtny, który przemówił pierwszy, odpowiedział na jego nieme pytanie z łagodną, wieloznaczną kpina:

- Od tysięcy lat czekamy na spotkanie z Najwyższym.

Czarodziej ze świstem wciągnął powietrze w płuca.

- Tak. Wyście są pomiot mórz Ymris i An...

- Nie. Nie jesteśmy z morza. Ukształtowaliśmy się tylko w rytm jego muzyki.

Brutalnie obeszeł się ze swoim harfistą.

- Mój harfistą, moja sprawa.

- Wiernie ci służył. Obserwowaliśmy przez wieki, jak wypełnia twoje rozkazy, nosi twoją maskę, czeka... jak i my czekaliśmy, a czekanie nasze zaczęło się na długo przed tym, zanim ty postawiłeś stopę na ziemi Najwyższego, Ghisteslwchlohmie. Gdzie jest Najwyższy?

- Jego koń ruszył bezszelestnie niczym cień i zatrzymał się trzy kroki przed Morgonem. Morgon zwalczył w sobie impuls, który kazał mu się cofnąć. Zadziwił go znużony, zniecierpliwiony ton głosu Założyciela:

- Nie interesuje mnie gra w zagadki. Ani walka. Ukształtowaliście się z umarłych ludzi i morskich roślin; oddychacie, gracie na harfach i umieracie... to wszystko, co wiem i co chcę o was wiedzieć. Cofnij wierzchowca, bo zaraz będziesz dosiadał kupy wodorostów.

Zmiennokształtny, nie wykonawszy najmniejszego ruchu, cofnął się z koniem o krok. Jego oczy zalśniły jak woda; przemknął przez nie cień rozbawienia.

- Mistrzu Ohmie - powiedział - czy słyszałeś zagadkę o człowieku, który o północy otworzył drzwi swojego domu i nie zobaczył za nimi czarnego nieba, lecz czarne oko jakiegoś stworzenia rozciągającego się poza wszelkie wyobrażenie? Spójrz na nas jeszcze raz. A potem odejdź spokojnie, zostawiając tu Naznaczonego Gwiazdkami i naszą krewniaczkę.

- Sam spójrz - warknął opryskliwie Założyciel. Morgonem, którego wciąż trzymał za ramię, wstrząsnęła potęga energii wypromieniowanej przezeń w kierunku zmiennokształtnych. Pod jej naporem runęły drzewa, przerażone ptaki wzbily się z wrzaskiem w powietrze. Bezgłośny strumień ognia pomknął ku ich umysłom; Morgon czuł go, ale jakby

z oddali, bowiem jego umysł czarodziej osłonił. Kiedy ucichł trzask i powalone drzewa znieruchomiały, stado spłoszonych ptaków zaczęło przyjmować powoli postaci zmiennokształtnych. Ich liczba podwoiła się teraz, bo okazało się, że połowa występowała dotąd pod postacią nieruchomych koni. Przybierali bez pośpiechu poprzednie kształty na oczach oszołomionego Ghisteslwchlohma, który dopiero teraz zaczynał sobie zdawać sprawę z ich potęgi. Uścisk jego dłoni spoczywającej na ramieniu Morgona zelżał. Bez żadnego wyraźnego powodu zaszeleściły zarośla i zmiennokształtni zaatakowali.

Fala czarnej sierści i czarnych jak muszle kopyt runęła na nich bezgłośnie z taką szybkością, że Morgon ledwie zdążył zareagować. Wytworzył wokół siebie iluzję nicości, którą zauważyła chyba tylko Raederle; krzyknęła cicho, kiedy chwycił ją za rękę. Coś go uderzyło: końskie kopyto albo rękojeść widmowego miecza. Oscylował przez chwilę na granicy niewidzialności, to pojawiając się, to znikając. Napiął odruchowo mięśnie, przygotowując się na śmiertelny cios. Ale ten nie spadał. Wybiegł umysłem wiele mil naprzód, gdzie drogą toczył się wóz wypełniony tkaninami, prowadzony przez pogwizdującego kupca. Napełnił umysł Raederle tą samą wizją i pociągnął ją tam za sobą.

W następnym momencie leżeli już oboje na dnie dużego krytego wozu, krwawiąc na belę haftowanego płótna.

Raederle szlochała. Przyciągnął ją do siebie i próbował uciszyć, ale bez skutku. Słyszał turkot, z jakim koła toczyły się po bitym trakcie, i pogwizdywanie woźnicy stłumione przez oddzielające go bele materiału i plandekę przykrywającą wóz. Na drodze było cicho, nie dochodziły stamtąd żadne odgłosy. Morgona bolała głowa; oparł ją o bele płótna i przymknął powieki. Znowu runęła nań bezgłośnie ciemność. Koło wpadło w jakąś dziurę i wóz się zakołysał. Raederle wyswobodziła się z jego objęć i usiadła. Odgarnęła włosy z oczu.

- Morgonie, on przyszedł po mnie w nocy, a ja byłam boso... nie mogłam nawet uciekać. Myślałam, że to ty. Nie miałam butów na nogach. Nie mogłam... - Urwała nagle i spojrzała na niego jak na zmiennokształtnego. Uniosła rękę do ust, a drugą dotknęła jego twarzy. - Morgonie...

Przesunął dłoń po czole i z pomrukiem zaskoczenia spojrzał na unurzane we krwi palce. Bok twarzy, od skroni do szczęki, piekł jak przypalany ogniem. Bolał go bark; tunika, kiedy jej dotknął, rozpadła się. Świeże, szerokie rozcięcie, jakby zadrapanie ostrym końskim kopytem, ciągnęło się od twarzy, poprzez ramię, aż do połowy klatki piersiowej.

Morgon wyprostował się powoli i popatrzył na plamy krwi, które pozostawił na dnie wozu i pięknych tkaninach kupca. Wzdrygnął się gwałtownie, podciągnął kolana i ukrył w nich twarz.

- Nie zdążyłem uskoczyć. - Przeklinał w duchu swoją opieszałość i naraz usłyszał, że Raederle wstaje. Chwycił ją za przegub i przytrzymał. - Siedz.

- Puść mnie. Poproszę kupca, żeby się zatrzymał. Jak nie puścisz, zacznę krzyczeć.

- Nie. Posłuchaj, Raederle. Posłuchaj mnie! Jesteśmy zaledwie kilka mil na zachód od miejsca, w którym zostaliśmy pojmani. Zmiennokształtni będą nas szukali. Ghisteslwchlohm również, jeśli jeszcze żyje. Musimy uciekać.

- Nie mam nawet butów! A jeśli każesz mi zmienić postać, przeklnę cię. - Znowu dotknęła jego policzka i przełknęła z trudem ślinę. - Morgonie, czy mógłbyś przestać płakać?

- A nie przestałem?

- Nie. - Jej oczy znowu napelniły się łzami. - Wyglądasz jak upiór z Hel. Błagam, pozwól mi poprosić kupca o pomoc.

- Nie.

Wóz zatrzymał się gwałtownie i Morgon jęknął. Podniósł się chwiejnie na nogi, pociągając za sobą Raederle. Między połamami plandeki pojawiła się zdumiona twarz kupca.

- Na ślepie wilka-króla, a wyście skąd się tu wzięli? - Odgarnął bardziej plandekę, żeby wpuścić więcej światła. - Patrzcie, coście zrobili z moim haftowanym materiałem! Wiecie, ile on kosztuje? I z białym aksamitem...

Raederle otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć. Morgon chwycił ją za rękę i cisnął swój umysł w przód niczym umocowaną na łańcuchu kotwicę, która znika w odmętach, by szukać na dnie jakiegoś punktu zaczepienia. Znalazł przed sobą spokojny, nasłoneczniony odcinek drogi. Jechał tamtędy tylko jakiś muzyk umilający sobie śpiewem drogę do Lungold. Morgon przytrzymał umysł Raederle i przerywając jej w pół zdania, skierował się na ten śpiew.

Stali na drodze tylko minutę. Śpiewak minął ich, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Niespodziewany wir światła omotał Morgona. Raederle z zadziwiającą zaciekłością próbowała uwolnić swój umysł spod jego kontroli. Wyczuwał jej gniew i panikę. Zerknąwszy na ogromne pokłady mocy, która w niej drzemała, uświadomił sobie, że mogłaby mu się bez trudu wyrwać, gdyby strach nie pozbawiał jej kontroli nad myślami. Jego własne myśli, bezkształtne, otwarte, poszybowały znowu nad drogą, prześlizgując się po umysłach koni, jastrzębia, kruków uczujących przy wygasłym ognisku. Zaczepieniem dla umysłu Morgona stał się teraz jakiś kmiecy syn, który porzucił ojcowiznę i wyruszył na pociągowej szkapie, by szukać szczęścia w Lungold. Morgon uchwycił się go. Kiedy stanęli w obłoku kurzu wzbitego kopytami oddalającego się konia, Morgon usłyszał własny chrapliwy, zdyszany oddech. Coś smagnęło boleśnie jego umysł. Miał już sparować uderzenie, ale w ostatniej chwili dotarło doń, że to mentalny krzyk Raederle. Uspokoił umysły, jej i swój, i wybiegł myślą dalej w przód.

Kował wędrujący drogą od wioski do wioski, podkuwający tam konie i latający dziurawe kotły, kiwał się sennie na koźle swojego wózka, marząc o piwie. Morgon, podchwytyjąc to marzenie, podążył za nim poprzez upalny poranek. Raederle była dziwnie spokojna. Chciał do niej przemówić, ale bał się, że go to zdekoncentruje. Otworzył znowu umysł i usłyszał śmiech kupców. Wypełnił swoje myśli tym śmiechem i wkrótce słyszeli go już zza pobliskich drzew. Nagle przestał wyczuwać umysł Raederle. Szukał go, zdumiony, po omacku, ale natrafiał tylko na myśli drzew i zwierząt. Nie mógł jej znaleźć sondą swojego umysłu. Koncentracja prysła i ujrzał dziewczynę przed sobą.

Oddychała szybko, cicho i patrzyła nań. Była spięta, gotowa krzyknąć, rzucić się na niego, a może rozplakać.

- Jeszcze jeden raz - wymamrotał z twarzą tak stężoną, że ledwie mógł poruszać ustami. - Błagam. Byle do rzeki.

Po chwili kiwnęła głową. Dotknął jej dłoni, a potem umysłu. Poszukał w słonecznym blasku spokojnych świadomości: ryb, wody, ptaków, rzecznych stworzeń. Przed nimi pojawiła się rzeka; stali na jej brzegu na okolonej paprociami polance, którą porastała aksamitnie miękka trawa.

Puścił rękę Raederle, padł na czworaki i zaczął pić. Kojący szum wody zagłuszył wrzask, jakim napełniało jego umysł palące słońce. Podniósł wzrok na Raederle, żeby coś powiedzieć. Nie zobaczył jej. Zwalił się na ziemię i zasnął z twarzą w rzece.

Obudził się w środku nocy. Raederle siedziała obok i przyglądała mu się znad małego ogniska. Przez długi czas patrzyli tak na siebie w milczeniu, jakby oglądali własne wspomnienia. W końcu Raederle dotknęła jego policzka. Twarz miała ściągniętą; zauważył w jej oczach coś, czego tam nigdy dotąd nie widział.

Dziwny smutek ścisnął go za gardło.

- Przepraszam - wyszeptał. - Byłem w rozpacz.

- Nic się nie stało. - Poprawiła mu opatrunek na piersi; w bandażach, którymi miał opasany tors, rozpoznał jej podartą na pasma koszulę. - Znalazłam zioła, którymi świniopaska... to znaczy Nun... leczyła poranione śwynie. Mam nadzieję, że tobie też pomogą.

Chwycił ją za dłonie, splótł palce z jej palcami.

- Powiedz to, proszę.

- Nie wiem, co powiedzieć. Nikt dotąd nie próbował zawładnąć moimi myślami. Byłam na ciebie zła, pragnęłam tylko wyzwolić się spod twojego wpływu i wrócić do Anuin. I nagle... uwolniłam się. Zostałam jednak z tobą, bo ty rozumiesz... ty rozumiesz moc. Rozumieją ją również zmiennokształtni, którzy zwą mnie swoją krewniaczką, ale tobie ufam. - Umilkła. Morgon nie spuszczał z niej wzroku. Wydawała mu się jakaś dziwna, falowała w blasku ogniska, masa jej zmierzwionych włosów przypominała zebrane z powierzchni morza wodorosty, skórę miała bladą jak muszla, wyraz jej twarzy zmieniał się niczym światło nad morzem. Odwróciła raptownie głowę. - Nie patrz tak na mnie!

- Przepraszam - powtórzył. - Tak pięknie wyglądasz. Wiesz, jakiej mocy trzeba, żeby wyrwać się spod któregoś z moich zaklęć?

- Wiem. Mocy zmiennokształtnych. A ja ją posiadam.

Patrzył na nią w milczeniu. Przebiegł go zimny dreszcz.

- Są potężni - mruknął po chwili i usiadł, nie zwracając uwagi na ból w barku. - Dlaczego nie wykorzystują tej swojej mocy? Nigdy się nią nie posługują. Już dawno mogli mnie uśmiercić. W Herun zmiennokształtny Corrig mógł mnie zabić we śnie; zamiast tego zdradził się przede mną, grając na harfie. Sprowokował mnie, żebym to ja jego zabił. W Isig...



trzech zmiennokształtnych nie zdołało sobie poradzić z jednym kmiącym księciem z Hed, który nigdy wcześniej nie miał w ręku miecza. Czym oni, na Hel, są? Czego ode mnie chcą? Czego chce ode mnie Ghisteslwchloh?

- Myślisz, że go zabili?

- Nie wiem. Chyba miał na tyle rozumu w głowie, żeby czmychnąć. Jestem zdziwiony, że nie znalazł się razem z nami w tym pierwszym wozie.

- Będą cię szukali w Lungold.

- Wiem. - Morgon przesunął dłonią po twarzy. - Wiem. Może z pomocą czarodziejów uda mi się odciągnąć ich od miasta. Muszę tam szybko dotrzeć. Muszę...

- Wiem. - Raederle odetchnęła głęboko. - Morgonie, naucz mnie przemieniać się w kruka. To przynajmniej postać królów An. A lotem ptaka dotrzemy na miejsce szybciej niż piechotą, a do tego boso.

Uniół głowę. Po chwili położył się na wznak, pociągając ją za sobą. Chciał coś powiedzieć, ale w głowie miał mętlik.

- Nauczę się grać na harfie - wymruczał w końcu i poczuł, jak Raederle, wtulona w jego pierś, uśmiecha się. Potem wszystkie myśli zbiegły mu się w jedno wspomnienie wabiących dźwięków harfy, dobiegających gdzieś z ciemności. Zdał sobie sprawę, że znowu płacze, dopiero kiedy uniół rękę do oczu. Raederle milczała, obejmując go lekko.

- Wczoraj w nocy przysiadłem się do Detha nie dlatego, że miałem nadzieję zrozumieć jego postępowanie, ale dlatego, że on mnie tam przyciągnął, że chciał, bym przy nim był - odezwał się długi czas potem, kiedy ognisko już wygasło. - I nie zatrzymał mnie tam grą na harfie ani rozmową, ale czymś na tyle potężnym, że zapomniałem o swoim gniewie. Przyszedłem do niego, bo tego chciał. Chciał mnie zobaczyć, więc przyszedłem. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Ty go kochałeś, Morgonie - wyszeptała Raederle. - To było oczarowanie.

Morgon nie odpowiedział. Przed oczyma stanęła mu nieruchoma, wymizerowana twarz po drugiej stronie ogniska. Wsłuchał się znowu w milczenie harfisty, z taką intensywnością, że w końcu niemal usłyszał brzmienie zagadek splecionych w swoistą niewidzialną pajęczą sieć w ogromnej, tajemnej grze, która samą śmierć Detha czyniła zagadką. Po jakimś czasie podziały zioła, którymi Raederle obłożyła mu policzek, i znowu zapadł w sen.

Nazajutrz o świcie nauczył Raederle przyjmowania postaci kruka. Wszedł w jej umysł, znalazł tam głęboko ukryte wyobrażenia kruków, opowieści o nich, wspomnienia, z których istnienia dziewczyna właściwie nie zdawała sobie sprawy: nieodgadnione, kruczo-

czarne oczy jej ojca, kruki wśród dębów otaczających stada świń Raitha, kruki przewijające się przez karty historii An, padlinożercy, posłańcy, strażnicy kurhanów, ich krakanie przesycone kpina, gorzkimi ostrzeżeniami, poezją.

- Skąd to wszystko się tam wzięło? - zapytała zdumiona Raederle.

- Te kruki to prawo ziemi An - odparł. - Potęga i serce An. Nic więcej.

Przywołał z jednego z pobliskich drzew zaspanego kruka; ptak usiadł mu na przegubie.

- Potrafisz wejść w mój umysł? Wejrzeć w moje myśli?

- Nie wiem.

- Spróbuj. Nie powinno ci to sprawić trudności.

Otworzył swój umysł przed umysłem kruka i wysłał procesy zachodzące w jego mózgu, dopóki nie zobaczył oczami ptaka swojej zamglonej, bezimiennej twarzy. Pod zeschniętymi liśćmi, pod korzeniami drzew usłyszał ruchy, precyzyjne i wyizolowane jak dźwięki fletu. Zaczął rozumieć kruczy język. Zakrakał bardziej z ciekawości niż potrzeby. Poczul, jak w jego umysł, niczym światło, wnika Raederle. Krtań ścisnęła mu się z zachwytem. Przez chwilę trzy umysły bez lęku, niepewnie, czerpały z siebie nawzajem. Potem kruk zakrakał; jego czarne skrzydła przesłoniły Morgonowi widok. Został w swoim umyśle sam, szukając po omacku tego, co go opuściło. Kruk zatrzepotał skrzydłami i przysiadł mu na ramieniu. Morgon spojrzał mu w oczy.

Uśmiechnął się. Kruk podfrunął nieporadnie w powietrze i chciał usiąść na gałęzi drzewa, ale nie wyszło mu lądowanie. Zamachał rozpaczliwie skrzydłami, ratując się przed upadkiem, i przysła w nim delikatna równowaga pomiędzy instynktem a wiedzą. Przemienił się z powrotem w Raederle.

Oszołomiona i przestraszona, patrzyła z gałęzi na Morgona.

- Przestań się śmiać. Morgonie, fruwałam. Na Hel, ale jak ja stąd teraz zejść?

- Sfruń.

- Zapomniałam jak!

Podleciał w górę i usiadł na gałęzi obok niej. Tam zmienił znowu postać. Gałąź zatrzęszczała pod ich ciężarem.

- Spadniemy do rzeki! - krzyknęła Raederle. - Morgonie, gałąź się łamie... - Kracząc, wzbila się w powietrze. Morgon podążył za nią. Mknęli wysoko nad drzewami. Widzieli pod sobą setki mil bezkresnej kniei i drogę, która ją przecinała. Wznosili się i wznosili, aż wozy kupców stały się maleńkimi insektami, które pełzły powoli wąską wstążką kurzu. Zataczając kręgi na tle wschodzącego słońca, zniżyli lot. Ich skrzydła biły w zgodnym rytmie.

Wylądowali wśród nadbrzeżnych paproci i powrócili do ludzkich postaci. Popatrzyli na siebie.

- Twoje oczy są pełne skrzydeł - szepnęła Raederle.

- A twoje pełne słońca.

\* \* \*

Lecieli pod postaciami kruków przez następne dwa tygodnie. Milczący, złoty las dębowy ciągnął się aż po granice bezdroży. Po jakimś czasie droga skręciła ku północy i przeciskała się teraz przez lasy sosnowe, których ciszy od wieków nic nie mąciło. Pięła się zakosami na brązowe wzgórza, przeprawiała po mostach nad kanionami, dnem których z Jezior Lungold spływały srebrzyste żyłki wody. Lasy ciągnęły się aż po horyzont, ku błękitnej mgiełce gór na zachodnim krańcu bezdroży. Za dnia niebo było bezchmurne, metalicznie niebieskie. W nocy roziskrzało się gwiazdami aż po krawędzie świata. Odgłosy bezdroży, ziemi, skał i prastarego, nieujarzmionego wiatru były zbyt silne, by mógł je przenieść sam dźwięk. Pod nimi zalegała namacalna jak granit cisza. Morgon wyczuwał ją pod skrzydłami, przenikała go do szpiku kości, omywała chłodnym powiewem serce. Z początku uciekał od niej, sprzęgając się z umysłem Raederle i prowadząc z nią osobliwą konwersację w nieartykułowanym języku. Potem cisza złała się powoli z rytmem jego lotu, a w końcu przeszła w pieśń. Kiedy ledwie już pamiętał swój język, a Raederle postrzegał jako ciemny, wyrzeźbiony wiatrem kształt, bezkresne lasy rozstały się pod nimi. W oddali, nad brzegiem pierwszego z Jezior Lungold, rozpościerało się wielkie, założone przez Ghisteslwhlohma miasto, połyskujące w ostatnich promieniach zachodzącego słońca miedzią, brązem i złotem.

Dwa zmęczone kruki dolatywały wreszcie do celu swej podróży. Las na obrzeżach miasta wykarczowano na wiele mil, by zrobić miejsce pod pola uprawne, pastwiska i ogrody. Chłodną woń sosen zastąpił drażniący krucze zmysły Morgona zapach zaoranej ziemi i ziarna. Droga Kupców, poszatkowana na ostatniej mili mozaiką cieni, docierała do głównej bramy miasta i tam się urywała. Brama miała formę smukłego, strzelistego łuku z białego kamienia, w którym osadzono wierzeje z ciemnej polerowanej dębiny. Miasto otaczał imponujący mur obronny - gruby, wzmocniony potężnymi przyporami z potężnych belek i kamieni, wznoszący się wysoko ponad dachy rozsianych pod nim budynków. W murze tym widniały mniejsze bramy, do których dochodziły powstałe później uliczki podgrodzia. Wokół miasta, a nawet na szczycie samych murów wyrosły domy i warsztaty, tak jakby ich budowniczy dawno zapomnieli o trwodze, która przed siedmioma wiekami kazała mieszkańcom wznieść te umocnienia.

Kruki usiadły na łuku głównej bramy. Same podwoje z grubych dębowych bali wzmocnionych okuciami z brązu wyglądały tak, jakby od stuleci ich nie zamykano. Na masywnych zawiasach uwiły sobie gniazda ptaki. Zaraz za murami rozbiegał się na wszystkie strony labirynt brukowanych kocimi łbami uliczek, wzdłuż których ciągnęły się jaskrawo pomalowane gospody, hale targowe, sklepiki przekupniów i rzemieślników; w oknach mieszkań wietrzyła się pościel, z parapetów zwisały girlandy kwiatów. Morgon sięgnął kruczym wzrokiem ponad dachami domów i kominami ku północnym krańcom miasta. Tafla jeziora zdawała się płonąć w promieniach zachodzącego słońca, można było odnieść wrażenie, że setki łodzi rybackich cumujących w przystani kołyszą się na morzu ognia.

Morgon sfrunął na ziemię, między otwarte skrzydło bramy i mur, i tam zmienił postać. Raederle poszła za jego przykładem. Popatrzyli na siebie. Twarze mieli wychudłe, napiętnowane dzikością i ciszą bezdroży, ledwie siebie poznawali. Po chwili Morgon otoczył Raederle ramieniem i pocałował ją nieśmiało. Twarz dziewczyny zaczęła nabierać rumieńców.

- Co my, na Hel, uczyniliśmy? - wyszeptała. - Morgonie, mam wrażenie, że śniłam przez sto lat.

- To były tylko dwa tygodnie. Jesteśmy w Lungold.

- Wracajmy do domu. - Coś dziwnego pojawiło się w jej oczach. - Co my jedliśmy?

- Mniejsza z tym. - Nadstawił ucha. Ruch prawie ustał; usłyszał tylko samotnego jeźdźca, który zdązał przed zmierzchem do miasta. Morgon wziął Raederle za rękę. - Chodźmy.

- Dokąd?

- Nie czujesz tej woni? Błąka się gdzieś po obrzeżach mojej świadomości. To zapach mocy...

I ruszył krętymi uliczkami śladem tego zapachu. Była pora wieczery i miasto przycichło; od kuszących aromatów, które wypływały z mijanych gospod, burczało obojgu w brzuchach. Nie mieli jednak pieniędzy, a postrzępione odzienie Morgona i bose stopy Raederle upodabniały ich do żebraków. Promieniowanie rozkładającej się, źle użytej mocy ciągnęło Morgona w stronę serca miasta. Szli pnącą się pod górę szeroką ulicą, szpalerem eleganckich sklepów i wystawnych kupieckich kamienic. Im bardziej zbliżali się do szczytu wzniesienia, tym mniej mijali bogatych domów. Pod samym szczytem wszystkie biegnące ku niemu uliczki urywały się nagle. Na ogromnym, zrytym rozpadlinami placu stały ruiny starożytnej szkoły czarodziejów. Wypalona skorupa budowli lśniła w blasku gasnącego dnia.

Morgon zatrzymał się. Na widok tego zwału gruzów, którego nigdy wcześniej nie

widział i nie chciał zobaczyć, odezwała się w nim jakaś stara tęsknota.

- Nic dziwnego, że tu ściągają - wymruczał z niedowierzaniem. - Coś pięknego...

W ogromnych, na wpół zrujnowanych salach - jednej bez ścian, innej bez stropu - zachowały się nadal ślady bogactwa królestwa. W powybijanych oknach tkwiły jeszcze resztki oprawnych w złoto szybek o barwach klejnotów. Osmalone wewnętrzne ściany pokrywały pozostałości dębowych i cedrowych boazerii. Na porozrzucanych po posadzce belkach widniały miedziane i brązowe okucia. Wysokie, zakończone łukowato okna, przez które przeświecały smugi odbitego światła, stwarzały iluzję spokoju, która działała kojąco na przyciągane przez szkołę niespokojne umysły. Choć upłynęło już siedem wieków, Morgon czuł tę iluzję i intencję: zgromadzenie w jednym miejscu najpotężniejszych umysłów królestwa, by dzieliły się tu wiedzą, prowadziły badania i ujarzmiły swą moc. Dziwna tęsknota znowu ścisnęła mu serce; nie potrafił jej wytłumaczyć. Stał zapatrzony w ruiny zniszczonej szkoły, dopóki nie poczuł na ramieniu dłoni Raederle.

- Co ci jest? - spytała.

- Sam nie wiem. Chciałbym... chciałbym tu studiować. Jedyna moc, jaką znam, to moc Ghisteslwchlohma.

- Czarodzieje ci pomogą - powiedziała bez przekonania.

Spojrzał na nią.

- Zrobisz coś dla mnie? Wróc do postaci kruka. Wezmę cię na ramię i przeszukam te ruiny. Mogą tam czyhać na intruzów rozmaite pułapki albo zaklęcia.

Raederle kiwnęła ze znużeniem głową i bez komentarza zmieniła postać. Potem usiadła Morgonowi na barku i ten wkroczył na teren szkoły. Nie rosło tam ani jedno drzewo. Tu i ówdzie, wśród zrytej, spalonej ziemi, żółciła się kępka suchej, rachitycznej trawy. Potrzaskane kamienie leżały tam, gdzie upadły, głęboko w nich płonęło wciąż wspomnienie mocy. Od wieków nikt tu niczego nie tknął. Morgon czuł to, zbliżając się do gmachu szkoły. Nad całym zgromadzonym tu bogactwem wisiało, niczym ostrzeżenie, straszne wrażenie destrukcji. Cicho, z otwartym umysłem, węsząc, wśliznął się do budowli.

W salach było coś znajomego. Pod zawalonymi ścianami znajdował głównie zmiażdżone kości. Gromadziły się wokół niego niczym widma wspomnienia nadziei, albo energii, albo rozpacz. Zaczynał się pocić pod naporem wizji stoczonej tu zaciętej, beznadziejnej bitwy. Wsunąwszy się do wielkiej, kolistej sali, usytuowanej w samym środku budowli, poczuł tętniące wciąż w ścianach vibracje straszliwej eksplozji nienawiści i desperacji. Z gardła kruka wydobył się chrapliwy skrzek; jeszcze mocniej wpił się szponami w ramię Morgona. Morgon szedł między zaścielającymi posadzkę szczątkami sufitu,

zmierzając do rozbitych, ledwie trzymających się na zawiasach drzwi po drugiej stronie sali. Prowadziły do ogromnej biblioteki. Po podłodze walały się tu opalone strzępy bezcennych starożytnych ksiąg o magii. Szalejący wśród półek ogień strawił wszystko, pozostawiając tylko grzbiety i spalone resztki przechowywanych w bibliotece dzieł. W pomieszczeniu unosił się nadal swąd spalonej skóry, jakby powietrze nie drgnęło tu od siedmiu wieków.

Morgon mijął kolejne puste sale. W jednej natrafił na zakrzepłe kałuże stopionego złota, srebra i innych cennych metali, oraz na okruchy potrzaskanych klejnotów, które niegdyś służyły studentom za pomoce naukowe; w innej znalazł połamane kości małych zwierząt. W jeszcze innej łóżka; w jednym z nich, pod kołdrą leżał skulony szkielet dziecka. Morgon zawrócił i wymacując sobie drogę w ciemnościach, wydostał się przez rozpękniętą ścianę w zapadający wieczór. Ale i tu powietrze wypełniały bezgłośnie krzyki, a ziemia pod jego stopami była martwa.

Przysiadł na kupie kamieni wyrwanych z narożnika budowli. Z nagiego szczytu wzgórza roztaczał się widok na mrowie dachów, ciągnące się aż po zmurszałe mury miasta. Wszystkie były kryte drewnem. Morgon wyobraził sobie pożar rozprzestrzeniający się po tych dachach na całe miasto, trawiący pola uprawne i sady, mknący brzegiem jeziora ku lasom pod bezchmurnym letnim niebem, nie dającym nadziei na deszcz, który mógłby stłumić pożogę. Podparł głowę pięściami.

- Co ja tu, na Hel, robię? - wyszeptał. - On już raz zniszczył Lungold; teraz zniszczymy je pospołu. Czarodzieje nie wracają tutaj, by stawić mu czoło; wracają, by zginąć.

Kruk zaskrzeczał. Morgon wstał i spojrzał znowu na ogromne ruiny rysujące się ponuro na tle wieczornego nieba. Węsząc umysłem, natrafił tylko na wspomnienia. Nasłuchując, odbierał tylko echa przeklinanego bezgłośnie od wieków imienia. Przygarbił się.

- Jeśli tu są, to dobrze się ukryli... nie wiem, jak ich szukać.

Poprzez kruczy umysł przebił się na moment głos Raederle wygłaszającej krótki komentarz. Morgon odwrócił głowę i spojrzał w czarne, bystre oko ptaka.

- Tak. Wiem, że potrafię ich znaleźć. Jestem w stanie przejrzeć ich iluzje i przełamać zaklęcia. Ale widzisz, Raederle... to wielcy czarodzieje. Dochodzili do swojej mocy ciekawością, dyscypliną, uczciwością... może nawet czerpali z tego przyjemność. Nie zdobyli jej, wrzeszcząc w korzeniach Góry Erlenstar. Nigdy nie majstrowali przy prawie ziemi ani nie tropili jakiegoś harfisty z jednego końca królestwa w drugi z zamiarem pozbawienia go życia. Mogą uznać, że przydam im się tutaj, walcząc po ich stronie, ale nie jestem pewien, czy obdarzą mnie zaufaniem... - Kruk milczał; Morgon pogładził go palcem po piersi. - Wiem. Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Wrócił w ruiny. Tym razem otworzył się całkowicie na kipiel destrukcji i zetlałe wspomnienia o zapomnianym pokoju. Jego umysł niczym wielofasetkowy klejnot odbijał wszystkie odcienie unoszącej się tu mocy, która promieniowała ze splekanych kamieni, z ocalałej stronicy księgi zaklęć, z przeróżnych starodawnych przedmiotów, które znajdował przy zabitych: z pierścieni, z dziwnie rzeźbionych lasek, z kryształów, w których zastygło światło, ze szkieletów skrzydlatych zwierząt, których nazw nie znał. Sortował wszelkie poziomy mocy i odnajdywał źródło każdego. Śledząc tłący się płomyk, aż do jego zarzewia ukrytego głęboko w kałuży stopionego żelaza, spowodował przypadkowo detonację i stwierdził, że samo żelazo jest jakąś istotną częścią wiedzy. Wybuch wyrzucił kruka na sześć stóp w powietrze i wstrząsnął sufitem, z którego posypały się kamienie. Wtopił się odruchowo w jego siłę, nie próbując nawet z nią walczyć; kruk, kracząc nerwowo, patrzył, jak powraca do swojej postaci, wyłaniając się stopniowo z kamienia, w który cisnął go podmuch. Morgon wziął ptaka w dłoń i uspokoił. Był oszołomiony finezyjnością starożytnej sztuki czarodziejskiej. Czegokolwiek dotknął umysłem - drewna, szkła, złota, pergaminu, kości - natrafiał tam na iskierkę mocy. Kiedy się ściemniło, rozświetlił na srebrno belkę podtrzymującą strop i dalej cierpliwie, wnikliwie prowadził swoją eksplorację. Wreszcie, około północy, kiedy siedzący mu na ramieniu kruk już drzemał, natrafił umysłem na drzwi, które nie istniały.

Była to potężna iluzja; patrzył już wcześniej na te drzwi i niczego przez nie nie zobaczył, nie skusiło go też, żeby je otworzyć. Były z grubego, okutego żelazem dębu, chronione masywnymi sztabami i zaryglowane. Żeby je otworzyć, musiałby się wpierv przebić przez zwały pokruszonych kamieni i nadpalonych belek. Ściana wokół drzwi była zburzona niemal do samej posadzki; wydawało się, że rygle tkwią w powietrzu. Ale te drzwi zostały w jakimś celu stworzone z żywej mocy. Przelazł przez rumowisko i przyłożył do nich dłoń. Czyjś umysł zagroził mu drogę, omamił zmysł dotyku wrażeniem drewnianej powierzchni pod palcami. Morgon zawahał się, po raz kolejny oszołomiony potęgą własnej mocy. Potem postąpił krok, stając się na moment stoczonym przez robactwo dębem, zardzewiałymi ryglami i mocą, która je tam wyczarowała.

Otoczyły go ciemności. Zaczął zstępować szybko po prowadzących pod ziemię schodach. Iluzja wysuszonego piasku zasłaniała stopnie przed jego wzrokiem. Płomień pochodni chwiał się i coraz bardziej kurczył. Po chwili Morgon odgadł, jaka siła go tłumi. Podsycił i ustabilizował płomień siłą umysłu.

Starte stopnie opadały stromo wąskimi schodami. Dotarł do ich krańca i stanął przed ślepą, nieprzenikloną ścianą ciemności; w nozdrza uderzyła go woń gnijącego drewna i wilgotnych kamieni. Podsycił płomień pochodni; jej blask wyłowił z mroku fragment jakiejś

ogromnej pustki. Morgona przeszedł zimny dreszcz. Kruk zaskrzeczał cicho. Morgon, czując, że ptak zaczyna zmieniać postać, pokręcił głową. Kruk ukrył łepkę w jego włosach. Morgon zaczął podsycać coraz bardziej płomień pochodni, wypatrując kresu rozciągającej się przed nim mrocznej otchłani, i nagle coś wsączyło się w jego myśli. Wyczuł gdzieś blisko moc nie mającą nic wspólnego z ogromną podziemną pustką. Zaintrygowany, zaczął podejrzewać, iż ta pustka jest iluzją.

Wciągnął cicho powietrze i wstrzymał oddech. Nasuwało mu się tylko jedno możliwe wytłumaczenie: paradoks czarodziejstwa. Nie miał innego wyboru, jak odwrócić się i odejść stąd. Upuścił pochodnię na ziemię i zaczekał, aż zgaśnie. Sam nie wiedział, ile czasu stał, zmagając się z ciemnością. Im bardziej wyteżał wzrok, tym bardziej uświadamiał sobie swoją ślepotę. W końcu zakrył splecionymi dłońmi oczy. Znowu dygotał; odnosił wrażenie, że ciemność czai się nad jego głową niczym jakiś ogromny, zwalisty stwór. Ale nie potrafił zawrócić; uparcie stał dalej i w milczeniu wyglądał jakiejś pomocy.

- Noc nie jest czymś, co trzeba znosić do świtu. To żywioł, jak wiatr albo ogień. Ciemność jest królestwem samym w sobie; rządzi się własnymi prawami i zamieszkuje ją wiele żywych istot. Próbujesz oddzielić od niej swój umysł. Daremny to trud. Podporządkuj się prawom ciemności.

- Nie potrafię. - Morgon opuścił ręce i czekał w bezruchu.

- Spróbuj.

Zacisnął pięści; pot szczypał go w oczy.

- Mogę walczyć z Założycielem, ale nie zdołałem nauczyć się od niego, jak walczyć z tym.

- Przedarłeś się przez moją iluzję tak, jakby w ogóle nie istniała. - Głos był cichy, ale silny. - Podtrzymałem ją całą mocą, jaką jeszcze posiadam. Oprócz ciebie, Naznaczony Gwiazdkami, jeszcze tylko dwie osoby potrafiłyby się przez nią przebić. Jestem Iff. - Tu, szeregiem szorstkich sylab, z płynną, melodyjną intonacją, wypowiedział swoje pełne imię. - Uwolniłeś mnie spod władzy Założyciela, a ja zaoferowałem się służyć ci do końca swych dni. Widzisz mnie?

- Nie - szepnął Morgon. - A chciałbym.

Otoczył go krąg płonących pochodni. Wrażenie pustki ustąpiło. Łagodna świadomość czegoś niezupełnie realnego, jakby nieokreślonego wspomnienia, była bardzo silna. Z kupki posegregowanych kości patrzyła na niego pytająco trupia czaszka; z innej takiej kupki jeszcze jedna. Stał w kolistej krypcie; w wilgotnych ścianach z żywej ziemi widniały głębokie szczeliny. Włoski zjeżyły mu się na karku. Znajdował się w grobowcu ukrytym pod wielką



szkołą i przeszkodził ostatnim żyjącym czarodziejom z Lungold w pochówku zmarłych towarzyszy.

W wysokiej, chudej kobiecie o długich, siwych włosach i przebiegłej, kanciastej twarzy rozpoznał natychmiast Nun. Palila wysadzaną klejnotami fajeczkę; przyglądała mu się z osobiwą mieszaniną podziwu i niepokoju oczyma o jeden odcień ciemniejszymi od dymu z jej fajki. Za nią stał potężny czarodziej o obliczu rzeźbionym i poblźnionym w bitwach niczym twarz króla. Martwe włosy miał przetykane srebrem i złotem, w jego żywych oczach tlił się błękitny płomyk. Patrzył na Morgona z przeszłości, tak jakby widok trzech gwiazdek cofnął go do jakichś zapomnianych, skrytych w pomroce dziejów wydarzeń. Obok jednej ze szczelin wydłubanych w ścianie klęczał ciemnooki czarodziej o wychudłej twarzy, przywodzącej na myśl drapieżnego ptaka. Minę miał gniewną, ponurą, ale przyjrząwszy mu się lepiej, Morgon dostrzegł błakający się po ustach uśmieszek, charakterystyczny dla tych, których przyłapano na czymś niestosownym. Na koniec Morgon przeniósł wzrok na stojącego przy nim wysokiego, chudego czarodzieja o głosie Mistrza z Caithnard. Twarz mężczyzny była zniszczona, ascetyczna, jednak Morgon wyczuwał niepospolitą siłę drzemiącą w jego żyłastym ciele.

- Iff? - spytał niepewnie.

- Tak. - Czarodziej wyciągnął bardzo powoli rękę, zdjął kruka z ramienia Morgona i w tym momencie Morgonowi, nie wiedzieć czemu, przypomniały się księgi z rysunkami polnych kwiatów na marginesach, przywiezione do Caithnard przez morgolę Herun.

- Ty jesteś tym uczonym, który kocha dziką przyrodę.

Czarodziej oderwał wzrok od kruka, na jego nieruchomej dotąd twarzy malowało się zaskoczenie i zmieszanie. Kruk patrzył na niego ponuro, nie drgnęło mu nawet jedno pióro. Czarodziej o jastrzębiej twarzy wsunął w szczelinę czaszkę, którą trzymał w ręku, wstał z klęczek i podszedł do nich.

- Nie tak dawno wysłaliśmy z powrotem do Anuin bardzo podobnego kruka - powiedział. Głos miał taki sam jak oczy, gniewny i spokojny zarazem.

- Raederle! - krzyknęła Nun. - Na Hel, a ty co tu robisz?

Iff spojrział na nią ze zdumieniem.

- Wybacz - mruknął do kruka i umieścił go z powrotem na ramieniu Morgona, a potem, zwracając się do tego ostatniego, spytał: - To twoja żona?

- Nie. Nie chce za mnie wyjść. Do domu też nie chce wrócić. Ale da sobie radę.

- W starciu z Ghisteslwchlohmem? - Jastrząb i kruk patrzyli sobie przez chwilę w

oczy, potem kruk przestąpił niepewnie z nogi na nogę i skrył łepkę za uchem Morgona. Morgon najchętniej zdjąłby go teraz z ramienia i schował na sercu za pazuchą tuniki. Cienkie brwi czarodzieja powędrowały w górę.

- Przez wiele stuleci służyłem królom An i Aum. Po zniszczeniu Lungold stałem się sokołem. Chwymano mnie nieustannie, starzałem się w niewoli i uciekałem, by odmłodnieć. Ileż to obrączek i dzwoneczków nosiłem przez wieki, krążąc na wietrze, by wracać zawsze na ramiona kolejnych królów Anuin. Żaden z nich, nawet Mathom z An, nie miał takiej mocy, by mnie przejrzeć. W niej drzemie potężna, nieujarzmiona moc... Przypomina mi kogoś, kto zapadł mi w sokołą pamięć...

Morgon dotknął delikatnie kruka, zaniepokojony jego milczeniem.

- Sama ci to powie - mruknął w końcu i wiekowa, dumna twarz czarodzieja zmieniła wyraz.

- Czy ona się nas boi? Dlaczego? Pod postacią sokoła jadłem mięso z ręki jej ojca.

- Jesteś Talies - zawołał Morgon i czarodziej kiwnął głową. - Ten historyk. Studiując w Caithnard, przeczytałem wszystko, co napisałeś o Hed.

- Cóż. - Bystre oczy znowu niemal się uśmiechały. - Napisałem to przed wiekami. Hed bez wątpienia zmieniła się od tamtego czasu, skoro obok koni pociągowych i piwa wydała Naznaczonego Gwiazdkami.

- Nie. Gdybyś wrócił teraz na wyspę, zastałbyś ją taką jak dawniej. - W tym momencie Morgon przypomniał sobie o upiorach An i ugryzł się w język. Zwrócił się do czarodzieja przypominającego posturą ymriskiego wojownika. - A tyś jest Aloil. Poeta. Pisałeś miłosne wiersze dla... - Znowu urwał. Tym razem powodem było zakłopotanie. Ale Nun uśmiechała się.

- Pomyśleć tylko, że ktoś pamięta to wszystko, choć od tamtych czasów upłynęło ponad tysiąc lat. Dobrze cię wyuczyli w tym uniwersytecie.

- Pisma czarodziejów z Lungold - tych, którzy tu nie zginęli - stały się fundamentem sztuki rozwiązywania zagadek - wyjaśnił Morgon. I wychwytując pytanie rodzące się w umyśle Aloila, dodał: - Część twoich dzieł przechowywana jest w Caithnard, reszta znajduje się w królewskiej bibliotece w Caerweddin. Właścicielem większości ksiąg z twoją poezją jest Astrin Ymrís.

- Moja poezja. - Czarodziej przejechał guzłowatą dłonią po włosach. - Powinna była tu szeznać. Tyle tylko jest warta. Przynosisz ze sobą wspomnienia, opowieści o królestwie, którego my już raczej w swoim życiu nie ujrzymy. My przybyliśmy tu, by zabić Ghisteslwchlohma albo zginąć.

- Ja nie - powiedział cicho Morgon. - Ja przybyłem tutaj, by zadać Założycielowi pewne pytania.

Czarodziej, otrząsając się z refleksji, spojrział na niego spod ściągniętych brwi.

- Pytania!

- Cóż w tym dziwnego? - wtrąciła uspokajająco Nun. - Wszak jest mistrzem zagadek.

- A co tu mają do rzeczy zagadki?

- Hmm. - Nun przygryzła ustnik fajeczki i nie odpowiadając, wydmuchnęła w powietrze strumień skłębionych obłoczków dymu.

- Wystarczy ci siły? - spytał rzeczowo Iff.

- Żeby go zabić? Owszem. Żeby ujarzmić jego umysł i wydobyć zeń wiedzę, której mi potrzeba... którą muszę osiąść też. Znajdę w sobie tyle mocy. Martwy jest dla mnie bezużyteczny. Ale nie mogę walczyć jednocześnie ze zmiennokształtnymi. I nie znam ich potęgi.

- Wszystko komplikujesz - mruknęła Nun. - A przybyliśmy tu w takim prostym celu...

- Jesteście mi potrzebni żywi.

- Hmm. Miło jest być komuś potrzebnym. Rozejrzyj się. - Zatoczyła ręką łuk, a blask pochodni zdawał się podążać za jej gestem. - Przed siedmioma wiekami było tu dwudziestu dziewięciu czarodziejów i dwustu utalentowanych studentów obojga płci. Z tej liczby grzebiemy właśnie dwieście dwadzieścioro czworo. Dwadzieścioro troje, jeśli nie Uczyć Sutha. A wiesz, jak on umarł. Spenetrowałeś ten gmach. To jeden wielki grobowiec sztuki czarodziejskiej. W tych starożytnych kościach drzemie nadal moc i dlatego ich chowamy. Żeby za parę stuleci jakieś podrzędne wiedźmy i szamani nie przychodzili tutaj szukać kości z ud i palców do swoich obrządków. Polegli w Lungold zasłużyli sobie na trochę spokoju. Wiem, że złamałeś klątwę Ghisteslwchlohma i uwolniłeś nas spod jej działania. Jednak, ruszając w pogoń nie za nim, lecz za jego harfistą, dałeś mu czas na zregenerowanie sił. Nadal jesteś taki pewien, że potrafisz zapobiec kolejnej destrukcji?

- Nie. Niczego już nie jestem pewien. Nawet własnego imienia, żyję od zagadki do zagadki. Ghisteslwchlohm wzniosł, a potem zburzył Lungold z powodu tych trzech gwiazdek.

- Odgarnął włosy z czoła. - Te gwiazdki wywabiły mnie z Hed i zaprowadziły w jego ręce... Gdyby nie one, pędziłbym dalej szczęśliwy żywot na Hed, warzył piwo, hodował konie pociągowe, w błogiej nieświadomości waszego istnienia i oszustwa, jakim jest osoba Najwyższego, sprawująca jakoby rządy spod Góry Erlenstar. Muszę się dowiedzieć, co te gwiazdki oznaczają. Dlaczego Ghisteslwchlohm nie bał się Najwyższego. Dlaczego chce mieć mnie żywego, potężnego, ale uwięzionego. Jaką mocą pragnie za moim pośrednictwem

zawładnąć. Jeśli go zabiję, królestwo się go pozbędzie, ale ja pozostanę z pytaniami, na które nikt już nie udzieli mi odpowiedzi - będę jak ten umierający z głodu człowiek z worami złota w krainie, gdzie złoto nie ma żadnej wartości. Rozumiesz? - Zwrócił się do Aloila i w jego rozłożystych barach, w twardej, pomarszczonej twarzy, ujrzał nagle powykręcane drzewo, którym czarodziej był przez siedem wieków na Równinie Królewskich Ust.

- Rozumiem - odparł cicho czarodziej - gdzie byłem przez siedemset lat. Dobrze, zwróć się do niego ze swoimi pytaniami. Jeśli przy tym zginiesz albo pozwolisz mu uciec, zabiję go albo sam umrę. Wiesz chyba, co to zemsta? Co do gwiazdek na twym czole... to nie wiem, czy można z nimi wiązać jakąś nadzieję. Nie rozumiem celu twojej działalności. Jeśli przetrwamy i wyjdziemy z Lungold żywi, znajdę w sobie wolę jej zrozumienia... intrygują mnie zwłaszcza moc i impuls, które kazały ci ingerować w prawo ziemi An. Jednak póki co... uwolniłeś nas, wydobyłeś z zapomnienia nasze imiona, trafiłeś tu na dół i stoisz teraz z nami pośród naszych umarłych... jesteś młodym, zmęczonym księciem Hed w poplamionej krwi tunice, z krukiem na ramieniu i z mocą, którą wydarłeś z samego serca Ghisteslwchlohma. Czy to z twojego powodu spędziłem siedemset lat pod postacią drzewa, zapatrzony w wiatr od morza? Dla jakiej wolności, czy może zguby, przywróciłeś nas światu?

- Nie wiem - wykrztusił Morgon przez ściśnięte gardło. - Ale znajdę na to odpowiedź.

- Znajdziesz. - Czarodziejowi dziwnie zmienił się głos. - Znajdziesz, mistrzu zagadek. Nie obiecujesz nam nadziei.

- Nie. Tylko prawdę. Jeśli zdołam ją odkryć. Zapadło milczenie. Fajeczka Nun wygasła Czarodziejka patrzyła z lekko rozchylonymi ustami na Morgona.

- Prawie - wyszeptala - obudziłeś we mnie nadzieję. Ale, na Hel, na co? - Otrząsnęła się z zadumy, dotknęła rozdarcia w tunice Morgona, rozchyliła je i przyjrzała się świeżo zabliznionej ranie. - Miałeś w drodze jakieś kłopoty. Nie przyleciałeś tu pod postacią kruka.

- Nie. - Zamilkł. Nie miał ochoty się nad tym rozwodzić, ale oni patrzyli na niego wyczekująco. Spuszczając wzrok, podjął z goryczą w głosie: - Pewnej nocy, przywabiony grą Detha, wszedłem w kolejną zastawioną na mnie pułapkę. - Nikt się nie odezwał. - Ghisteslwchlohm szukał mnie na Drodze Kupców. I w końcu znalazł. Wziął Raederle jako zakładniczkę, żebym nie mógł użyć przeciwko niemu swojej mocy. Chciał mnie zabrać do Góry Erlenstar. Ale wtedy zjawili się zmiennokształtni. Uciekłem im... - dotknął blizny na policzku - ...tym kosztem. Ukryłem się pod iluzją i uciekłem. Od kiedy przemieniliśmy się w kruki, nie widziałem żadnego z nich. Może pozabijali się nawzajem. Ale wątpię. - Przynaglany przedłużającym się milczeniem dodał: - Najwyższy zabił harfistę. - Potrząsnął głową. Nie mógł dalej mówić. Usłyszał, jak Iff zaczerpnął tchu, poczuł uspokajające

dotknięcie czarodzieja.

- Gdzie w tym czasie był Yrth? - odezwał się Taileś. Morgon oderwał wzrok od odłamka kości leżącego na ziemi i spojrzał na Taileśa ze zdumieniem. - Yrth?

- Podróżował z wami Drogą Kupców.

- Nikt... - Morgon urwał. Leciutki powiew nocnego powietrza przesączył się przez iluzję i rozszedł po krypcie; światło zamigotało. - Nikogo z nami nie było. - I naraz przypomniał sobie Wielki Krzyk, który dobiegł nie wiadomo skąd, i tajemniczą, nieruchomą postać obserwującą go podczas nocnego rekonesansu. - Yrth? - szepnął z niedowierzaniem.

Czarodzieje popatrzyli po sobie. - Opuścił Lungold, żeby cię szukać i udzielić ci wszelkiej pomocy, na jaką go stać. Nie spotkaliście się?

- Chyba raz, kiedy byłem w potrzebie. To musiał być Yrth. Nie powiedział mi, kim jest. Mógł zgubić mój ślad, kiedy przyjęliśmy postaci kruków. - Morgon zawiesił głos i cofnął się pamięcią do tamtych wydarzeń. - Była taka chwila, po tym jak kopnął mnie koń, że ledwie byłem w stanie podtrzymać swoją iluzję. Zmiennokształtni mogli mnie wtedy zabić. Nie powinni mieć z tym żadnych trudności. Przygotowałem się już na śmierć. Ale wyszedłem z tego cało... To on mógł mi tam ocalić życie. Ale jeśli został na miejscu po mojej ucieczce...

- Na pewno dałby nam znać - odezwała się Nun - gdyby potrzebował pomocy. - Przesunęła grzbietem spracowanej dłoni po czole. - Ale ciekawe, co się z nim dzieje. Starzec, szukający ciebie i wędrujący tam i z powrotem Drogą Kupców, bez wątpienia zwrócił na siebie uwagę Założyciela i zmiennokształtnych...

- Powinien był mi powiedzieć, kim jest. Gdyby potrzebował pomocy, stanąłbym w jego obronie; po to tu szedłem.

- Nie. Broniąc go, sam mógłbyś zginąć. - Nun zdawała się rozpraszać swoje własne wątpliwości. - Wróci, kiedy uzna za stosowne. Może został tam, żeby pogrzebać harfistę. Swego czasu Yrth uczył go tu, w tej szkole, gry na harfie. - Zamilkła znowu, a Morgon patrzył, jak dwie zasuszone twarze umarłych pod ścianą przysuwają się coraz bliżej jedna do drugiej. Zamknął oczy, zanim się zetknęły. Gdzieś z oddali doleciało go krakanie kruka; byłby upadł, gdyby ktoś nie podtrzymał go pod ramię. Otworzył oczy i napotkał baczne spojrzenie jastrzębia. Zimny pot wystąpił mu na twarz.

- Jestem zmęczony - powiedział.

- To zrozumiałe. - Iff puścił go. Jego twarz pokrywała siateczka drobnych zmarszczek. - Na rożnie w kuchni został jeszcze kawał dziczyzny. Kuchnia to jedyne tutaj pomieszczenie, w którym zachowały się wszystkie cztery ściany i strop. Śpimy tam. Dla was też znajdzie się miejsce. Drzwi popilnuje strażniczka.

- Strażniczka?

- Jedna ze strażniczek morgoli. Morgola przydzieliła je nam łaskawie do ochrony.

- To morgola jeszcze tu jest?

- Nie. Przez długi czas była głucha na nasze rady i nie chciała stąd odejść, aż naraz, przed mniej więcej dwoma tygodniami, bez słowa wyjaśnienia ruszyła w drogę powrotną do Herun. - Czarodziej uniósł rękę i wyciągnął z mroku zapaloną pochodnię. - Chodź. Wskażę ci drogę.

Morgon podążył w milczeniu za Iffem przez jego iluzję. Minęli kilka zrujnowanych sal i zeszli po kamiennych schodkach do kuchni. Aromat mięsiwa stygnącego nad dogasającym paleniskiem sprawił, że Morgonowi zaburczało w brzuchu. Usiadł przy długim, na wpół zwęglonym stole, a Iff znalazł dla niego nóż i jakieś wyszczerbione naczynia.

- Masz tu wino, chleb, ser, owoce... strażniczki dobrze o nas dbają. - Zawiesił głos i wygładził piórko na skrzydle kruka. - Morgonie - podjął cichym głosem - nie mam, co prawda, pojęcia, co przyniesie świt. Ale gdybyś nie zdecydował się tu przybyć, czekałaby nas pewna śmierć. Ta ślepa nadzieja, która utrzymywała nas przy życiu przez ostatnie siedem wieków, musiała mieć korzenie w tobie. Ty może lękasz się robić sobie nadzieje, ale ja nie. - Przyłożył na chwilę dłoń do przeciętego szramą policzka Morgona. - Dziękuję ci, że tu jesteś. - Wyprostował się. - Zostawiam cię teraz samego; my pracujemy nocami i rzadko śpimy. Gdybyś nas potrzebował, zawołaj. - Wrzucił pochodnię do paleniska i wyszedł z kuchni.

Morgon wpatrywał się przez jakiś czas w stół, w nieruchomy cień kruka na zwęglonym blacie. W końcu otrząsnął się z zadumy i zawołał ptaka po imieniu. Kruk szykował się najwyraźniej do zmiany postaci; rozpościerał właśnie skrzydła, by sfrunąć z jego ramienia. I w tym momencie otworzyły się drzwi prowadzące na zewnątrz. Do kuchni weszła strażniczka: młoda, ciemnowłosa kobieta, tak znajoma, a jednocześnie nieznajoma, że Morgon oniemiał. Przeszła kilka kroków i dopiero wtedy go zauważyła. Zatrzymała się jak wryta pośrodku kuchni, patrząc nań bez zmrużenia powieki. Po chwili z trudem przełknęła ślinę.

- Morgon? - wykrztusiła. Morgon wstał.

- Lyra. - Wydoroślała; była teraz wyższa i nabrała ciała, co podkreślała krótka, ciemna tunika. Z twarzy przypominała mu dziewczynę, której obraz nosił w pamięci, a jednocześnie morgolę. Widząc, że dziewczyna stoi jak sparaliżowana, podniósł się od stołu i sam ruszył w jej kierunku. Zbliżając się, zauważył, że dłoń Lyry mocniej zaciska się na włóczni.

- To naprawdę ja - powiedział, zatrzymując się w pół kroku.

- Wiem. - Znowu z trudem przełknęła ślinę. W jej ciemnych oczach wciąż malowało

się zaskoczenie. - Jak... jak dostałeś się do miasta? Nikt nie widział, żebyś przekraczał bramę.

- Trzymacie strażę na murach? Kiwnęła sztywno głową.

- Miasto nie ma żadnych innych obrońców. Dlatego morgola posłała po nas.

- Po ciebie? Swoją ziemdziedziczkę?

Zadarła dumnie bródkę w geście, który tak dobrze pamiętał.

- Zostałam tu w określonym celu. - Ruszyła powoli w stronę Morgona. Jej twarz w blasku paleniska zmieniła wyraz. Objęła go i wtuliła twarz w jego ramię. Usłyszał za sobą stukot upadającej na posadzkę włóczni. Przytulił mocno dziewczynę i poczuł orzeźwiający powiew jej czystego, dumnego umysłu. Oderwała się w końcu odeń i cofnęła o krok. Uniosła brwi na widok blizn na jego twarzy.

- Niebezpiecznie poruszać się Drogą Kupców bez eskorty. Szukałyśmy cię z Raederle zeszej wiosny, ale zawsze byłeś o krok przed nami.

- Wiem.

- Nic dziwnego, że strażniczki cię nie poznały. Wyglądasz... wyglądasz jak... - Dopiero teraz dostrzegła na jego ramieniu kruka. Ptak siedział nieruchomo, popatrując na nią spod włosów Morgona. - Czy to... czy to Mathom?

- To on tu jest?

- Był przez jakiś czas. Tak samo Har, ale czarodzieje przekonali obu, że powinni wracać do domów.

Morgon zacisnął dłonie na ramionach Lyry.

- Har? - zapytał z niedowierzaniem. - Na Hel, a jego co tu sprowadziło?

- Chciał ci pomóc. Mieszkał z morgolą w jej obozie pod Lungold, dopóki czarodzieje nie wyperswadowali mu, że powinien stąd odejść.

- Są pewni, że odszedł? Czy sprawdzili umysł każdego niebieskookiego wilka wałęsającego się pod Lungold?

- Nie wiem.

- Posłuchaj, Lyro, nadciągają zmiennokształtni. Wiedzą, że mnie tu znajdą.

Lyra ściągnęła brwi.

- Morgolą kazała nam przywieźć zapas broni dla kupców; w mieście niewiele jej mieli. Ale kupcy, Morgonie, to nie wojownicy. Podczas szturmury mury rozkruszają się jak suchy chleb. Mam tu dwieście strażniczek...

- Znowu ściągnęła bezradnie brwi i znowu wydała się Morgonowi bardzo młoda. - Wiesz może, czym oni są? Ci zmiennokształtni?

- Nie. - Zauważył w oczach Lyry coś, czego wcześniej tam nie widywał: pierwszy



przejaw lęku. - Czemu pytasz?

- Słyszałeś ostatnie wieści z Ymris? - Nie.

Lyra wzięła głęboki oddech.

- Heureu Ymris stracił Wichrową Równinę. W jedno popołudnie. Przez wiele miesięcy powstrzymywał rebeliancką armię na skraju równiny. Lord Umber i Marcher zebrali armię, by zepchnąć rebeliantów z powrotem do morza. Miała dotrzeć na Wichrową Równinę w ciągu dwóch dni. Ale nagle, od Meremont i Tor runęła na Wichrową Równinę armia tak liczna, że o istnieniu podobnej nikt jeszcze nie słyszał. Ludzie, którzy uszli z życiem, przysięgali, że widzieli w jej szeregach tych, których już wcześniej zabili. Wśród ocalałych był pewien handlarz koni. Uciekł z niedobitkami do Rhun, a stamtąd przedostał się do Lungold. Opowiadał... opowiadał, że równina to teraz koszmarne pobojowisko usłane niepogrzebanymi ciałami. I od tamtego dnia słuch zaginał po Heureu Ymrisie.

Morgon poruszył bezgłośnie ustami.

- Poległ?

- Astrin Ymris twierdzi, że nie. Ale nawet on nie potrafi odnaleźć króla. Morgonie, jeśli muszę stawić czoło zmiennokształtnym na czele dwustu strażniczek, uczynię to bez wahania. Ale gdybyś potrafił mi tylko powiedzieć, przeciwko czemu walczymy...?

- Nie wiem tego. - Poczul na ramieniu szpony kruka, które przebiły tunikę. - Ta bitwa odbędzie się poza granicami miasta. Nie przybyłem tutaj, żeby po raz drugi zniszczyć Lungold. Nie będę tu czekał na zmiennokształtnych.

- A gdzie na nich zaczekasz?

- W lesie, na szczycie góry. Gdziekolwiek, byle nie tu.

- Idę z tobą - oświadczyła.

- Nie. To wykluczone...

- Moje strażniczki mogą zostać tutaj na wypadek, gdyby trzeba było bronić miasta. Ale ja idę z tobą. To sprawa honoru.

Morgon popatrzył na nią spod przymrużonych powiek. Nie odwróciła wzroku.

- Czyżbyś złożyła jakiś ślub? - zapytał.

- Nie. Ja nie składam żadnych ślubów. Po prostu podejmuję decyzje. Tę podjęłam jeszcze w Caerweddin, kiedy dowiedziałam się, że utraciłeś ziemwładztwo Hed, ale żyjesz. Wiedziałam, co znaczyło dla ciebie to ziemwładztwo, bo pamiętałam jeszcze, jak podczas swojej bytności w Herun opowiadałeś o Hed. Tym razem będziesz miał eskortę.

- Lyro. Ja mam eskortę. Złożoną z pięciu czarodziejów.

- I ze mnie.

- Nie. Ty jesteś ziemdziedziczką Herun. Ani mi w głowie odwożenie morgoli do Miasta Korony twojego ciała.

Uwolniła się z jego rąk szybkim, zwinnym zwodem i została z dłońmi zaciśniętymi na pustym powietrzu. Schyliła się po włócznię i stanęła z nią na baczność.

- Morgonie - powiedziała cicho. - Ja już zdecydowałam. Ty walczysz czarami, ja swoją włócznią. Tylko tak potrafię. Albo podejmę tę walkę tutaj, albo za jakiś czas będę zmuszona toczyć ją w Herun. Będę przy tobie, kiedy znowu spotkasz Ghisteslwchlohma. - Odwróciła się i wtedy przypomniało jej się, po co tu przyszła. Wyjęła z uchwytu pochodnię i wsunęła ją w ogień. - Idę sprawdzić teren. Potem wrócę i będę czuwała przy tobie aż do świtu.

- Lyro - westchnął ze znużeniem - proszę cię, wracaj do domu.

- Nic z tego. Robię to, do czego mnie wyszkolono. Tak samo, zresztą, jak ty - dodała bez cienia ironii i przeniosła wzrok na kruka. - Czy jest coś, przed czym szczególnie powinnam cię strzec?

Morgon zawahał się. Kruk siedział na jego ramieniu jak czarna myśl, w całkowitym bezruchu.

- Nie - powiedział w końcu. - Z jego strony nic mi nie grozi. Przysięgam na swoje życie.

- Kiedyś byliśmy przyjaciółmi - powiedziała cicho i wyszła.

Morgon podszedł do paleniska, ale natłok myśli ścisnął mu żołądek i pozbawił apetytu. Wygasił ogień, pozostawiając tylko żar. Potem położył się na pryczy, podparł na łokciu i spojrzał na kruka. Ptak siedział na kamieniach obok niego. Morgon pogładził go po piórach.

- Nigdy nie nauczę cię przyjmować innego kształtu - powiedział. - Raederle, z tym, co wydarzyło się na Wichrowej Równinie, ty nie masz nic wspólnego. Nic.

Głaskał ptaka, przemawiał do niego, przekonywał, prosił, ale odpowiedzi nie uzyskał. W końcu powieki mu opadły i odpłynął w ciemność.

Obudziło go o świcie trzaśnięcie drzwi. Z walącym sercem otworzył oczy i zobaczył młodą, stropioną twarz nieznajomej strażniczki. Skłoniła mu się dwornie.

- Przepraszani, panie. - Postawiła na podłodze wiadro wody, a na stole gliniany dzban ze świeżym mlekiem. - Nie wiedziałam, że jeszcze śpisz.

- Gdzie Lyra?

- Na północnym murze, tym od strony jeziora. Od bezdroży nadciąga jakiś oddział zbrojnych. Goh pojechała sprawdzić, co to za jedni.

Morgon podniósł się z posłania, mrużąc coś pod nosem.

- Lyra pyta, czy byłbyś łaskaw tam przyjść - dodała strażniczka.

- Przyjdę.

Obok Morgona, w chmurze dymu z fajeczki pojawiła się Nun. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Dokąd się wybierasz?

- Nadciągają jacyś zbrojni; może to posiłki, może nie. - Morgon zaczerpnął dłońmi wody z wiadra, obmył sobie twarz, a potem napenił wyszczerbiony pucharek mlekiem i wychylił go do dna. I nagle, tknięty jakąś myślą, obejrzał się na pryczę, na której spał. - Gdzie...? - Postąpił krok, przesuwając spłoszonym wzrokiem po żelaznych i miedzianych garnkach wiszących na ścianie, po okopconych belkach stropu. - Gdzie, na Hel... - Opadł na kolana, zajrzał pod stół, potem do drewnianej skrzyni, na koniec zaczął rozgrzebywać popiół w palenisku. W końcu wyprostował się i nie podnosząc z kłęczek, spojrzął z pobielającą twarzą na Nun. - Opuściła mnie?

- Raederle?

- Nie ma jej. Nic mi nie powiedziała. Zostawiła mnie i odleciała. - Wstał z kłęczek i oparł się o kamienny komin. - To przez te wieści z Ymris. O zmiennokształtnych.

- Zmiennokształtni - mruknęła Nun. - A więc to ją gnębiło? Moc, którą posiada?

Morgon kiwnął głową.

- Boi się jej... - Ręka zsunęła mu się po kamieniach.

- Muszę ją odnaleźć. Złożyła przysięgę... a duch Ylona już ją prześladowuje.

Nun, sięgając do swojego repertuaru świniopaski, przeklęła nieżyjącego króla. Potem przyłożyła sobie palce do powiek.

- Nie - powiedziała. - Ja ją odnajdę. Ze mną może szczerze porozmawia. Kiedyś tak rozmawiała. Ty zobacz, co to za zbrojni. Martwi mnie, że Yrth jeszcze nie wrócił. Ale nie śmiem wzywać ani jego, ani Raederle, bo mój zew mógłby dotrzeć do umysłu Założyciela. Zaraz. Daj mi się zastanowić. Gdybym to ja była księżniczką An obdarzoną mocą zmiennokształtnych i latającą pod postacią kruka, to dokąd bym się udała...

- Wiem, gdzie ja bym się udał - mruknął Morgon.

- Ale ona nie cierpi piwa.

Ruszył przez miasto pieszo, kierując się do przystani i rozglądając po drodze za krukami. Wszystkie łodzie rybackie wypłynęły już na jezioro, ale w przystani cumowały inne jednostki - barki z kopalni i płaskodenne łodzie kupieckie wyładowane towaram przeznaczonym dla myśliwych i pasterzy z okolic jeziora. Na ich masztach nie siedziały

żadne kruki. W końcu wypatrzył Lyrę. Stała na murze przy rozpadającym się przedpiersiu obok bramy. Większość północnego muru znajdowała się pod wodą, z reszty zostały tylko szerokie, łukowate bramy, między którymi rozstawili swoje stragany handlarze ryb. Morgon, ignorując zbaraniały wzrok jakiejś handlarki, zniknął jej sprzed oczu i pojawił się znowu obok Lyry. Nie dała po sobie poznać, że nie jest przyzwyczajona do nieprzewidywalnego sposobu poruszania się czarodziejów. Pokazała palcem na wschodni brzeg jeziora. W odległym lesie połyskiwały maleńkie iskierki światła.

- Potrafisz dojrzeć, co to takiego?

- Spróbuj. - Wszedł w umysł jastrzębia krążącego nad drzewami pod miastem. Zamiast miejskiego rozgardiaszu usłyszał leniwy poszum porannej bryzy i przeszywający, ale stłumiony odległością krzyk innego jastrzębia, któremu umknęła upatrzona ofiara. Ulegając sugestii Morgona, jastrząb zaczął zataczać coraz szersze kręgi. Morgon ujrzał jego oczyma sosnę, jej wysuszone słońcem igielki, potem leśne poszycie i wreszcie nagrzaną w słońcu nagą skałę, z której umykały jaszczurki spłoszone cieniem jastrzębia. Mózg jastrzębia sortował każdy dźwięk, każde poruszenie wśród paproci. Morgon kazał mu lecieć dalej na wschód i po jakimś czasie ujrzał pod sobą wojowników przedzierających się gęsiego przez las. Jastrząb krążył nad nimi dopóty, dopóki jakieś poruszenie w dole nie przyciągnęło jego uwagi; zanurkował i wyrwał się spod kontroli Morgona.

Morgon osunął się po przedpiersiu muru i usiadł na kamieniach. Słońce świeciło mu w oczy pod osobliwym kątem, jakby stało wyżej, niż powinno.

- Wyglądają mi na ymriskich wojowników - powiedział zmęczonym głosem - którzy od paru dni idą przez bezdroża. Są zarośnięci, a ich konie ledwie powłóczą nogami. Nie zalatywało od nich morzem. Zalatywało potem.

Lyra patrzyła na niego podparta pod boki.

- Można im zaufać?

- Nie wiem.

- Może Goh zdoła to stwierdzić. Kazałam jej obserwować ich z ukrycia i podsłuchiwać, a dopiero potem, jeśli uzna, że to bezpieczne, podjechać i porozmawiać. To roztropna dziewczyna.

- Przepraszam. - Morgon podźwignął się na równe nogi. - Wydaje mi się, że to ludzie, ale nie jestem w nastroju do ufania komukolwiek.

- Opuszczasz miasto?

- Sam nie wiem. Yrtha wciąż nie ma, Raederle zniknęła. Jeśli stąd odejdę, nie będzie wiedziała, gdzie mnie szukać. Jeśli nie zauważyłaś niczego bardziej niepokojącego, możemy

jeszcze trochę się wstrzymać. Jeśli to rzeczywiście ymriscy wojownicy, to rozmieścimy ich na tym wyłomie w murach obronnych i od razu nastroje nam się poprawią.

Lyra rozglądała się przez chwilę w milczeniu, jakby wypatrywała cienia czarnych skrzydeł.

- Ona wróci - powiedziała cicho. - To odważna dziewczyna.

Morgon otoczył ją ramieniem i przytulił.

- Ty również. Ale wolałbym, żebyś wróciła do domu.

- Morgola oddała swoje strażniczki do dyspozycji lungoldzkim kupcom, by czuwały nad bogactwami tego miasta.

- Ale swojej ziemdziedziczki nie oddała chyba pod rozkazy kupców?

- Och, Morgonie, przestań gderać. Potrafisz coś zrobić z tym murem? W obecnym stanie jest bezużyteczny, niebezpieczny i rozpada mi się pod nogami.

- Dobrze. I tak na razie nie mam nic lepszego do roboty.

Lyra cmoknęła go w policzek.

- Raederle, gdziekolwiek jest, z pewnością myśli teraz o tobie. Wróci.

Morgon otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Lyra już wyswobodziła się z jego uścisku i odwracając głowę, rzuciła sucho:

- No to zabieraj się do naprawy tego muru. Wiele godzin zeszło mu na tej pracy. Starał się nie myśleć. Nie zwracając uwagi na przechodzących ludzi - na kmieci i przekupniów spozierających nań podejrzliwie, na kupców, którzy go rozpoznawali - stał z rękami i policzkiem przyciśniętymi do starodawnego muru. Wtapiał się umysłem w jego ciężkie milczenie, dopóki nie wyczuł słabości, z jaką wspierał się o przypory. Wytworzył w sklepionej bramie iluzję kamienia, podparł go umysłem. Okrążał tak miasto w asyście miejskich uliczników. Deptali mu po piętach, obserwując z zachwytem jego pracę, dziwując się kamieniom, które wywoływał dłońmi z niebytu. Późnym popołudniem, przyłożywszy spocony policzek do filaru bramy, wyczuł obcą moc. Przymknął oczy i zapadł w ciszę, której nauczył się od muru. Przez długi czas, wnikając umysłem głęboko w kamienie, nie słyszał nic, prócz sporadycznych szmerów, z jakimi przemieszczały się drobinki murarskiej zaprawy. W końcu, na nagrzaną słońcem powierzchnię zewnętrznego muru wyczuł napierającą nań pierwotną moc. Dotknął jej ostrożnie myślami. Była to siła czerpana z samej ziemi, skierowana na najsłabszy punkt. Wycofał się powoli, zafascynowany.

Ktoś stał za nim, wołając go raz po raz po imieniu. Odwrócił się i zobaczył jedną ze strażniczek morgoli w towarzystwie rudego mężczyzny w kolczudze narzuconej na skórzany kaftan. Śniada twarz strażniczki była złana potem, dziewczyna wyglądała na tak samo

zmęczoną jak on. Głos miała gruby, ale dziwnie miły dla ucha.

- Jestem Goh, panie. A to Teril Umber, syn Wielkiego Lorda Rorka Umbera z Ymris. Pozwoliłam sobie przyprowadzić do miasta wojowników pod jego wodzą. - Jej głos i oczy zdradzały napięcie. Morgon przyjrzał się bez słowa mężczyźnie. Był młody, ale wyraźnie zaprawiony w bojach i znużony. Skłonił się dwornie Morgonowi nieświadom jego podejrzliwości.

- Panie, Heureu Ymris wysłał nas tutaj, jak się okazuje, na dzień przed... przed utratą Wichrowej Równiny, o czym się właśnie dowiedziałem od ziemdziedziczki morgoli.

- Czy twój ojciec był na Wichrowej Równinie? - spytał szorstko Morgon. - Pamiętam go.

Teril Umber kiwnął głową.

- Był. Ale nie wiem, czy przeżył. - Wyprostował się i wypiął pierś okrytą zakurzoną kolczugą. - Ale wracając do tematu, król niepokoił się o przebywających tutaj bezbronnych kupców; kiedyś sam pływał na kupieckich statkach. I postanowił oddać do waszej dyspozycji tylu ludzi, ilu był w stanie. Jest nas stu pięćdziesięciu. Mamy wesprzeć morgolę w strzeżeniu i obronie miasta, gdyby zaszła taka konieczność.

Morgon kiwnął głową. Ta szczupła, spocona, zarośnięta twarz była raczej poza wszelkim podejrzeniem.

- Mam nadzieję, że nie zajdzie - powiedział. - To wspaniałomyślny gest ze strony króla, że was tu przysłał.

- Owszem.

- Przykro mi z powodu twojego ojca. Mile go wspominam.

- Opowiadał o tobie... - Młodzieniec potrząsnął głową i przecesał palcami płomieniste włosy. - Potrafi wychodzić obronną ręką z najgorszych opałów - powiedział bez przekonania. - No nic, naradzę się lepiej z Lyrą, jak rozmieścić moich ludzi, bo wkrótce zapadnie zmierzch.

Morgon spojrzał na Goh. Ulga na jej twarzy świadczyła, jak dziewczyna niepokoiła się o wynik tej rozmowy.

- Przekaż Lyrze - powiedział cicho - że prawie już skończyłem z murem.

- Dobrze, panie.

- Dziękuję ci.

Kiwnęła nieznacznie głową i uśmiechnęła się.

- Do usług, panie.

W miarę, jak jego praca nad murem dobiegała końca, czuł się coraz wyraźniej

otoczony obcą mocą. Tajemniczy czarodziej, pracujący wraz z nim po drugiej stronie muru, prostował kamienie, zanim on się nimi zajął, łątał wyrwy szarymi, ziarnistymi iluzjami, uszczelniał swoją mocą pęknięcia w murze. Mury nie wyglądały już tak, jakby za chwilę miały runąć. Stały znowu pewnie, połatane, solidnie wzmocnione, otaczając zwartym kręgiem miasto i rzucając wyzwanie każdemu, kto chciałby je sforsować.

Morgon uszczelnił siłą woli ostatnie pęknięcie i zakrywając dłońmi twarz, oparł się zmęczony o mur. Czuł zmierzch nadciągający od pół. Nieruchomość ostatnich chwil przed zachodem słońca, spokojne, senne trele ptaków przypomniały mu Hed. Do rzeczywistości przywołało go odległe krakanie kruka. Oderwał się od muru i wszedł w jedną z dwóch frontowych bram, które pozostawił otwarte. W głębi łukowato sklepionej bramy stał jakiś mężczyzna z krukiem na ramieniu.

Był to wysoki starzec o krótko przyciętych, siwych włosach i poblźnionym, surowym obliczu. Przemawiał do kruka w kruczym języku; Morgon coś niecoś z tego rozumiał. Odpowiedź kruka sprawiła, że lżej zrobiło mu się na duszy. Ruszył szybko w stronę tej osobliwej pary. Jego czujność usypiała wielka moc czarodzieja i kurtuazja, z jaką zwracał się do Raederle.

Zanim jednak do nich dotarł, czarodziej urwał w pół zdania i wyrzucił kruka w powietrze. Krzyknął do ptaka coś, czego Morgon nie zrozumiał. Potem zniknął. Zaskoczony tym Morgon obejrzał się i zamarł. Drogą Kupców bezgłośnie, niepowstrzymanie podpełzał do miasta cień. Była to fala jeźdźców barwy wieczornego nieba. Zanim otrząsnął się z pierwszego szoku, bramę, w której stał, zalało oślepiające złociste światło. Mury zadygotały; falujące kamienie z pomrukiem strząsnęły z siebie impet mocy i ta runęła na ulicę, wyrwijając z niej kocie łby i ciskając Morgona na kolana. Podźwignął się z klęczek i odwrócił.

Serce miasta płonęło.

Kiedy wślizgiwał się z powrotem do miasta, dwaj ymriscy wojownicy zamykali już z mozołem zbite z dębowych bali podwoje bramy. Nie ruszane od wieków zawiasy stawiały zacięty opór, skrzypiały przeraźliwie, sypały się z nich płaty rdzy. Morgon zatrzasnął bramę wysiłkiem woli, który omal nie pozbawił go życia. Znajomy, śmiercionośny umysł, wykrył z oddali ten rozbłysk mocy i uchwycił się go. Mrok przed Morgonem rozpruła niebiesko-biała błyskawica. Zastygł oczarowany szybkością i pięknem tego zjawiska. Nagle odniósł wrażenie, że jego kości rozlatują się na wszystkie strony, a umysł jarzy się niczym gwiazda. Namacał za sobą jakiś kamień i przelał w niego swoje myśli, a sam znieruchomiał z umysłem czystym jak niezapisana karta. Moc wycofała się. Pozbierał swoje kości z nocy i odetchnął z ulgą, uświadamiając sobie, że nadal żyje. Jeden z wojowników pomógł mu wstać. Miał zakrwawioną twarz. Jego towarzysz nie żył. - Panie...

- Nic mi nie jest. - Wyrzucił swe myśli z momentu czasu, w którym aktualnie stał. Kiedy noc rozdarł kolejny rozbłysk energii, odskoczył w inny moment i znalazł się w pobliżu płonącej szkoły. Uliczkami, w kierunku głównej bramy, biegli ludzie: strażniczki i zbrojni ymriscy wojownicy, a za nimi przekupnie, kupcy i rybacy wymachujący mieczami z rozgorączkowaną, nieporadną determinacją. Przed ruinami szkoły stały dzieci zahipnotyzowane grą światła. Ich buzie stawały się to czerwone, to złote, to purpurowe. I nagle rozprysła się ściana budynku za nimi, a w ich stronę, zataczając w powietrzu świetliste łuki, poleciały gorejące kamienie. Dzieci rozpierzchły się z piskiem. Morgon wydobył z pamięci wspomnienie struktury energii i nakarmił je mocą, z której zasobów nigdy dotąd nie czerpał. Narastała w nim, pożerając wszelkie myśli i wewnętrzne ruchy, aż wreszcie wyrwała się na zewnątrz, brzęcząc piskliwym, groźnym językiem. Śmignęła świetlistą smugą w stronę źródła mocy ukrytego w ścianach budynku, zniknęła w nich, ale nie eksplodowała. W chwilę później wystrzeliła stamtąd z powrotem i z tą samą śmiercionośną zaciekłością pomknęła wprost na Morgona. Przez ułamek sekundy patrzył z niedowierzaniem, potem otworzył umysł i wchłonął ją znowu w siebie. Zapadła się w zalegającą w nim ciemność. Nie zdążył mrugnąć, kiedy z budynku trysnął rozbłysk światła i ognia, który wstrząsnął do głębi jego bezbronnym umysłem. Oślepiony, pozbawiony tchu, runął na wznak na kocie łby. Kolejny strumień energii przygniótł go do bruku. Uwolnił swoją świadomość. Wlała się w szpary między brukowcami i wsiąkła w ciemną cichą ziemię pod spodem. Nieopodal rozprysł się kawałek kamienia. Odłamek rozciął mu policzek, ale nawet tego nie poczuł. Z ciałem zakotwiczonym



do ziemi zaczął czerpać z żyjących w niej niemych, bezokich stworzeń ciszę, która miała go osłonić. Tkał nieruchomość z kretów, robaków i glist, z bladych korzeni traw, i oplatał nią swój umysł. Kiedy podniósł się w końcu, świat dookoła wydał mu się ciemny, nakrapiany maleńkimi, bezgłośnymi rozbłyskami światła. Kierując się ślepym instynktem glisty, wszedł w ciemność.

Z tak zakamuflowanym umysłem dotarł bezpiecznie do gmachu szkoły. Ogień rozniecił starodawną moc zawartą w kamieniach, zimne, jasne płomyki pełgały po splekanych ścianach, żywiąc się drzemiącą w nich energią. Morgon, wciąż zasysając powolny, pozbawiony mowy świat pod nogami, nie wyczuł nadciągającej groźnej lawiny ognia. Ściana, obok której przechodził, runęła; grad rozżarzonych kamieni posypał się na jego cień. On poczuł tylko słabe tapnięcie, jakby echo jakiegoś poruszenia głęboko pod ziemią. I naraz coś lekko musnęło jego umysł. Oderwał myśli od ziemi i podążył za tym czymś zaciekawiony. Zerwał własny czar i mrugając półprzymkniętymi oczami, stał pośród huku i ognia. Tajemnicze muśnięcie stało się natarczywe. Uświadomił sobie, że sala, do której wchodzi, zapada się w siebie. Na wycofanie się nie było już czasu; ukształtował swój umysł w walące się na niego płonące kamienie, stał się jednym z nich, runął wraz z nimi na posadzkę i tam znieruchomiał wśród obłoków dymu. Po chwili wrócił do własnej postaci i pozbierał myśli. W rozedrganym od gorąca powietrzu ujrzał postać Nun. Patrzyła na niego w milczeniu. Zniknęła, ledwie padł na nią jego wzrok, ale w powietrzu żarzył się jeszcze przez chwilę cybuch jej fajeczki.

W sercu drżącej w posadach szkoły toczyła się bitwa. Morgon ruszył ostrożnie w tamtą stronę. Rozbłyśki światła wpadające przez niegdyś piękne, a teraz powybijane okna świadczyły, że walka koncentruje się tam, gdzie się swego czasu zaczęła: w wielkiej kolistej sali, która wciąż rozbrzmiewała echem imienia Założyciela. Z łatwością, z jaką moc rezydująca w tej sali odpierała wszelkie ataki, zorientował się, że jest to, jak dotąd, bój jednostronny. Założyciel bawił się z czarodziejami w kotka i myszkę, wykorzystywał ich w charakterze przynęty, która miała przywabić doń Morgona. W następnej chwili Morgon zdobył na to dowód. Wyczuł umysł Założyciela przemiatający niczym snop czarnego światła płomienie. Kiedy ten snop natrafił na jego umysł, rozwarła się przed nim znajoma otchłań niebezpiecznej, niezmierzonej mocy. Ale ta moc nie próbowała usidlić Morgona. Wycofała się i Morgon usłyszał mrozący krew w żyłach wrzask.

Nieopodal z powietrza materializował się Aloil. Z szaleńczą desperacją walczył z mrocznym naporem na swój umysł, ale nie potrafił się od niego uwolnić. Znowu zmienił powoli kształt. Z ramion wyrosły mu grube, powykęcane przez wiatr konary; zrozpaczoną twarz przesłoniła kora drzewa, tylko w miejscu, gdzie znajdowały się usta, pozostała w pniu

szczelina. Korzenie wbiły się w martwą ziemię, włosy splątały w gmatwaninę bezlistnych gałązek. Na ziemi, na której od siedmiu wieków nic nie wyrosło, stał żywy dąb. Pomknął ku niemu zygzak błyskawicy mocy, by rozszcześcić go do korzeni.

Morgon otworzył swój umysł i zagarnął błyskawicę, zanim ta uderzyła w drzewo. Odrzucił ją z powrotem w Ghisteslwhlohma i usłyszał, jak eksploduje jedna ze ścian. Potem, wdzierając się bezlitośnie do twierdzy Założyciela, połączył się z nim umysłem. Spoili się jak kiedyś, w czerni Góry Erlenstar.

Wchłaniając moc, która tłukła się po jego myślach, odczekał, aż wypali się na dnie jego umysłu. Wzmacniał powoli swój napór i w końcu umysł Założyciela, jak dawniej, stanął przed nim otworem. Ignorując doświadczenia, impulsy, długą tajemniczą historię życia Założyciela, koncentrował się jedynie na źródle jego mocy, by do cna ją wydrenować. W spazmatycznych, gorączkowych impulsach energii, które omal nie zmusiły go do zerwania więzi, wyczuł moment, w którym Ghisteslwhlohma uświadomił sobie, do czego zmierza. Ta walka umysłów w końcu ustała. Wciągając w siebie ukrytą głębiej, zakamuflowaną moc, wydobył z Założyciela coś, czego się nie spodziewał: wiedzę o ziemwładztwie Hed.

Przyptyw furii i obrzydzenia wytrącił go z równowagi. Chaotyczny rozbłysk wściekłości cisnął nim o ziemię. Oszołomiony, szukał po omacku schronienia, ale jego umysł nie potrafił ukształtować niczego prócz ognia. Kolejna fala mocy odrzuciła go na płonąca skałę. Ktoś go od niej odciągnął; otaczający go czarodzieje rozpraszali uwagę Ghisteslwhlohma ogniem zaporowym, który wstrząsał murami budowli.

- Zabijmy go - rzucił Talies, gasząc tłącą mu się na ciele tunikę.

- Nie.

- Ty uparty kmieciu z Hed, jeśli wyjdę żywy z tej bitwy, zabiorę się do studiowania sztuki rozwiązywania zagadek. - Odwrócił gwałtownie głowę. - W mieście trwa walka. Słyszę krzyki konających.

- To armia zmiennokształtnych. Nadciągnęli od strony bramy frontowej, podczas gdy my wyglądaliśmy ich od jeziora. Widziałem... Wydaje mi się, że widziałem Yrtha. Czy on potrafi rozmawiać z krukami?

Czarodziej kiwnął głową.

- To dobrze. Pewnie wspomaga w walce kupców. - Schylił się, żeby pomóc Morgonowi wstać. Ziemia zakołysała się pod nimi i upadł na Morgona. Podźwignął się na klęczki.

Morgon wstał o własnych siłach i spojrział na skorupę sali.

- On tam słabnie.

- Tak sądzisz?

- Wchodzę.

- Jak?

- Na nogach. Ale muszę wpięrow odciągnąć jego uwagę... - Morgon zastanawiał się przez chwilę, rozcierając oparzony nadgarstek. Przeczesując ostrożnie umysłem teren, zatrzymał się na starej, zrujnowanej bibliotece z setkami ksiąg o sztuce czarodziejskiej. Ich na wpół zwęglone stronice wciąż naładowane były mocą: zaklęciami wpojonymi w ich klamry, niewypowiedzianymi imionami, energią umysłów, które przelały na te stronice całą swoją wiedzę. Obudził tę drzemiącą moc, zebrał w swój umysł jej wątki. Jej chaotyczność omal go nie przytłoczyła. Mówiąc na głos, tkął dziwną osnowę z imion, słów, strzępów groteskowych zaklęć studentów, z melanzu wiedzy i mocy, i w rozbłyskach światła powstawały z nicości dziwne kształty. Cienie, kamienie, które poruszały się i mówiły, bezokie ptaki ze skrzydłami w kolorach ogni czarodziejów, nieokreślone formy, które materializowały się ze spalonej ziemi, posłał do Ghisteslwchlohma. Obudził duchy zwierząt zabitych podczas destrukcji: nietoperzy, kruków, łasic, frettek, lisów, białych wilków; zaroilo się od nich wokół niego, a on posłał je ku źródłu mocy. Zaczął wygrzebywać z ziemi korzenie martwych drzew, kiedy awangarda jego armii uderzyła na twierdzę Założyciela. Unicestwienie fragmentów mocy, ociążałej, niemal nieszkodliwej, ale zbyt złożonej, by ją zlekceważyć, pochłonoło uwagę Założyciela. Na chwilę zapanował spokój i tylko duchy wilków zawodziły niesamowitą pieśń śmierci. Morgon puścił się biegiem w stronę sali. Był już blisko, kiedy jego armia wypadła z sali i rozproszyła się w ciemnościach, umykając ku miastu.

Morgon wyrzucił za nimi swój umysł i zdematerializował stworzone przez siebie istoty, zanim zaczęły terroryzować Lungold. Całą jego uwagę pochłonoło odszukiwanie duchów nietoperzy i postaci ukształtowanych z grudek ziemi. Kiedy skończył, jego umysł zaroilo się znowu od imion i słów, które musiał w siebie wciągnąć. Wypełnił swój umysł ogniem, czerpiąc z jego siły i klarowności. I nagle, z przerażeniem uświadomił sobie, że stoi w niemal całkowitych ciemnościach.

Niesamowita cisza zaległa nad terenem szkoły. Pod rumowiskami zburzonych ścian pałały jeszcze tu i ówdzie ogniska żaru, ale noc nad szkołą pociemniała i widział gwiazdy. Wyteżył słuch, ale odgłosy walki dochodziły jedynie z uliczek miasta. Ruszył z miejsca i bezszelestnie wśliznął się do sali.

Było tu ciemno i cicho jak w grotach Góry Erlenstar. Podjął jedną bezowocną próbę rozproszenia tych ciemności i dał za wygraną. Pod wpływem impulsu ukształtował miecz u

boku i dobył go. Wziął broń za klingę i obrócił gwiazdkami w stronę ciemności. Wyczarował ogień z nocy za swoimi plecami i rozniecił go w gwiazdkach. W czerwonym blasku, który przeciął mrok, ujrzał Ghisteslwchlohma.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Założyciel sprawiał wrażenie wynędzniałego. Głos miał znużony, nie było w nim pogroźki ani poczucia klęski.

- Nadal nie widzisz w ciemnościach - stwierdził.

- Nauczę się.

- Musisz jeść ciemność... Jesteś zagadką, Morgonie. Tropisz przez całe królestwo harfistę, żeby go zabić, bo nie cierpisz jego gry, ale mnie nie zabijesz. Mogłeś to zrobić, mając pod kontrolą mój umysł, ale nie zrobiłeś. Mógłbyś spróbować teraz. Ale nie spróbujesz. Dlaczego?

- Ty też chcesz mnie żywym. Dlaczego? Czarodziej odchrząknął.

- Gra w zagadki... Mogłem się tego spodziewać. Jak przeżyłeś ucieczkę przede mną tamtego dnia na Drodze Kupców? Sam ledwo uszedłem z życiem.

Morgon milczał. Opuścił miecz, oparł go czubkiem o ziemię.

- Kim oni są? Ci zmiennokształtni? Jesteś Najwyższym. Powinieneś to wiedzieć.

- Tu i ówdzie byli legendą, fragmentem poezji, czymś z wilgotnych wodorostów i pokruszonych muszli... dziwnym oskarżeniem wysuniętym przez księcia Ymris, dopóki ty nie opuściłeś swojej wyspy, by mnie szukać. Teraz... teraz stają się koszmarem. Co o nich wiesz?

- Są starożytni. Można ich zabić. Dysponują potężną mocą, ale rzadko z niej korzystają. Mordują teraz kupców i wojowników na ulicach Lungold. Nie wiem, kim, na Hel, są.

- Co w tobie widzą?

- Przypuszczam, że to samo co ty. I ty mi odpowiesz na to pytanie.

- Niewątpliwie. Mądry człowiek zna swoje imię.

- Nie drwij ze mnie. - Światło emanujące spomiędzy dłoni Morgona zachwiało się nieco. - Zniszczyłeś Lungold, żeby zataić przede mną moje imię. Ukryłeś całą wiedzę o nim, czuwałeś na Uniwersytecie w Caithnard, żeby nie wyszła na jaw...

- Oszczędź mi historii mojego życia.

- Wiesz, co mnie zastanawia, Mistrzu Ohmie? Najwyższy? Skąd wzięłeś odwagę, by przybrać imię Najwyższego?

- Nikt inny nie rościł sobie do niego prawa.

- Dlaczego?

Czarodziej milczał przez chwilę.

- Mógłbyś wymusić na mnie odpowiedzi - odezwał się w końcu. - Ja mógłbym spętać znowu klątwą umysły czarodziejów, żebyś nie mógł mnie tknąć. Mógłbym uciec; a ty mógłbyś mnie ścigać. Ty mógłbyś uciec, a ja ścigać ciebie. Mógłbyś mnie zabić, co nie przyszłoby ci łatwo, i stracić najpotężniejszego protektora.

- Protektora. - Morgon wyrzucił z siebie te cztery sylaby jak cztery wyschnięte kości.

- Chcę cię żywym. A zmiennokształtni? Posłuchaj...

- Nawet nie próbuj - przerwał mu ze znużeniem w głosie Morgon. - Złamię twoją moc raz na zawsze. I nie dbam o to, czy wyjdiesz z tego żywy. Twoje intencje przynajmniej mają dla mnie jakiś sens, o intencjach zmiennokształtnych nie mogę tego powiedzieć... - Urwał. Czarodziej postąpił krok w jego stronę.

- Morgonie, patrzyłeś na świat moimi oczyma i dysponowałeś moją mocą. Im bardziej dotykasz prawa ziemi, tym bardziej zapadnie to ludziom w pamięć.

- Nie mam zamiaru manipulować prawem ziemi! Za co mnie masz?

- Już zacząłeś. Morgon uniósł brwi.

- Mylisz się - powiedział cicho. - Nawet nie zacząłem patrzeć twoimi oczami. Co, na Hel, widzisz, patrząc na mnie?

- Morgonie, jestem najpotężniejszym czarodziejem w królestwie. Mógłbym walczyć po twojej stronie.

- Tamtego dnia na Drodze Kupców coś cię przeraziło. Co to było? Czyżbyś w tym morskozielonym oku dostrzegł granice swojej mocy? Przyszli po mnie, a ty nie chcesz, żebym wpadł w ich ręce. Ale nie jesteś już taki pewien, czy potrafisz walczyć z armią wodorostów.

Ghisteslwchlohm milczał. Czerwona poświata oblewała jego zapadnięte policzki.

- A ty potrafisz? - spytał w końcu cicho. - Kto ci pomoże? Najwyższy?

I Morgon poczuł, jak umysł czarodzieja budzi się do działania. Fala myśli rozlała się po sali, po całym terenie szkoły, szukając umysłów czarodziejów, by ponownie je sobie podporządkować. Morgon uniósł miecz; osadzone w jelu gwiazdki trysnęły strugami światła w oczy Ghisteslwchlohma. Zaskoczony czarodziej, wybity z koncentracji, zamrugał. Potem uniósł rękę i rozerwał promienie. Cofnęły się w głąb gwiazdek, jakby z powrotem w nie wessane. Ciemność, która zaległa w sali, była jak coś żywego, co przesłania nawet księżycową poświatę. Klinga miecza zaczęła mrozić Morgonowi palce. Ten chłód wnikał mu w dłoń, w kości, w mózg: jakieś zakłęcie paraliżowało jego ruchy, jego umysł. Świadomość tego potęgowała tylko efekt; sama próba poruszenia się jeszcze bardziej go unieruchomiła. Poddał się i stał w bezruchu pośród nocy, zdając sobie sprawę, że to iluzja, i że jedyny sposób

na wyrwanie się z niej, to jej zaakceptowanie, pogodzenie się z niemożliwością. Dostosował się do tej nieruchomości, do tego chłodu, i kiedy olbrzymia moc gromadząca się w jakimś ponurym świecie znowu nań runęła, jego odrętwiały, wyczyszczony z wszelkich myśli umysł odbił ją jak gruda żelaza.

Słyszając, jak Ghisteslwchlohm klnie z furią i niedowierzaniem, otrząsnął się z zaklęcia. Pochwycił umysł czarodzieja na moment przed jego zniknięciem. Napór mocy na jego umysł wreszcie trochę zelżał. I w tej samej chwili uświadomił sobie, że jest bliski kresu wytrzymałości. Ale czarodziej również był już wyczerpany; pruć się nawet jego iluzja ciemności. Znowu pojawiły się gwiazdy; zburzone ściany wokół jarzyły się mocą. Ghisteslwchlohm uniósł rękę, jakby chciał zmaterializować coś z płonących kamieni, ale zaraz ją opuścił. Morgon wypowiedział jego imię.

To imię miało korzenie w jego sercu i w myślach. Wchłaniał teraz nie moc, lecz wspomnienia, postrzegając przez kilka chwil świat umysłem Ghisteslwchlohma.

Wielką salę, w której stali, widział w jej całym pierwotnym przepychu - okna pałające ogniami czarodziejskiej mocy, pokryte świeżą boazerią ściany, pachnące cedrem. Sto twarzy wpatrywało się weń tamtego dnia, przed tysiącem lat, kiedy referował dziewięć zasad sztuki czarodziejskiej. Przemawiając, zbierał potajemnie z umysłów, nawet tych najpotężniejszych, całą wiedzę i wspomnienia o trzech gwiazdkach.

Naładowany niespokojną, chorą mocą siedział potem pod Górą Erlenstar. Kontrolował stamtąd umysły ziem władców, nie po to jednak, by kierować ich działaniami, lecz by ich poznawać, by zgłębiać instynkt ziemi, którego nigdy nie zdołał osiąść. Obserwował ziemwładcę Herun pokonującego konno Przełęcz Isig, zmierzającego samotnie do Góry Erlenstar, by szukać tam rozwiązania zagadki trzech gwiazdek. Zwichrował umysł wierzchowca morgola; koń stanął dęba i zakwiczał. Morgol Dhairrhuwyth wyleciał z siodła i zaczął się zsuwać po kamienistej stromiźnie, rozpaczliwie chwytając się głazów, które, staczając się za nim z hurgotem, wypowiadały głębokie, straszne ostrzeżenie.

Na długo przed tym stał zachwycony w ogromnej sali tronowej we wnętrzu Góry Erlenstar, gdzie legenda tak stara, że nikt nie pamiętał, skąd się wzięła, umieściła Najwyższego. Sala była pusta. Surowe klejnoty osadzone w kamiennych ścianach przygasły, zmatowiały. U stropu wisiały pokolenia nietoperzy. Pająki utkały wokół tronu pajęczyny zwiewne jak iluzja. Przybył tu, by zapytać o śpiącego pod Górą Isig. Ale nie było kogo pytać. Skonsternowany pustką, którą zastał, odgarnął pajęczyny i usiadł na tronie. Wpatrzony w smugę szarego światła wlewającą się przez gnijące drzwi, zaczął tkać iluzje...

Stał w innym, cichym i pięknym miejscu pod inną górą, jego umysł przybierał kształt

dziwnego białego kamienia. Śnił sen dziecka i przepływające przezeń misterne obrazy zapierały mu dech w piersiach. Na przemiatanej wichrami równinie wznosiło się wielkie miasto, miasto, które w dziecięcych wspomnieniach śpiewało wiatrem. Dziecko widziało je z oddali. Jego umysł dotykał liści, kory drzew, ździebeł traw; wniknąwszy w ocieęzały umysł ropuchy, przyjrzało się sobie jej oczami. Zobaczyło nieostro swoją buzię oczami ryby; jego powiewające na wietrze włosy spłoszyły ptaka wijącego sobie gniazdo. Kiedy dziecko wyciągało rączkę, by wchłonąć istotę pojedynczego liścia, pewne pytanie zatętniło pod tym snem, osmałiło mu ogniem serce. Zadał je w końcu; na dźwięk jego głosu dziecko odwróciło się. Oczy miało ciemne, czyste i niewinne jak oczy sokoła.

- Co było przyczyną waszej zagłady?

Niebo nad równiną poszarzało, przybrało barwę kamienia; na buzię dziecka padł cień. Znieruchomiało, nasłuchiwało. Wicher zerwał się nad równiną, przyginając do ziemi wysoką trawę. W powietrzu narastał jakiś dźwięk, zbyt przytłaczający dla ludzkich uszu, nieznośny. Głaz, który oderwał się od lśniących murów otaczających miasto, runął w dół i zarył się w ziemię. Inny spadł z łoskotem na brukowaną ulicę. Niesamowity dźwięk - głęboki basowy ryk, w którym było coś znajomego - urwał się nagle. W wodzie, niczym biała blizna pływała do góry brzuchem ryba, ptaka zmiotło z drzewa...

- Co to? - wyszeptał, sięgając poprzez umysł Ghisteslwchlohma, poprzez umysł dziecka, do zakończenia snu. Ale zanim tam dotarł, obraz rozpląnął się we wzburzonej wodzie, rozwiął na mrocznym wietrze, i oczy dziecka zrobiły się białe jak kamień. Jego buzia stała się twarzą Ghisteslwchlohma, podkrążone ze zmęczenia oczy zalewało białe jak piana światło.

Oszołomiony Morgon, usiłujący uchwycić wątek swej sondy, dostrzegł kątem oka jakiś rozbłysk. Odwrócił błyskawicznie głowę i gwiazdy stanęły mu przed oczyma; zatoczył się i stracił na moment przytomność. Kiedy ją odzyskał, leżał na kupie gruzu i łykał krew ciekącą z rozciętych warg. Uniósł głowę. Czubek własnego miecza dotknął jego serca.

Stał nad nim zmiennokształtny o oczach wyblakłych jak oczy tamtego dziecka. Uśmiechnął się na powitanie i Morgona zdjął paniczny strach. Ghisteslwchlohm patrzył na coś za jego plecami. Obejrzał się. Między zwałami kamieni stała kobieta. W blasku łuny rozciągającej się nad miastem twarz miała spokojną i piękną. Do Morgona docierały odgłosy bitwy toczonej na miecze i włócznie, na czary i broń sporządzoną z ludzkich kości ogryzionych do czysta na morskim dnie.

Kobieta skłoniła się.

- Naznaczony Gwiazdkami. - W jej głosie nie było drwiny. - Zaczynasz sięgać

wzrokiem o wiele za daleko.

- Nadal nic nie wiem. - Morgon przełknął kolejną porcję krwi, która zebrała mu się w ustach. - Czego ode mnie chcecie? Nadal muszę o to pytać. Mojego życia czy mojej śmierci?

- Jednego i drugiego. Ani jednego, ani drugiego. - Kobieta przeniosła wzrok na Ghisteslwchlohma. - Mistrzu Ohmie. I co my mamy z tobą począć? Obudziłeś moc w Naznaczonym Gwiazdkami. Rozumny człowiek nie kuje ostrza, które kiedyś go zabije.

- Kim jesteście? - wyszeptał Założyciel. - Przed tysiącem lat zdlawiłem ostatnie iskierki snu o trzech gwiazdach. Gdzie wówczas byliście?

- Czekaliśmy.

- Czym wy jesteście? Nie macie własnej postaci, nie nosicie żadnej nazwy...

- Nosimy nazwę. - Głos kobiety nadal był cichy i spokojny, ale Morgon wychwytał w nim jakiś nieludzki ton; jakby jej ustami przemawiał kamień albo ogień. Znowu ogarnął go lęk. Ukształtował ten lęk w zagadkę. Własny głos dziwnie drętwo zabrzmiał mu w uszach.

- Kiedy... kiedy i przed kim umknął spod Góry Erlenstar Najwyższy?

Rozbłysk czarodziejskiej mocy zabarwił na złoto połowę jej twarzy. Nie odpowiedziała mu. Ghisteslwchlohma otworzył usta i głośno wciągnął powietrze w płuca.

- Nie. - Cofnął się o krok. - Nie.

Morgon uświadomił sobie, że się poruszył, dopiero kiedy poczuł bolesne ukłucie w okolicy serca. Wyciągnął rękę w kierunku czarodzieja.

- Co się stało? - rzucił błagalnie. - Nic nie widzę! - Zimne ostrze zmusiło go do pozostania na miejscu. Siłą woli skrzesał ogień i ten trysnął z gwiazdek w jelcu miecza. Zaskoczony zmiennokształtny wypuścił oręż z ręki. Miecz upadł ze szczękim na posadzkę i znieruchomiał tam, dymiąc. Morgon spróbował wstać. Zmiennokształtny złapał go za tunikę pod szyją i uniósł poparzoną rękę do ciosu. Morgon, patrząc w jego pozbawione wyrazu oczy, wtłoczył mu w umysł rozbłysk mocy, który był jak krzyk. Ten krzyk zagłuszyło zimne rozkołysane morze. Zmiennokształtny opuścił rękę, pomógł wstać oszołomionemu Morgonowi. Morgon zapuścił ostatnią rozpaczliwą mackę myśli w umysł czarodzieja, ale usłyszał tylko echo morza.

Tymczasem bitwa przeniosła się na teren zrujnowanej szkoły. Zmiennokształtni spychali kupców, wyczerpanych ymriskich wojowników i strażniczki morgoli do wielkiej sali. Ich miecze wykonane z kości i żelaza z zaginionych statków siały śmierć w ogarniętej paniką ciżbie. Pod ich ciosami na oczach Morgona padły dwie strażniczki. Schylił się po swój miecz i zaparło mu dech. To jakiś Zmiennokształtny rąbnął go kolanem w serce. Morgon opadł na czworaki, chwytając spazmatycznie powietrze. Bitewna wrzawa ucichła; widział



tylko gruz pod rękami. Cisza wirowała wokół niego, tak jakby stanowił jej centrum. Jak przez sen usłyszał w jej jądrze czysty, kruchy dźwięk trąconej lekko struny harfy.

I znowu runął na niego zgiełk walki. Ze świstem zaczerpnął tchu. Uniósł głowę, by rozejrzeć się za mieczem, i między kupcami broniącymi się rozpaczliwie w wejściu do sali dostrzegł Lyrę. Krtań mu się ścisnęła. Chciał zawołać, powstrzymać walczących, ale nie miał na to siły. Lyra przebijała się w jego stronę. Twarz miała umęczoną, ściągniętą, oczy podkrążone. Na jej tunice i we włosach widział zakrzepłą krew. Zauważyła go w pewnej chwili i cisnęła w jego kierunku włócznię. Zmartwiały, wstrzymując oddech, wpatrywał się w nadlatujący grot. Włócznia świsnęła mu koło ucha i ugodziła zmiennokształtnego składającego się do zadania ciosu. Morgon chwycił swój miecz i podźwignął się na nogi. Lyra schyliła się i wyciągnęła inną włócznię spod ciała poległej strażniczki. Ważyła ją przez chwilę w rękę, a potem rzuciła.

Włócznia poszybowała łukiem nad walczącymi, zmierzając prosto w serce Założyciela. Ghisteslwhloh m widział, jak nadlatuje, ale stał sparaliżowany, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu. Myśli Morgona wyprzedziły włócznię. Zauważył zdumienie i przerażenie na twarzy Lyry, która zrozumiała, że na czarodzieja rzucona została klątwa i ten jest teraz bezbronny. Uśmiercenie go w tym stanie nie było wyczynem i nie przynosiło jej żadnej chwały. Morgon chciał krzyknąć, pochwycić włócznię głosem, by ratować sen o prawdzie ukryty w umyśle dziecka, w umyśle czarodzieja. Zamiast tego sięgnął za siebie i zerwał z pleców harfę, która zmaterializowała się pod jego dotknięciem. Zagrał na niej, zanim zdążyła się w pełni ukształtować: drgania najgrubszej basowej struny wypełniły powietrze wibracją, od której zajęczał w udreće jego miecz i rozprysł się wszelki inny oręż, zarówno w sali, jak i poza nią.

W sali zaległa cisza. Ymriscy wojownicy gapili się z niedowierzaniem na ułamki mieczy, które zostały im w dłoniach. Lyra patrzyła na punkt w powietrzu, gdzie, nie dolatując do Ghisteslwhloh ma, rozpadła się na kawałki jej włócznia. Po chwili odwróciła się powoli. Morgon ściągnął na siebie jej wzrok. Była tak zmęczona, że ledwie trzymała się na nogach. Garstka pozostałych przy życiu strażniczek wpatrywała się z lękiem w Morgona. Zmiennokształtni zastygli, jakby zdjęci obawą, że przy najmniejszym poruszeniu rozplyną się w nicość. Zamarła nawet kobieta, którą Morgon znał jako Eriel.

Zrozumiał, że wszyscy oni dostrzegli w nim straszliwą moc, z której sam nie zdawał sobie dotąd sprawy. Wstrząsnęły nim rozmiary własnej ignorancji. Bezradnie obrócił harfę w rękach. Trzymał zmiennokształtnych w pułapce, i nie miał bladego pojęcia, co z nimi teraz począć. W oczach Eriel dopiero teraz pojawiło się zdumienie.

Ruszyła w jego kierunku. Żeby wyrwać mu harfę, żeby go zabić jego własnym mieczem, żeby zawładnąć jego umysłem, tak jak zawładnęła umysłem Ghisteslwchlohma? Nie wiedział. Uniósł miecz, po czym się cofnął. Czyjaś dłoń spoczęła na jego ramieniu. Zatrzymał się.

Obok stała Raederle. Twarz miała kredowobiałą. Trzymała Morgona lekko za ramię, ale go nie widziała.

- Nie tkniesz go - powiedziała cicho do Eriel. Ciemne oczy zmiennokształtnej zmierzyły ją z zaciekawieniem.

- Dziecię Ylona. Czy naprawdę dokonałeś wyboru? Eriel ruszyła znowu i Morgon wyczuł ogromną moc,

którą promieniował umysł Raederle. Kształt, jaki przybrała Eriel, zaczął się strzępić, odsłaniać coś niewiarygodnie starożytnego, dzikiego, niczym mroczne serce ziemi albo ognia. Morgon stał jak wrośnięty w ziemię, twarz mu spopieląła. Wiedział, że nie zdoła się poruszyć, nawet gdyby to coś, czemu Raederle przywracała pierwotny kształt, było jego śmiercią.

Naraz jakiś krzyk wstrząsnął jego umysłem i wyrwał go z odrętwienia. Rozejrzał się półprzytomnie po sali. Stary czarodziej, którego widział przy bramie miasta, ściągnął na siebie jego wzrok.

Bezgłośny krzyk poraził go znowu: Uciekaj! Nie poruszył się. Nie chciał zostawiać Raederle, ale pomoc jej też nie mógł; nie był nawet w stanie jasno myśleć. I wtedy jego wyczerpanym umysłem zawładnęła czyjaś moc i siłą przeobraziła. Wydał przeszywający krzyk jastrzębiego protestu. Obca moc, ignorując jego opór, wymiotła go niczym wicher z płonącej Szkoły Czarodziejów, z okolonego murami obronnymi miasta w niezmierzone bezdroża nocy.

Całą pierwszą noc mknął nad bezdrożami pod postacią jastrzębia, ścigany przez zmiennokształtnych. Płonące miasto zostawało coraz bardziej w tyle, aż wreszcie Zniknęło w ciemnościach. Leciał instynktownie na północ, oddalając się od siedzib ludzkich i kierując zapachem wody. O świcie poczuł się w miarę bezpieczny. Nad brzegiem jeziora zniżył lot. Z falującej łagodnie powierzchni zerwał się ku niemu rój wodnych ptaków. Wyczuł ich splecione w sieć umysły. Wyrównał lot i przebił się przez tę sieć. Ścigały go aż do lasu po drugiej stronie jeziora. Tam zanurkował gwałtownie, tnąc powietrze niczym ciemna pięść, wylądował na ziemi i zniknął. Pojawił się znowu wiele mil od tego miejsca, klęcząc nad kanałem łączącym dwa jeziora i wymiotując z wyczerpania. Potem położył się na brzegu. Po chwili podniósł się znowu, zanurzył twarz w nurcie i pił łapczywie.

Znalazły go o zmierzchu. Złowił rybę i zjadł pierwszy od dwóch dni posiłek. Potem zasnął, ukołyszany do snu przytłumionym popołudniowym światłem i monotonnym szmerem rzeki. Obudziło go niespokojne szwargotanie wiewiórek. Po szaroniebieskim niebie krążyło wielkie stado ptaków. Stoczył się do wody i zmienił postać. Prąd niósł go od progu do progu, wyrzucał ze wzburzonych kipieli w stojącą wodę, gdzie usiłowały go upolować wodne ptaki. W jednym z takich spokojnych miejsc postanowił opaść na dno i tam odpocząć, ale woda robiła się coraz ciemniejsza i bardziej mętna, a dna jak nie było, tak nie było. Wynurzył się w końcu dla zaczerpnięcia tchu. Płynął potem wolno tuż pod powierzchnią, obserwując émy baraszkuje nad wodą w poświacie księżyca. Dryfował tak, dopóki dno jeziora nie zaczęło się pięć w górę. Ukrył się w przybrzeżnych szuwarach. Tam przeczekał do rana.

Obudziła go mała rybka, która tuż obok niego wyskoczyła nad powierzchnię, by pochwycić w locie przelatującego owada. Rozeszły się nad nim kręgi wody. Podniósł się z szuwarów i stojąc w wodzie płonącej w promieniach wschodzącego słońca, zmienił postać. Wyszedł na brzeg i wsłuchał się w ciszę.

Zdawała się napływać z bezgłośnym rykiem od niezbadanych połąci świata. Lekki poranny wietrzyk wydał mu się jakiś obcy, przemawiał językiem, którego nigdy nie słyszał. Pamiętał jeszcze dzikie, starożytne głosy Wichrowej Równiny rozchodzące się po Ymris echami tysięcy imion i wspomnień. Ale głosy bezdroży były chyba jeszcze starsze, z języka prądów powietrza rozumiał tylko ich pustkę. Stał tak przez długi czas, oddychając ich osamotnieniem, dopóki nie poczuł, że zaczynają go wydrężyć w coś tak samo bezimiennego jak one.

Wtedy wyszeptał imię Raederle i strach chwycił go za gardło. Czy żyła jeszcze? Czy ktokolwiek pozostał w Lungold przy życiu? Przemknęło mu przez myśl, żeby wrócić do miasta. Przed oczyma stanęła mu twarz Raederle. Zabębnił bezsilnie pięściami w pień drzewa. Drzewo zadygotało w rytm jego niepewności, zerwał się z niego z krakaniem jakiś kruk. Morgon zadarł głowę i znieruchomiał, wężąc jak zwierzę. Spokojne dotąd wody jeziora zaczęły się burzyć, wydobywać ze swych głębi jakieś kształty. Krew zatętniła mu w skroniach. Otworzył umysł na umysły zamieszkujące bezdroża. Dołączył do oddalonego o parę mil, ogromnego stada łośi kierującego się na północ, ku rzece Thul.

Zastał je pasące się na polanie. Postanowił, że odłączy od stada nad rzeką Thul i będzie podążał z jej biegiem na wschód, dopóki nie zgubi zmiennokształtnych, a wtedy zawróci do Lungold. Tak też uczynił dwa dni później, kiedy powolne stado zaczęło się gromadzić nad rzeką. Ale część łośi ruszyła za nim. Zrozpaczony, ponownie zmienił postać i wzbiwszy się nocą w powietrze, pofrunął na południe. Ale kształty materializujące się z ciemności zmusiły go do zawrócenia na północ, za rzekę Thul, na północ, w kierunku Jeziora Białej Pani, na północ, ku Górze Erlenstar, co zaczął sobie wreszcie uświadamiać.

Ta świadomość przyprawiła go o furję, a zarazem napełniła trwogą. Wylądował na brzegu Jeziora Białej Pani zdecydowany walczyć. Czekał na prześladowców pod swoją własną postacią, gwiazdki w jelcu miecza krwawoczerwonym blaskiem wskazywały im, gdzie go znajdują. Ale nikt nie podjął wyzwania. Popołudnie było skwarne i bezwietrzne, tafla ogromnego jeziora nieruchoma i gładka niczym bite srebro. Sondował okolicę, ale nie natrafił nawet na ich umysły. W końcu, kiedy słońce zaczęło się chować za horyzontem i na świat nasunął się cień zmierzchu, doszedł do wniosku, że się od nich uwolnił. Schował miecz do pochwy, przybrał postać wilka. I wtedy ich zobaczył. Nieruchomi jak powietrze zastępowali mu drogę, materializując się z szarówki i ciemności.

Rozpalił główne iskry miecza zachodzącego słońca i zaczął czekać, aż płomień spłynie po ostrzu. Potem rozwiął się w cień i wypełnił ciemnością umysł. Ruszył do ataku gotów zabijać, zdawał sobie jednak sprawę, że tak wyczerpany i przybity prędzej sam zginie. Położył trupem dwóch zmiennokształtnych i dopiero wtedy dotarło do niego, że nie stawiają oporu. Nie chcieli z nim walczyć; odcinali mu tylko drogę powrotu na południe. Przyjął znowu postać wilka i pobiegł brzegiem jeziora na północ, zagłębiając się w las. Jego śladem pędziła wataha wilków. Zawrócił znowu i rzucił się na nie. Opadły go ze wszystkich stron, warcząc i kłapiąc. Dopiero kiedy wielki samiec, z którym tarzał się w paprociach, wbił mu kły w przedramię, zrozumiał, że wilczur jest realny. Odrzucił go impulsem energii i rozpalił wokół siebie świetlisty krąg. Wilki krążyły wokół niego pośród zmierzchu, nie bardzo wiedząc, z kim mają

do czynienia, ale wabił je zapach krwi, która sączyła mu się z rozerwanej wilczymi zębami ręki. Bawiła go trochę ta pomyłka, ale w gruncie rzeczy nie było mu wcale do śmiechu. Przez chwilę nie mógł zebrać myśli. Patrzył tylko w bezgwiazdną noc nad bezdrożami i wdychał zapach setki krążących wokół wilków. I nagle wpadł mu do głowy pomysł wyprowadzenia w pole zmiennokształtnych. Przykucnął, ściągnął na siebie spojrzenia wilczych ślepi i zapanował nad ich umysłami. Ale coś zerwało tę więź. Wilki poniechały go i rozplynęły się w nocy. Nie mógł latać; pokąsana ręka sztywniała i piekła. Przytłaczał go zapach samotności, ciągnący od zimnej, pociemniałej wody. Wygasił płomienisty krąg. Był uwięziony między zmiennokształtnymi a czarnym horrorem Góry Erlenstar. Stał, drżąc z zimna, a noc wokół niego, wspomnienie po wspomnieniu, gęstniała.

Czyjś umysł musnął lekko jego umysł, a potem serce. Głos wiatru zmienił się; wypełnił czarną noc dobiegającym zewsząd szeptem powtarzającym imię Raederle.

Świadomość jej obecności trwała tylko chwilę. Ale schylając się, by podpalić paprocie, czuł, że dziewczyna gdzieś tu jest, czy to w wielkim drzewie, obok którego stał, czy w ogniu, który trawił suche liście i ogrzewał mu twarz. Oderwał rękaw tuniki, obmył sobie pokąsaną rękę i opatrzył ją. Potem położył się przy ognisku i zapatrzył w płomienie, usiłując zgłębić intencje zmiennokształtnych. Uświadomił sobie naraz, że po policzkach spływają mu łzy. Raederle żyła, była przy nim. Zasypał ogień garścią ziemi, ukrył się pod iluzją ciemności i ruszył dalej na północ brzegiem Jeziora Białej Pani.

Na zmiennokształtnych natknął się znowu dopiero nad wzburzoną, spienioną rzeką Cwill, tam gdzie wypływała ona z północnego krańca jeziora. Widać było stamtąd przełęcz Isig, odległe pasmo podgórza oraz nagie szczyty Góry Isig i Erlenstar. Podjął kolejną desperacką próbę uwolnienia się od nich. Skoczył w rwący nurt Cwill i dał mu się nieść to pod postacią ryby, to uschniętej gałęzi, przez wiry, katarakty, grzmiące wodospady, dopóki nie stracił całkowicie poczucia czasu, kierunku, światła. W końcu wpłynął wraz z rzeką do zielonego stawu. Kołysał się tam przez chwilę pod postacią nasiąkniętego wodą kawałka drewna, świadomy jedynie włóknistej ciemności. Potem łagodny prąd zniósł go do brzegu między zeschnięte liście i gałęzie. Wygramolił się pod postacią zmokniętego piżmoszczura na ląd.

Tam, w cieniu drzew, zmienił znowu postać. Nie posunął się tak daleko na wschód, jak myślał. W oddali widział wciąż olbrzymią Górę Erlenstar obłożoną wieczornymi cieniami. Ale bliżej miał do Góry Isig. Gdyby udało mu się dotrzeć do niej bezpiecznie, mógłby się ukrywać przez dowolnie długi czas w labiryncie jej podziemnych korytarzy. Zaczekał do zmierzchu. Kiedy się ściemniło, przyjął postać niedźwiedzia i ruszył w drogę,

kierując się na konstelację gwiazd nad Górą Isig.

Szedł tak, dopóki gwiazdy nie zbladły o świcie, a potem, nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął stopniowo zbaczać z obranego kierunku. Las zgęstniał i przesłonił widok na górę; bujne zarośla i paprocie zmuszały go co i rusz do szukania okrzężnej drogi. Teren opadał stromo; podążał przez jar korytem wyschniętego strumienia, pewien, że idzie na północ, jednak, wynurzywszy się z jaru, stwierdził, że na wprost ma Górę Erlenstar. Skreślił znowu na wschód. Las szumiał na wietrze, gęste zarośla utrudniały marsz, często musiał je obchodzić i czyniąc to, za każdym razem niezauważalnie zbaczał z obranego kierunku, aż w końcu, przeprawiając się przez płytką rzeczkę, w prześwicie między drzewami znowu zobaczył przed sobą Górę Erlenstar.

Zatrzymał się pośrodku rzeki. Chylące się ku zachodowi słońce płonęło na niebie jak pochodnia. Było mu duszno pod zmierzwionym niedźwiedzim futrem, odzywał się głód. Usłyszał brzęczenie pszczoł i powęszył za aromatem miodu. W płytkiej wodzie mignęła ryba; pacnął łapą, ale nie trafił. I naraz bełkot w niedźwiedzim mózgu wyostrzył się w zrozumiały język. Stał na zadnich łapach i zaczął kołysać głową, marszcząc nos, tak jakby próbował zwęszyć formujące się wokół niego postaci, które usiłują zagrozić mu drogę do Isig.

Poczuł, że coś w nim narasta, i dał temu upust. Z jego gardzieli wydobył się głęboki, grmiący ryk, który zburzył ciszę i wrócił do niego echem odbitym od wzgórz i kamiennych szczytów. Potem, pod postacią jastrzębia, wzbił się wysoko w niebo i lotem strzały pomknął nad bezdrożami w kierunku Góry Isig.

Zmiennokształtni wytopili się z pni drzew i polecieli za nim. Przez jakiś czas udawało mu się utrzymywać dystans, ale o zachodzie słońca zaczęli go doganiać. Nie potrafił nazwać kształtów, które tym razem przyjęli. W promieniach zachodzącego słońca ich skrzydła mieniły się czerwienią i złotem; ich oczy i szpony płonęły. Dzioby mieli ostre, białe jak kość. Otoczyli go, spadli nań z góry, dziobiąc, rwąc i szarpiąc. Wkrótce skrzydła miał w strzępach, a pierś we krwi. Doprowadzony do rozpaczycy dał w końcu za wygraną, krzyknął przenikliwie i zmienił kierunek lotu.

Leciał całą noc, otoczony zewsząd ich płonącymi oczami. O świcie ujrzał przed sobą zbocze Góry Erlenstar. Powrócił w locie do własnej postaci i jak kamień runął w dół. Pęd powietrza zapierał dech w piersiach, na spotkanie wybiegał mu wirujący las. Nad samą ziemią coś wdarło się w jego myśli. Potem wszystko poczerwiano.

Ocknął się w całkowitych ciemnościach. Czuł woń wilgotnego kamienia. Gdzieś z daleka dobiegał szmer płynącej wody. Rozpoznał to miejsce i zacisnął pięści. Leżał na wznak na zimnej, nagiej skale. Cały był obolały, skórę miał pooraną szponami. Cisza góry przynia-

tała mu pierś jak z mora ze złego snu. Napiął mięśnie i nasłuchiwał gorączkowo jakiegoś głosu, który jednak się nie odzywał. Odżywały wspomnienia.

Zaczął chłonać ciemność w umysł, wtapiać się w nią. Usiadł nagle i wyteżając wzrok, wpatrzył się szeroko otwartymi oczami w czarną nicość. Gdzieś z bezgwiazdnej nocy swoich myśli wydobył wspomnienie światła i ognia. Rozniecił go na dłoni, podsycił i rozejrzał się po ogromnej kamiennej grocie, po więzieniu, w którym spędził najkoszmarniejszy rok swojego życia.

Rozchylił usta. Jakieś słowo utknęło mu w krtani niczym klejnot. Płomyk odbijał się w nieskończoność od ścian z lodu i ognia, ze złota, z błękitu nieba przetykanego pasemkami srebra. Wnętrze góry było z kamienia, z którego Panowie Ziemi wznosili swoje miasta, widział zmrożone blizny w miejscach, skąd wykuwano bloki.

Wstał powoli. Z zagłębień i skalnych występów patrzyła nań jego własna twarz. Komora była ogromna; podsycił płomyk jeszcze bardziej jego odbiciami i ten strzelił mu nad głowę, ale nadal nie widział nic prócz ogromu ciemności, w których migotała zwodniczo sieć żyłek szczerzego złota.

Woda, której nie kończący się, niezmienny plusk słyszał, wyłobila w litej skalnej ścianie diamentowobiały rowek, którym ściekała do ogromnego jeziora, tak nieruchomego, jakby wykuto je z mroku. Uniósł wyżej płomień. Ściana po drugiej stronie tego jeziora była z czystego szronu.

Ukląkł, dotknął wody. Po ciemnej tafli rozbiegły się zachodzące na siebie kręgi. Przypomniały mu się spiralne schody Wieży Wichrów. Ze ściśniętą pragnieniem krtanią pochylił się i złożoną w muszlę dłonią zaczerpnął wody z jeziora. Przełknął ją i zakrztusił się. Była kwaśna od minerałów.

- Morgonie.

Zmartwiał. Po chwili podniósł wzrok i napotkał oczy Ghisteslwhlohma.

Były wpadnięte, rozbiegane, płonące mocą, która do niego nie należała. Tyle zdążył zaobserwować Morgon, zanim ciemność połknęła płomień na jego dłoni i ponownie go oślepiła.

- A więc - wyszeptał - sam Założyciel jest pod działaniem klątwy.

Wstał bezszelestnie, próbując jednocześnie wkroczyć we fragment świtu za roztrzaskanymi drzwiami sali tronowej Najwyższego. Zamiast tego przekroczył krawędź przepaści. Stracił równowagę i z okrzykiem przerażenia runął w nicość. Wylądował na brzegu jeziora i przywarł do kamieni u stóp Ghisteslwhlohma.

Wsparł czoło na przedramieniu, próbował zebrać myśli. Natrafił na umysł nietoperza

wciśniętego w swój sekretny ką, ale czarodziej pochwycił go, zanim Morgon zdążył zmienić postać.

- Nie ma ucieczki. - Głos mu się zmienił; był teraz powolny, łagodny, jakby czarodziej wsłuchiwał się w jakiś inny wewnętrzny głos albo w niespokojny rytm pływów. - Nie użyjesz swojej mocy, Naznaczony Gwiazdkami. Będziesz tylko czekał.

- Czekał? - wyszeptał Morgon. - Na co? Na śmierć? - Milczał chwilę. - Tym razem muzyka harfy nie podtrzyma mnie przy życiu. - Uniósł głowę i wpatrzył się w ciemność. - A może spodziewasz się przybycia Najwyższego? Jeśli tak, to będziesz czekał, dopóki nie obrócę się w kamień, jak dzieci Panów Ziemi, zanim Najwyższy okaże jakiegokolwiek zainteresowanie moją osobą.

- Wątpię.

- Ty? Ty właściwie nie istniejesz. Nie jesteś już w stanie wątpić. Więcej woli niż ty mają nawet upiory An. Nie potrafię już orzec, czyś martwy, czy jeszcze żyjesz, gdzieś tam w głębi, tak jak żyli czarodzieje, gdzieś pod pancerzem mocy. - Zniżył głos. - Mógłbym walczyć po twojej stronie. Nawet na to byłbym gotów, byle odzyskać wolność.

Dłoń cofnęła się z jego ramienia. Morgon zapuścił sondę w dziwny, wypełniony morzem umysł, szukając ukrytego tam imienia. Nic z tego. Brnął przez fale i wypiętrzające się góry wody, aż w końcu czarodziej wyrzucił go z powrotem na brzeg jego własnej świadomości. Sapał spazmatycznie, jakby zapomniał, jak się oddycha. Wycofując się w mrok, usłyszał wreszcie głos czarodzieja:

- Dla ciebie nie ma wolności.

Spał jakiś czas, regenerując siły. Śnił o wodzie. Obudziło go straszne pragnienie; wymacał w ciemnościach brzeg jeziora i spróbował je zaspokoić. Wypluł wodę, nie przełknawszy jej, i klęczał, długo wymiotując. Potem odpłynął znowu w gorączkowy sen, śniąc znowu o wodzie. Wydało mu się, że się do niej stacza i wciąga za sobą chłodną ciemność, że opada coraz głębiej i głębiej w jej nieruchomą toń. Wciągnął wodę w płuca i obudził się w panice. Tonał. Czyjeś ręce wyciągnęły go z jeziora i pozostawiły rzygającego gorzką wodą na brzegu.

Kąpiel przywróciła mu trochę jasność myślenia. Leżał cicho, wpatrując się w nieprzenikniony mrok i zastanawiając się, czy gdyby wypełnił nią swój umysł, to też by w niej utonął. Na próbę uchylił przed nią myśli, ale zaraz opadły go wspomnienia z trwającej rok nocy i ogarnięty paniką rozpalił powietrze ogniem. Mignęła mu przez moment twarz Ghisteslwchlohma. Dłoń czarodzieja przygniotła wzniecony przez niego płomień i ten rozprysł się na kawałki jak szkło.



- Z każdą wieżą pozbawioną drzwi związana jest zagadka otwarcia drzwi do niej - wyszeptał. - Nauczyłeś mnie tego.

- Tutaj są tylko jedne drzwi i jedna zagadka.

- Śmierć? Sam w to nie wierzysz. Inaczej pozwoliłbyś mi utonąć. Co zrobisz, jeśli Najwyższego nie interesuje, czy będę żył, czy umrę?

- Zaczekam.

- Czekaj. - Morgon poruszył się niespokojnie. W jego głowie rodziła się odpowiedź na nurtujące go od dawna pytanie. - Zmiennokształtni czekali tysiące lat. Przejrzałeś ich na moment przed tym, jak rzucili na ciebie czar. Co zobaczyłeś? Jaka siła była w stanie przezwyciężyć potęgę Panów Ziemi? Tych, którzy swą moc i prawo do istnienia czerpali z każdego żywego stworzenia, z ziemi, z ognia, z wody, z wiatru... Zmiennokształtni przepędzili Najwyższego z Góry Erlenstar. Potem przyszedłeś tu ty i zastałeś pusty tron, na którym legenda osadziła Najwyższego. Sam więc zostałeś Najwyższym i prowadziłeś tę grę, czekając na kogoś, o kim kamienne dzieci wiedziały tylko, że będzie Naznaczony Gwiazdkami. Obserwowałaś ośrodki rozkwitu wiedzy i mocy, gromadząc czarodziejów w Lungold, nauczając w Caithnard. I pewnego dnia do Caithnard przybył syn księcia Hed, chłopak z krowim łajnem na butach i pytaniem na twarzy. Ale to nie wystarczyło. Ty nadal czekasz. Nadal czekają zmiennokształtni. Na Najwyższego. Wykorzystujesz mnie w charakterze przynęty, ale on, gdyby chciał, sam dawno by już mnie znalazł.

- On przyjdzie.

- Wątpię. Nie kiwnął palcem, kiedy przez stulecia oszukiwałeś królestwo. Nie obchodzi go dobro zamieszkujących je ludzi i czarodziejów. Nie zareagował, kiedy ograbiałeś mnie z ziemwładztwa, za co powinienem był cię zabić. Nie obchodzi go ja... - Morgon urwał znowu i patrzył w beznamiętne oblicze ciemności. - Jaka siła była w stanie zburzyć miasta Panów Ziemi? - podjął, wsłuchując się w ciszę, która zbierała się i zamarzała w każdej kropli płynnego kamienia. - Jaka siła była w stanie zmusić Najwyższego do ukrycia się? Co przewyższa potęgą Panów Ziemi? - Zawiesił głos i nagle, niczym rozbłysk żaru w popiele z wygasłego ogniska, w głębi umysłu zaświtała mu odpowiedź.

Usiadł prosto. Powietrze wydało mu się nagle jakieś rzadkie, gryzące; trudno było nim oddychać.

- Zmiennokształtni... - Suchość drapała go w gardle. Uniósł dłoń do oczu, zagarniając ciemność, i wpatrzył się w nią. Słyszał szepty dobiegające z pamięci, z otaczających go kamieni: Wojna jeszcze się nie skończyła, przyczaiła się tylko i zbiera siły... Ci z morza. Edo-len. Sec. Zniszczyli nas i nie mogliśmy już żyć na ziemi; nie mogliśmy już jej ujarzmić...

Były to głosy umarłych Panów Ziemi, głosy ich dzieci. Ręce opadły mu ciężko na kamienie, ale ciemność wciąż napierała na oczy. Zobaczył dziecko odrywające wzrok od liścia, którego dotknęło we śnie, spoglądające na równinę i tężejące. - Oni, dotykając liścia, góry, nasiona, czegokolwiek, potrafili to poznać, stać się tym. To właśnie zobaczyła Raederle, ich moc, którą pokochała. A mimo to pozabijali się nawzajem, pogrzebali swoje dzieci pod górą, by tam umarli. Znali wszystkie języki ziemi, wszystkie prawa rządzące jej kształtami i ruchami. Co się z nimi stało? Czyżby natknęli się na kształt czegoś, co nie kieruje się żadnymi prawami, tylko mocą? - Szeptał teraz jak przez sen. - Jaki by to mógł być kształt.

Urwał raptownie. Drżał i spływał potem. Zapach wody przyciągał go bezlitośnie. Wyciągnął znowu ręce, żeby jej zaczerpnąć, umierał z pragnienia. Zatrzymał dłonie tuż nad powierzchnią. Z nieruchomej tafli jeziora patrzyła nań nieziemsko piękna twarz Raederle. Wokół tej twarzy, niczym ognista korona słońca, falowały długie włosy. Zapomniał o pragnieniu. Przez długi czas klęczał bez ruchu na brzegu i wpatrywał się w to zjawisko. Nie wiedział, czy to realny obraz, czy zrodzony z tęsknoty wytwór jego wyobraźni, ale nie dbał o to. W końcu uderzył w wodę dłonią i twarz Raederle zniknęła, a po jeziorze rozeszły się kręgi.

Mordercza niekontrolowana furia poderwała Morgona na nogi. Pragnął zabić Ghisteslwchlohma gołymi rękami, ale go nie widział. Bombardowały go raz po raz impulsy mocy, mimo to nie czuł bólu; kształty przewijały się przez jego myśli szybciej niż artykułowany język. Odrzucał je kolejno, szukając dostatecznie potężnego, by pomieścić całą jego wściekłość. Poczł, że jego ciało zatracca kształt; umysł wypełnił mu się jakimś dźwiękiem - niskim, chrapliwym, dzikim, głosami z najdalszych zakątków bezdroży. Coś go przenikało, odbijając rozbłyski światła tnące powietrze. Czł, że coś przeszukuje mu umysł, ale w jego myślach nie było języka, był w nich tylko dźwięk przypominający dźwięczny ton nienastrojonej struny harfy. Jego furia pęczniała, dopasowywała się kształtem do wszystkich wgłębień i występów kamiennej pieczary. Odrzucił czarodzieja daleko od siebie, przytrzymał go w powietrzu jak liść na wietrze, cisnął nim o kamienną ścianę.

I nagle dotarło doń, czyj kształt przyjął.

Powrócił do własnej postaci, raptownie opuściła go dzika energia. Szlochając ze strachu i oszołomienia, ukląkł roztrzęsiony na kamieniach. Słyszał, jak czarodziej odrywa się od ściany, sapiąc ciężko, jakby w oddychaniu przeszkadzały mu połamane żebra. Kiedy ruszył przez pieczarę, Morgon usłyszał wokół siebie głosy przemawiające najprzeróżniejszymi złożonymi językami ziemi.

Słyszał szept ognia, szelest liści, wycie wilka na zalanych księżycową poświatą

puszkiach bezdroży, suchy szmer listków kukurydzy. A potem, gdzieś z oddali, dobiegł go dźwięk przypominający westchnienie samej góry. Kamień pod jego stopami drgnął lekko. Krzyknął ostro morski ptak. Ktoś ręką z kory drzewa uderzył Morgona lekko w plecy.

- Jedna zagadka i jedne drzwi - wyszeptał Morgon z goryczą, czując, jak ktoś zabiera mu wysadzany gwiazdkami miecz.

Czekał z zapartym tchem w oku ciemności, pewien, że miecz zaraz na niego spadnie, ale nic się nie działo. I nagle głos Raederle, narastający do Wielkiego Krzyku, wyrwał go z odrętwienia:

- Morgonie!

Ze stropu pieczary posypały się głazy, krzyk urwał się, dziko świsnął miecz. Morgon usłyszał, jak uderza o kamienie. Przerażony, mimowolnie zawołał Raederle po imieniu. Podłoże znowu drgnęło, popychając go ku brzegowi jeziora. Miecz zsunął się za nim. Wibrował jeszcze dziwną, wysoką nutą, która ścichła, kiedy Morgon schylił się po niego i wsunął do pochwy. Dał się słyszeć trzask, jakby w którejś ze ścian pękł kryształ.

Pękając, śpiewał - na niską, śpiewną nutę, która rozkruszała jego jądro. Odzywały się inne kryształy; korzenie góry wypełnił ogłuszający rumor. Z góry padały kamienie i pył; na wpół uformowane kryształy rozsypywały się w proch w zderzeniu ze skalnym podłożem. Pieczara rozbrzmiewała głosami nietoperzy, delfinów, pszczoł. Morgon usłyszał krzyk Raederle. Klnąc ze szlochem, podźwignął się na nogi. Skalna płyta pod jego stopami dygotała, wydając pomruk, który przechodził w ryk. Naraz pękła i jedna połowa wypiętrzyła się, zachodząc na drugą. Wstrząs rzucił go w jezioro. Cały basen jeziora - ogromna kolistka niecka wyżłobiona w litej skale - zaczął się przechylać.

Na chwilę nakryła go fala czarnej wody. Kiedy ponownie się wynurzył, usłyszał przeraźliwy zgrzyt, jakby sama góra odrywała się z jękiem od swych korzeni.

Wicher wdarł się do kamiennej pieczary. Oślepił Morgona, wtłoczył mu krzyk z powrotem do gardła. Jezioro zmieniło się w czarny wir, który go wessał. Zanim zniknął pod wodą, usłyszał jeszcze coś, co mogło być albo dzwonieniem krwi w uszach, albo dźwiękiem idealnie nastrojonej struny, płynącym z samego jądra basowego głosu wichru.

Woda wypłuła Morgona z powrotem na powierzchnię. Basen przechylał się coraz bardziej, wylewając go wraz z wodą na przeciwległą pionową ścianę. Wstrzymał oddech i zanurkował, usiłując płynąć pod falę. Ale odrzuciła go na skałę. Ściana rozstała się przed nim, zanim w nią uderzył. Woda runęła przez powstałą szczelinę, porywając go ze sobą. Poprzez ryk wodospadu słyszał ostatnie podrygi góry grzebiącej swoje własne serce.

Woda z jeziora poniosła go najeżonym skalnymi zębami przełomem i przerzuciła

przez kamienny próg. Znalazł się w rwącym strumieniu. Próbował się z niego wydostać, chwytając się skalnych półek, szorstkich od klejnotów ścian, ale towarzyszący mu wciąż wiatr spychał go z powrotem do wody i niósł razem z nią w nieznaną. Strumień wpadł do innego wodnego ciekłu; wir wciągnął go pod kamienną półkę i cisnął w nurt innej rzeki. Ta rzeka wyniosła go w końcu spod góry, przeciągnęła przez spienione katarakty i utrzymującego się ostatkiem sił na powierzchni wypłukała do Ose.

Tu udało mu się wreszcie wypłynąć na brzeg. Przywarł półprzytomny do zalanej słońcem ziemi. Dziki wicher wciąż szarpał na nim ubranie; wysokie sosny pojękiwały pod jego naporem. Krztusząc się, wypływał z siebie gorzką wodę. Kiedy w końcu podpełzł do brzegu, by napić się słodkiej wody z Ose, wiatr omal z powrotem go do niej nie zepchnął. Uniósł głowę i spojrzał na górę. Cześć jej stoku zapadła się pod ziemię; na zboczu leżały drzewa wyrwane z korzeniami przez osuwające się skały i ziemię. W przełęczy, jak okiem sięgnąć, szalał wicher przyginający do ziemi drzewa.

Morgon spróbował wstać, ale nie wystarczyło mu sił. Wiatr zdawał się wypłaszać go z jego własnej postaci. Wyciągnął ręce i zacisnął dłonie na grubych korzeniach. Poczł ogromną siłę drzewa, gdy to zadrżało pod jego dotykiem.

Przywarł do pnia i podciągnął się po sękach i wybrzuszeniach do pozycji pionowej. Potem oderwał się od drzewa i uniósł ramiona, tak jakby chciał nimi zagarnąć wiatr.

Z dłoni i głowy wyrosły mu gałęzie. Myśli splątały się jak korzenie. Wyciągnął się w górę. Żywica pociekła mu po korze jak łzy. Jego imię utworzyło rdzeń; na tym rdzeniu narastał słój za słojem ciszy. Wystawił głowę wysoko ponad sklepienie lasu. Zakotwiczony mocno w ziemi, uginając się pod furją wichru, zniknął w sobie samym, za twardą, smaganą wiatrem tarczą własnych doświadczeń.

Powrócił do swojej postaci w pewien deszczowy jesienny dzień. Stał na zimnym wietrze, mrużąc oczy przed zacinającym deszczem, i próbował sobie przypomnieć, ile czasu tu spędził. Przed nim toczyła swe wody szara jak ostrze noża Ose; skalne szczyty przełęczy niknęły w grubej powłoce chmur. Drzewa wokół, wrosnięte korzeniami głęboko w ziemię, pochłonięte były własnym istnieniem. Naszła go ochota, by znowu stać się jednym z nich. Sięgnął umysłem do ich grubej, wilgotnej kory. Jakże go kusiło, by powrócić do tej powolnej egzystencji, wokół której narastają i twardnieją kolejne słoje. Ale wiatr poruszył wspomnienia. Przypomniał sobie dygoczącą, zapadającą się wokół niego górę i szaleńczy spływ rwącym potokiem. Reszty dopełnił deszcz. Morgon poruszył się z ociąganiem, zrywając ostatecznie więź z ziemią, i spojrział na Górę Erlenstar. Poprzez mgłę zobaczył bliźnę w jej zboczu i wciąż spod niej wypływającą ciemną rzekę, która wpadała do Ose.

Patrzył tak długi czas, składając w całość fragmenty mrocznego, niepokojącego snu. Implikacje wyrwały go z marazmu; zadygotał w zacinającym deszczu. Przemiotł sondą umysłu okolicę. W przełęczy nie natrafił na nikogo - ani na myśliwego, ani czarownika, ani zmiennokształtnego. Na wstępującym prądzie powietrza przeleciał nad nim spychany wiatrem kruk; uchwycił się skwapliwie jego umysłu. Ale ptak nie znał jego języka. Puścił go. Dziki, porywisty wiatr hulał z poświstem między szczytami; drzewa wokół szumiały, węsząc nadciągającą zimą. Morgon odwrócił się w końcu i przygarbiony ruszył pod wiatr z biegiem Ose ku światu.

Ale postąpiwszy zaledwie krok, zatrzymał się i zapatrzył w rzekę rwącą w stronę Isig, Osterlandu i portów kupieckich na północnych wybrzeżach królestwa. Unieruchamiała go jego własna moc. Nie było w królestwie miejsca dla człowieka, który złamał tabu prawa ziemi i kształtował wiatr. Rzeka rozbrzmiewała echemi głosów przemawiających w językach, których nie znali nawet czarodzieje. Wrócił myślami do mrocznego, pustego oblicza wiatru, który był Najwyższym i któremu nie zawdzięczał nic prócz życia.

- Po co mi ono? - wyszeptał. Naszła go ochota, by wykrzyknąć te słowa do poharatanego, beznamiętnego zbocza Góry Erlenstar. Ale wiatr i tak połknąłby jego krzyk. Postąpił drugi krok w dół rzeki, w kierunku Harte, gdzie Danan Isig przyjąłby go z otwartymi rękami. Ale u Danana nie znalazłby odpowiedzi na nękające go pytania. Był więźniem przeszłości, pionkiem w starożytnej wojnie, którą w końcu zaczynał rozumieć. Przerazała go nieokreślona tęsknota za dociekaniem istoty swojej dziwnej, nieprzewidywalnej mocy. Stał

tak długo nad brzegiem rzeki, aż mgły nad szczytami pociemniały i cień padł na stoki Góry Erlenstar. W końcu oderwał od niej wzrok i ruszył poprzez deszcz i lodowatą mgiełkę w stronę gór na granicy północnych rubieży.

Przeprawił się przez nie pod swoją własną postacią, chociaż deszcze pod szczytami przechodziły czasem w marznącą mżawkę, a kamienie, po których stapał, powlekała warstewka lodu. Przez kilka pierwszych dni, choć właściwie nie zdawał sobie z tego sprawy, jego życie wisiało na włosku. Przyłapywał się na tym, że je, chociaż nie pamiętał, by polował, albo budził się o brzasku w suchej jaskini, nie pamiętając, jak się w niej znalazł. Uświadamiał sobie stopniowo swoją niechęć do korzystania z mocy i zaczynał myśleć na poważnie o przetrwaniu. Zabił kilka dzikich górskich kozic, zaciągnął je do jaskini, oprawił i czekając, aż wyschną zdjęte ze zwierząt skóry, żywił się jakiś czas ich mięsem. Potem z odprysku kości sporządził ostre szydło, podziurkował nim brzegi skór i zesnurował je podartą na paski tuniką. Wyszła mu obszerna, włochata opończa z kapturem, a futrzanych skór wystarczyło jeszcze na wyłożenie butów. Skończywszy, przywdział ten strój i ruszył w dalszą drogę, schodząc północnym odcinkiem przełęczy ku rubieżom.

Na rubieżach deszcz padał rzadko, za to wiały tam porywiste, kąśliwe wichry, a mróz szklął płaską, monotonną równinę, która o wschodzie słońca zdawała się płonąć. Morgon brnął przez nią jak duch, polując, kiedy zgłodniał, i śpiąc pod gołym niebem, bo rzadko odczuwał chłód, tak jakby jego ciało samorzutnie rozwiewało się i stapiało z wiatrem. Pewnego dnia uświadomił sobie, że nie idzie już w poprzek łuku zataczanego po niebie przez słońce; skreślił na wschód i maszerował tak do świtu. W promieniach wschodzącego słońca dojrzał rysujące się w oddali górskie pasmo, z którego strzelał w niebo chropawy, błękitnoszary szczyt - chyba Posepnej Góry, ale odległość była tak wielka, że nie miał pewności, czy to właśnie ona. Do południa nie usłyszał nic prócz zawodzenia wiatru. Pewnej nocy, siedząc przy ognisku, odniósł mgliste wrażenie, że wiatr nakłania go do zmiany postaci. I nagle uświadomił sobie, że trzyma w rękach wysadzaną gwiazdkami harfę.

Nie pamiętał, żeby zdejmował ją z pleców. Wpatrywał się w instrument, śledząc bezgłośny płas ogni na strunach. Po chwili poprawił się i przycisnął harfę do ramienia. Bezwiednie przebiegł palcami po strunach, wydobywając z nich akord naśladujący surową, dziką pieśń wiatru.

Odeszła go wszelka chęć do kontynuowania wędrówki. Pozostał w tym odizolowanym od świata miejscu na rubieżach, wyróżnianym tylko przez kilka kamieni, karłowaty krzak i rozpadlinę w twardym gruncie, gdzie spod ziemi wypływał strumyk, który kilka kroków dalej zniknął znowu pod powierzchnią. Morgon odchodził stamtąd tylko na polowania i zawsze

odnajdywał drogę powrotną, jakby wskazywało mu ją echo jego harfy. Grał na harfie z wiatrami, które dęły od świtu do nocy, czasami tylko na jednej wysokotonowej strunie, dostrajając się do tonu zawodzącego wschodniego wiatru; czasami na wszystkich strunach, na niską nutę naśladującą pomruk wiatru północnego; zdarzało się, że podnosząc wzrok, dostrzegał zasłuchanego śnieżnego zająca albo przechwytywał zdumione spojrzenie przelatującego białego sokoła. Ale im bardziej zbliżała się zima, tym rzadziej odwiedzały go zwierzęta; wiedzione instynktem odchodziły w góry szukać tam schronienia i pożywienia. Grał więc w samotności - dziwne, futrzaste, bezimienne zwierzę wydające głos tylko z trzymanego w rękach instrumentu. Przywykł do porywistego wichru, jego umysł drzemał jak otaczające go rubieże. Nie wiedział, jak długo jeszcze by tam zabawił, gdyby pewnej nocy, zaintrygowany osobliwym drgnieniem płomieni, nie podniósł wzroku i nie zobaczył przed sobą Raederle.

Była odziana w opończę z kosztownych srebrzystych futer, jej włosy wymykające się spod kaptura i szarpane wiatrem przypominały rozświeglające mrok płomienie. Znieruchomiał z palcami na strunach. Kiedy uklękła przy ognisku, wyraźniej zobaczył jej twarz; była zmęczona, blada i niezmiennie piękna. Nie miał zrazu pewności, czy to aby nie sen, jak wtedy, kiedy ujrzał tę samą twarz w tafli czarnego jeziora w korzeniach góry. Potem zauważył, że dziewczyna dygocze jak w febrze. Ściągnęła rękawice i gołymi rękami uspokoiła rozchybotane ognisko. Docierało do niego powoli, jak wiele czasu upłynęło od ich ostatniej rozmowy.

- Lungold - wyszeptał. To słowo zdawało się nie mieć żadnego znaczenia w tumultie rubieży. Ale Raederle przybyła tu za nim ze świata. Wyciągnął przez ogień rękę i przyłożył dłoń do jej policzka. Patrzyła na niego bez słowa. Po chwili podciągnęła kolana pod brodę i szczelniej opatulila się futrem.

- Słyszałam, jak grasz - odezwała się.

- Obiecałem, że się nauczę. - Głos miał schrypnięty od długiego milczenia. - Gdzie byłaś? Podążałaś za mną przez bezdroża; byłaś przy mnie pod Górą Erlenstar. Potem zniknęłaś.

Długo patrzyła na niego bez słowa. Zaczął już tracić nadzieję, że mu odpowie.

- To nie ja zniknęłam. To ty zniknąłeś. - Głos zaczął jej drżeć. - Z powierzchni królestwa. Czarodzieje wszędzie cię szukają. Tak samo zmiennie... zmiennokształtni. I ja. Myślałam już, że nie żyjesz. A ty siedzisz tu sobie, grasz na harfie na wietrze, który potrafi zabić, i nawet nie jest ci zimno.

Milczał. Śpiewająca z wichrami harfa wydała mu się nagle lodowato zimna. Odłożył

ją.

- Jak mnie znalazłaś?

- Szukałam. Pod każdą możliwą postacią. Przyszło mi do głowy, że może przebywasz wśród vest. Udałam się więc do Hara i poprosiłam go, żeby nauczył mnie przyjmowania postaci vesty. Zgodził się, ale dotknąwszy mojego umysłu, przerwał i powiedział, że mnie chyba niczego nie trzeba uczyć. Zwierzyłam mu się ze wszystkiego. Kazał sobie opowiedzieć, co się wydarzyło pod Górą Erlenstar. Kiedy to zrobiłam, orzekł, że trzeba cię odnaleźć. Na koniec zabrał mnie na drugą stronę Pośredniej Góry do stad vest. Po drodze usłyszałam dźwięki harfy niesione przez wiatr... Morgonie, skoro ja zdołałam cię odnaleźć, to i innym się uda. Przyszędłeś tu, żeby uczyć się gry na harfie, czy po prostu uciekłeś?

- Po prostu uciekłem.

- A zamierzasz... zamierzasz wrócić?

- Po co?

Nie odpowiedziała. Szarpane wiatrem płomienie tańczyły dziko przed jej twarzą. Nie spuszczać z niego wzroku, uspokoiła je znowu. Potem przysunęła się doń i przytuliła mocno, kryjąc twarz w kosmatym futrze na jego ramieniu.

- Chyba potrafiłabym nauczyć się żyć na rubieżach - wyszeptała. - Strasznie tu zimno, nic nie rośnie... ale muzyka wiatrów i twoja gra są tak piękne.

Pochylił głowę, otoczył ją ramieniem i ściągnąwszy kaptur z głowy dziewczyny, przyłożył policzek do jej policzka. Coś zakłuło go w sercu, czy to z chłodu, który w końcu tam dotarł, czy z rodzącego się w bólach ciepła.

- Słyszałaś pod Górą Erlenstar głosy zmiennokształtnych - powiedział, zacinając się. - Wiesz czym są. Znają wszystkie języki. Są Panami Ziemi i nadal, choć minęły już tysiące lat, prowadzą wojnę przeciwko Najwyższemu. A ja jestem przynętą w pułapkach, które na niego zastawiają. To dlatego dotąd mnie nie zabili. Chcą go dostać. A niszcząc jego, zniszczą królestwo. Jeśli nie znajdą mnie, to może i jego nie znajdą. - Raederle chciała coś powiedzieć, ale nie dopuścił jej do głosu i ciągnął: - Wiesz, co zrobiłem pod tamtą górą. Ogarnęła mnie taka wściekłość, że gotów byłem zamordować, i w tym celu zmieniłem się w wiatr. Nie ma w królestwie miejsca dla kogoś dysponującego taką mocą. Co ja z nią pocznę? Jestem Naznaczonym Gwiazdkami. Jestem obietnicą złożoną przez umarłych walczących w wojnie starszej niż nazwy królestw. Zostałem zrodzony z mocy, która pozostawia mnie bezimiennym w moim własnym świecie... z tą straszną pokusą zrobienia z niej użytku.

- Odszedłeś więc na rubieże, gdzie nie masz pretekstu, żeby z niej korzystać?

- Tak.



Wsunęła rękę pod jego kaptur i pogłaskała go po czole i przeciętym blizną policzku.

- Morgonie - powiedziała cicho - sądzę, że gdybyś naprawdę chciał z niej skorzystać, uczyniłbyś to. Gdybyś tylko znalazł po temu jakiś pretekst. Sprowokowałeś mnie, bym skorzystała z mojej mocy w Lungold, a potem na bezdrożach. Kocham cię i będę o ciebie walczyła. Albo siedziała z tobą tu, na rubieżach, dopóki nie rozsypiesz się w śnieg. Skoro nie wzrusza cię fakt, że jesteś potrzebny ziemwładcom, wszystkim tym, którzy cię kochają, to czego trzeba, żeby cię stąd ruszyć? Co cię tak zraniło w mroku pod Górą Erlenstar?

Morgon milczał. Wichry zawodziły potępieńczo pośród nocy, przyciągane jakby przez ten samotny punkt światła. Nie miały twarzy, nie rozumiał ich języka.

- Najwyższy nie może wypowiedzieć mojego imienia - wyszeptał, patrząc na nie - tak jak nie może tego zrobić granitowa płyta. Wiem, że jesteśmy ze sobą w jakiś sposób powiązani. On ceni sobie moje życie, ale nie wie nawet, czym ono jest. Jestem Naznaczonym Gwiazdkami. On daruje mi życie. Ale nic ponadto. Ani nadziei, ani sprawiedliwości, ani współczucia. To czysto ludzkie pojęcia. Tutaj, na rubieżach, nikomu nie zagrażam. Dopóki tu przebywam, jestem bezpieczny, bezpieczny jest Najwyższy, a królestwa nie pustoszy moc zbyt niebezpieczna, by jej używać.

- Królestwo jest pustoszone. Ziemwładcy większe nadzieje pokładają w tobie niż w Najwyższym. Z tobą mogą przynajmniej rozmawiać.

- Gdybym przeobraził się w broń, której mogliby użyć w boju Panowie Ziemi, nawet ty byś mnie nie poznała.

- Być może. Swego czasu, kiedy bałam się mocy, którą w sobie noszę, powiedziałaś mi pewną zagadkę.

O tej Aryi, kobiecie z Herun, co przyniosła do domu ciemne, przerażające zwierzę, którego nazwy nawet nie znała. Ale nie powiedziałaś, jak się to skończyło.

Morgon poprawił się niespokojnie.

- Umarła ze strachu.

- A to zwierzę? Co to było?

- Nikt nie wie. Przez siedem dni i siedem nocy wyło nad jej mogiłą głosem tak przepełnionym miłością i żalem, że ci, którzy słyszeli to wycie, nie mogli ani spać, ani jeść. A potem też umarło.

Raederle uniosła głowę. Usta miała rozchylone i Morgonowi przypomniawszy się pewna chwila z zamierzchłej przeszłości: siedział w małej kamiennej izbie w Caithnard, studiował zagadki i czuł, jak serce ściska mu się to z radości, to z przerażenia, to znów ze smutku, kiedy poznawał ich zaskakujące zakończenia.

- To nie ma nic wspólnego ze mną - dorzucił.

- Tak przypuszczam. Wiedziałbyś, gdyby było inaczej.

Morgon objął ją obiema rękami. Położyła mu głowę na ramieniu, a on przytulił policzek do jej włosów.

- Jestem zmęczony - mruknął. - Znalazłem odpowiedzi na zbyt wiele zagadek. Panowie Ziemi wszczęli w niepamiętnych czasach wojnę, wojnę, w której zginęły ich własne dzieci. Gdybym wiedział, że jestem w stanie ich pokonać, zrobiłbym to dla dobra królestwa; ale podejrzewam, że występując przeciwko nim, wydałbym tylko wyrok śmierci na siebie i na Najwyższego. Nie robię więc nic, bo to wydaje mi się najsensowniejsze.

Raederle długo się nie odzywała. Tulił ją do siebie, wpatrując się w jej srebrzącą się w blasku ognia opończę.

- Morgonie - powiedziała w końcu - jest jeszcze jedna zagadka, na którą powinieneś chyba znaleźć odpowiedź. Odarteś ze wszystkich iluzji Ghisteslwchlohma; rozszyfrowałeś zmiennokształtnych; obudziłeś Najwyższego z milczenia. Ale jest jeszcze coś, czego nie nazwałeś, a to nie umrze... - Głos jej zadrżał. Umilkła. Poczul przez grube futra, jak mocno wali jej serce.

- Co? - szepnął to tak cicho, że nie mogła go usłyszeć, a mimo to odpowiedziała:

- W Lungold rozmawiałam z Yrthem pod postacią kruka. Nie wiedziałam więc wtedy, że jest ślepy. Szukając ciebie, zawitałam do Isig i zastałam go tam. Ma oczy koloru wody, wypalone światłem. Powiedział mi, że oślepił go Ghisteslwchlohlm podczas burzenia Lungold. Uwierzyłam mu na słowo. To wielki, łagodny i bardzo stary człowiek. W towarzystwie wnuków Danana szukał cię po całej górze między głazami i drzewami. Pewnego wieczoru Bere przyniósł do sali wykonaną przez siebie harfę i poprosił Yrtha, żeby na niej zagrał. Yrth pokręcił ze śmiechem głową i powiedział, że chociaż nazywano go niegdyś harfistą z Lungold, to przecież od siedmiu wieków nie miał harfy w rękach. Ale potem dał się namówić i zagrał... I, Morgonie, ja rozpoznałam tę grę. To były te same wydobywane niewprawną ręką, niepewne dźwięki, które nękały cię na Drodze Kupców i zwabiły w moc Ghisteslwchlohma.

Morgon ujął jej twarz w dłonie i zmusił, żeby na niego spojrzała. Chłód przeniknął go nagle do szpiku kości.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Sama nie wiem. Ale ilu może być na świecie ślepych harfistów, którzy nie potrafią grać?

Morgon wciągnął wiatr w płuca.

- On nie żyje.

- A więc rzuca ci wyzwanie zza grobu. Tamtego wieczoru Yrth zagrał w mojej obecności, żebym zaniósła ci zagadkę jego gry tam, gdzie się ukryłeś.

- Jesteś tego pewna?

- Nie. Ale wiem, że on chce cię odnaleźć. A jeśli to on był harfistą imieniem Deth, który z tobą podróżował, to potrafi układać zagadki tak zręcznie, tak umiejętnie, że zwiódł nawet Ghisteslwchlohma. I nawet ciebie - mistrza zagadek z Hed. Sądzę, że powinieneś lepiej mu się przyjrzeć. Bo wszystko wskazuje na to, że on prowadzi jakąś swoją cichą, śmiertelną grę, i kto wie, czy nie jest jedyną w królestwie osobą, która wie, co robi.

- Kim, na Hel, on jest? - Morgon dygotał na całym ciele. - Deth odebrał w Caithnard Czerń Mistrzostwa. Był mistrzem zagadek. Znał moje imię, zanim ja je poznałem. Podejrzywałem kiedyś, że jest czarodziejem z Lungold. Spytałem go nawet o to.

- I co ci odpowiedział?

- Że jest harfistą Najwyższego. Zapytałem więc, skąd wziął się w Isig na sto lat przed swymi narodzinami, kiedy to Yrth sporządzał moją harfę. Poprosił mnie, żebym mu zaufałam. Wbrew logice, wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew nadziei. A potem mnie zdradził. - Morgon mocniej przyciągnął do siebie Raederle, ale i tak wiatr wcisnął się między nich niczym nóż. - Zimno. Tak zimno jeszcze tu nie było.

- Co zamierzasz?

- Czego on może chcieć? Czyżby był Panem Ziemi, który samotnie dąży do zdobycia władzy? Chce mnie zachować przy życiu czy zabić? Chce zachować przy życiu czy zabić Najwyższego?

- Nie wiem. Jesteś zagadką. Rzuca ci wyzwanie. Jego pytaj.

Morgon milczał. Wspominał harfistę z Drogi Kupców, który bez słowa, samą tylko niewprawną grą na harfie zwabił go w nocy w pułapkę Ghisteslwchlohma.

- Za dobrze mnie zna - wyszeptał. - Podejrzewam, że obojętne, jaki cel mu przyświeca, dopnie swego. - Smagnął ich podmuch wiatru pachnącego śniegiem, kłującego boleśnie twarze i dłonie. Morgon zerwał się z ziemi bez tchu, oślepiiony, przepelniony nagle niewytłumaczalną tęsknotą za odrobiną nadziei. Kiedy przejrzał znowu na oczy, Raederle zmieniła już postać. Purpurowymi oczami patrzyła na niego wsta. Poglaskała ją; ciepły oddech ogrzał mu dłoń. Przytknęła czoło do jej czoła.

- Dobrze - powiedział - zagram w zagadki z Dethem. Którędy do Isig?

Prowadziła go tam dzień i noc rubieżami na południe, a potem górskimi przełęczami na wschód. O świcie drugiego dnia zobaczył zielony masyw Góry Isig wznoszący się za rzeką Ose. Do królewskiej siedziby dotarli o zmierzchu tego samego wietrznego i szarego,

jesiennego dnia. Wysokie szczyty były już przykryte czapami śniegu; wielkie sosny wokół Harte śpiewały w podmuchach północnego wiatru. Przed Kyrth wędrowcy powrócili z postaci vest do własnych i wspięli się krętą górską drogą do Harte. Brama była zawarta i strzeżona, ale górnicy, zbrojni w wielkie obusieczne miecze wykute w kuźniach Danana, poznali ich i wpuścili do środka.

Kiedy weszli do dworu, Danan, Vert i pół tuzina dzieci zerwało się od stołu, przy którym spożywali wieczerzę, by ich powitać. Danan odziany w futro uściskał serdecznie oboje przybyszów i zaraz posłał dzieci i służbę, by przygotowali im izbę. Widząc, jak są zdrożeni, zadał tylko jedno pytanie.

- Byłem na rubieżach - odparł Morgon. - Grałem tam na harfie. Raederle mnie znalazła. - Nie dostrzegł wtedy, jak dziwna jest jego odpowiedź. - Wcześniej - dodał - byłem drzewem nad Ose.

W oczach króla pojawił się uśmiech.

- A nie mówiłem? - mruknął Danan. - Pod tą postacią nikt cię nigdy nie znajdzie. - Pociągnął ich do schodów prowadzących na szczyt wschodniej wieży. - Tysiąc pytań ciśnię mi się na usta, ale jestem cierpliwym starym drzewem i wstrzymam się z nimi do rana. W tej wieży mieszka Yrth; będziecie przy nim bezpieczni.

Kiedy wspinali się po schodach, coś nieokreślonego nie dawało spokoju Morgonowi. Dopiero na samej górze uświadomił sobie co.

- Dananie - powiedział - nie pamiętam, żebyś wcześniej wystawiał strażę. Czyżby szukali mnie tu zmiennokształtni?

Król zacisnął pięści.

- Tak, byli tu - mruknął ponuro. - Straciłem jedną czwartą górników. Straciłbym ich więcej, gdyby nie było tu Yrtha. - Morgon zatrzymał się. Król wziął go za rękę i pociągnął dalej. - Już ich oplakaliśmy. Gdybym tylko wiedział, czym oni są, czego chcą... - Wyczuł reakcję Morgona. Spojrzał na niego uważnie. - Ty to wiesz.

Morgon nie odpowiedział. Danan nie naciskał, ale zmarszczki na jego twarzy wyraźnie się pogłębiły.

Zostawił ich w izbie, której ściany, podłoga i meble były obwieszane i wymoszczone futrami. W izbie panował chłód, ale Raederle rozpałała ogień na kominku, a wkrótce służby wniesli posiłek, wino, więcej drewna na opał i ciepłe, strojne odzienie. Po nich przyszedł Bere z kociołkiem parującej wody. Uśmiechnął się do Morgona, wieszając kociołek na haku nad paleniskiem. Oczywiście miał pełne pytań, które z trudem tłumił. Morgon zrzucił sfilcowane futra kozic i mocno znoszoną tunikę, po czym zmył z siebie brud, którego nie zwiały z jego ciała

przenikliwe wiatry. Czysty, syty, ubrany w miękkie futro i aksamit, usiadł przy ogniu i wrócił pamięcią do wypadków ostatnich miesięcy.

- Zostawiłem cię - powiedział do Raederle. - Rozumiem wszystko prócz tego. Odszedłem ze świata i zostawiłem ciebie...

- Byłeś zmęczony - wymruczała sennie. - Tak powiedziałeś. Może po prostu musiałeś sobie wszystko przemyśleć. - Wyciągnęła się obok niego na puszystych skórkach. Rozgrzana winem i ogniem prawie już zasypiała. - A może chciałeś zaszyć się w jakimś ustronnym miejscu i nauczyć gry na....

Umilkła i odpłynęła w sen, zostawiając go samemu sobie. Okrył ją kocem i siedział jakiś czas bez ruchu, obserwując grę światła i cienia na jej zmęczonej twarzy. Porywisty wicher wyl i nacierał z furją na wieżę niczym fale wzburzonego morza. Morgon słyszał w nim echo prześladowanej go od dawna melodii. Sięgnął odruchowo po harfę, ale przypomniał sobie zaraz, że nie może zagrać tu tej melodii, bo zburzyłyby kruchy spokój królewskiej siedziby.

Zagrał cicho na inną nutę - urywki ballad, które mieszały się z echem wiatru. Po chwili przerwał. Siedział, trącając bezgłośnie jedną i tę samą strunę, a w płomieniach to pojawiała się, to znikła jakaś twarz. W końcu podniósł się i nadstawił ucha. Zamek spał, tylko z murów dolatywały od czasu do czasu głosy czuwających strażników. Zostawił śpiącą Raederle, niezauważony przeszedł między wartownikami strzegącymi drzwi i wstąpił na schody. Zatrzymał się przed kotarą z futer zasłaniającą wejście do izby na szczycie wieży. Dołem sączyła się smuga światła. Rozchylił futra, wszedł w półmrok i zatrzymał się.

Stary czarodziej drzemał w fotelu przy kominku. Pokryte bliznami dłonie trzymał na kolanach poduszkami ku górze. Wydał się Morgonowi jakiś wyższy, szerszy w ramionach, choć nadal chudy pod okrywającą go ciemną szatą. Wyczuł chyba, że ktoś na niego patrzy, bo ocknął się i otworzył jasne, niewidzące oczy. Schylił się z westchnieniem, namacał polano i wsuwając rękę w falujące leniwie płomienie, ułożył je pieczołowicie w sercu paleniska. Ogień zabuzował, oświetlił twarz wykutą jakby z kamienia, zniszczoną przez czas niczym pieńek ściętego drzewa. Czarodziej dopiero teraz zdał sobie chyba w pełni sprawę, że nie jest sam. Znieruchomiał na moment. Morgon wyczuł ledwie zauważalne dotknięcie czyjejś sondy muskającej jego umysł. Czarodziej poruszył się znowu, zamrugął.

- Morgon? - Głos Yrtha był głęboki, dźwięczny, a przy tym przytłumiony, nabrzmiały czymś tajemnym, tak jakby wydobywał się z głębokiej studni. - Wejdz. Chyba że już wszedłeś.

- Nie chciałem ci przeszkadzać - powiedział cicho Morgon.

Yrth potrząsnął głową.

- Słyszałem nie tak dawno, jak grasz. Ale nie spodziewałem się ciebie przed świtem. Wiem od Danana, że Raederle znalazła cię na północnych rubieżach. Ktoś cię ścigał? To dlatego tam się zaszyleś?

- Nie. Po prostu zawędrowałem tam i zostałem, bo nie widziałem powodu, dla którego miałbym wracać. Potem przysłała Raederle i dała mi ten powód...

- Zadziwiający z ciebie człowiek - powiedział czarodziej, obracając głowę, tak jakby starał się określić kierunek, z którego płynie głos gościa. - Usiądź.

- A skąd wiesz, czy już nie siedzę? - spytał Morgon.

- Widzę przed tobą krzesło. Nie wyczuwasz umysłowego sprzężenia? Widzę twoimi oczami.

- Dopiero teraz poczułem...

- To dlatego, że nie sprzęgłem się z twoimi myślami, lecz ze zmysłem wzroku. Podróżując Drogą Kupców, korzystałem z oczu przygodnych ludzi. Tamtej nocy, kiedy napadli na was złodzieje koni, zorientowałem się, że jednym z nich jest zmiennokształtny, bo zobaczyłem jego oczami gwiazdki, które ukrywasz przed ludźmi. Chciałem go zabić, ale mi się wymknął.

- A tamtej nocy, kiedy szedłem za głosem harfy Detha? Tę iluzję również przejrzałeś?

Czarodziej nie odpowiadał. Spuścił głowę; zmarszczki na jego twarzy ułożyły się w taką maskę zawstydzenia i goryczy, że Morgon najchętniej cofnąłby to pytanie.

- Tak mi przykro, Morgonie. Nie mogę się równać z Ghisteslwhlohmem.

- Nie byłeś w stanie mi pomóc. - Morgon ścisnął poręcz krzesła. - Bo czyniąc to, naraziłbyś Raederle.

- Zrobiłem, co mogłem, wzmacniając twoją iluzję, kiedy zniknęliście, ale... to nie było wiele.

- Uratowałeś nam życie. - Morgonowi przypomniła się twarz harfisty, jego pusty wzrok. Oderwał dłonie od oparcia krzesła i zakrył nimi oczy.

Yrth poruszył się.

- Nie widzę - mruknął, a kiedy Morgon nie odpowiadał, podjął łagodnie: - Raederle opowiedziała mi własnymi słowami o wypadkach pod Górą Erlenstar. Nie wchodziłem w jej umysł. Czy zechciałbyś mi udostępnić swoje wspomnienia? Chyba że wolisz sam mi o tym opowiedzieć? Muszę wiedzieć, co się tam wydarzyło.

- Wyczytaj to z mojego umysłu.

- Nie jesteś na to teraz zbyt zmęczony? Morgon pokręcił głową.

- Nieważne.

Ogień przygasł, rozprysł się w jaskrawe strzępy wspomnień. Morgon przeżywał jeszcze raz samotny lot nad bezdrożami, upadek z nieba w głębie Góry Erlenstar. Wieżę zalała noc; czuł w gardle gorzki wódz z jeziora. Płomienie, których nie widział, szeptały niezrozumiałym językiem. W ich głosy wdarł się wiatr, wywiał je z jego umysłu. Wieża zadrżała, wprawiona w wibracje jego melodyjnymi podmuchami. Potem zaległa cisza, a Morgon zdrzemnął się w ciepłym blasku letniego słońca. Ocknął się. Był dziwną, dziką postacią odzianą w futra, pod które wdzierał się wichur. Wtapał się coraz to głębiej i głębiej w czyste, śmiercionośne głosy zimy.

Siedział przy ognisku i wsłuchiwał się w wiatr, który nie przekraczał granicy wytyczonej kamiennym kręgiem, nie dotykał ani jego, ani ognia. Poprawił się, zamrugał, potoczył po izbie półprzytomnym wzrokiem i zatrzymał go na twarzy czarodzieja. Jego myśli skupiały się ponownie w wieży. Przygarbił się. Był tak zmęczony, że najchętniej wtopiłby się w przygasający na kominku ogień. Czarodziej wstał i zaczął się przechadzać po izbie. Zatrzymał się przy skrzyni na ubrania.

- Co robiłeś na rubieżach?

- Grałem na harfie. Udało mi się wydobyć z niej tę niską nutę, która kruszy kamienie...

- Morgon słyszał swój własny głos jakby z oddali.

- Jak tam przetrwałeś?

- Nie wiem. Może na jakiś czas stałem się częścią wiatru... Bałem się wracać. Co ty byś zrobił z taką mocą?

- Korzystałbym z niej.

- Ja nie śmiem. Mam władzę nad prawem ziemi. Chcę jej. Chcę z niej korzystać. Ale nie wolno mi. Prawo ziemi to domena królów przypisana im przez Najwyższego. Zniszczyłbym całe prawo...

- Być może. Ale prawo ziemi to również największe w królestwie źródło mocy. Kto, jeśli nie ty, jest w stanie pomóc Najwyższemu?

- Nie zwracał się do mnie o pomoc. Czyż góra prosi o pomoc? Albo rzeka? One po prostu istnieją. Jeśli zrobię z tej mocy użytek, Najwyższy może mnie zniszczyć, ale...

- Morgonie, czy nie czerpiesz żadnej nadziei z tych gwiazdek, które dla ciebie wykonałem?

- Nie. - Morgon zamknął oczy, ale po chwili, z wysiłkiem, znowu je otworzył. - Nie znam języka kamienia - wyszeptał. - Dla Najwyższego po prostu istnieję. On nie widzi nic poza trzema gwiazdkami wschodzącymi z nieprzeliczonych stuleci mroku, podczas których

marne, pozbawione mocy istoty zwane ludźmi ledwie zaznaczyły swoją obecność na tym padole, były jednak na tyle aroganckie, że zakłóciły mu spokój.

- Darował im prawo ziemi.

- Kiedyś sam je posiadałem. Teraz jestem istotą, która utraciła sens życia. Nie tknę mocy innego ziemwładcy.

Czarodziej patrzył na niego niewidzącymi oczami.

- Masz urazę do Najwyższego?

- Jak można mieć urazę do kamienia?

- Panowie Ziemi przyjmowali wszelkie możliwe postaci. Skąd u ciebie pewność, że Najwyższy wcielał się we wszystko, tylko nie w postać i język ludzi?

- Dlaczego... - Morgon urwał i wpatrywał się w płomienie, dopóki te nie wypaliły z jego umysłu resztek snu, przywracając mu zdolność myślenia. - Dlaczego nakłaniasz mnie do spuszczenia z uwięzi mej mocy, by pustoszyła królestwo?

Yrth nie odpowiedział. Morgon przyglądał się jego wykutej jakby z kamienia, starożytnej, wyniosłej twarzy. Ogień znowu zalał mu myśli. Ujrzał nagle, po raz pierwszy, nie przemawiającą językiem kamienia płytę wiatru, w której upatrywał dotąd Najwyższego, lecz coś prześladowanego, bezbronnego, zagrożonego, coś, czego jedyną bronią jest milczenie. Zmartwiał. Powoli uświadamiał sobie ciężar ciszy, jaka narastała warstwa po warstwie między pytaniem, które chciał zadać, a odpowiedzią na nie.

Wstrzymał oddech, wsłuchał się w tę ciszę, która nie wiedzieć czemu burzyła spokój jego ducha jak wspomnienie czegoś, co niegdyś chołubił. Czarodziej nastawił dłonie pod światło, a potem zacisnął je w pięści, ukrywając blizny na poduszkach.

- Królestwo pustoszą rozmaite moce rozpetane przez szukających Najwyższego. Twoja nie byłaby z nich wszystkich najgorsza. Ciebie, mimo wszystko, pęta szczególny system ograniczeń. Najskuteczniejszym i najmniej zrozumiałym z nich jest chyba miłość. Mógłbyś poprosić ziemwładców o zgodę. Ufają ci. Byli zrozpaczeni, kiedy z powierzchni królestwa zniknęliście i ty, i Najwyższy.

Morgon zwiesił głowę.

- Nie pomyślałem o nich. - Nie zauważył, jak Yrth wstaje. Uświadomił to sobie, kiedy szata czarodzieja otarła się o poręcz jego krzesła. Yrth położył mu dłoń na ramieniu. Uczynił to łagodnie, tak jakby dotykał dzikiego zwierzęcia, które pokonując strach, zbliżyło się doń z wahaniem, ośmielone jego nieruchomością.

Dotyk ten sprawił, że z Morgona coś uszło: niezdecydowanie, gniew, sprzeciw, nawet energia i wola walki z całą subtelną argumentacją czarodzieja. Pozostała tylko cisza i



beznadziejna, niepojęta tęsknota.

- Odnajdę Najwyższego - powiedział. - Nic go nie zniszczy - dorzucił w formie czy to ostrzeżenia, czy obietnicy. - Przysięgam. Nic.

Spał potem przez dwa dni, budząc się tylko raz na posiłek, i drugi, by ujrzeć Raederle, która cierpliwie przy nim czuwała. Ścisnął ją za rękę, uśmiechnął się, przekręcił na drugi bok i znowu zapadł w sen. Na dobre, już wypoczęty, obudził się dopiero wieczorem. Był w izbie sam. Dobiegający z dołu gwar ludzkich głosów i szczęk naczyń świadczyły, że domownicy, a wśród nich zapewne i Raederle, zasiedli do wieczerzy. Nasłuchując, obmył się i popił wina. Pod odgłosami domu zalegała ogromna, mroczna, pradawna cisza wypełniająca sztolnie i labirynty korytarzy pod Górą Isig.

Połączył się z tą ciszą i ta wydrążyła w jego umyśle kanały. Potem, pod wpływem impulsu opuścił izbę i zszedł na dół. Kiedy przecinał salę jadalną, tylko Raederle i Bere przerwali posiłek i odprowadzili go wzrokiem. Pozostali stołownicy jakby go nie zauważyli. Poruszając się jak we śnie, przemierzał puste górne chodniki. U wylotu ciemnego tunelu zdjął ze ściany płonącą pochodnię; w jej blasku ściany roziskrzyły się surowymi szlachetnymi kamieniami. Posuwał się niepewnie labiryntem korytarzy i przejść, brzegami płytkich strumieni i głębokich rozpadlin, przecinał groty błyszczące od nietkniętych jeszcze górniczym kilofem żył złota. Zapuszczał się coraz głębiej w bezmiar ciemności i skały, aż w końcu odniósł wrażenie, że ich nieruchomość i wiek wsączają mu się w kości. I nagle wyczuł coś starszego od samej wielkiej góry. Pod stopami zachręściły kamyki. Blask pochodni padł na ciemnozieloną płytę drzwi, które otworzyły się kiedyś na dźwięk jego imienia. Tam zatrzymał się z niedowierzaniem.

Podłoga zasłana była odłamkami pokruszonych skał. Drzwi do komory umarłych Panów Ziemi były roztrzaskane; ich górna połowa runęła do środka. Sam grobowiec zasypany został wielkimi, skrzącymi się od klejnotów bryłami zarwanego sklepienia.

Utorował sobie jakoś drogę do drzwi, ale wejść do środka się nie dało. Oparł o nie rękę i przyłożył czoło do ich powierzchni. Jego myśli wpłynęły w kamień i przesączając się przez marmur, ametyst i złoto, dotknęły czegoś przypominającego resztki na wpół zapomnianego snu. Sondował dalej; nie natrafił na żadne imiona, wyczuwał tylko coś, co niegdyś żyło.

Stał tak długi czas bez ruchu, oparty o drzwi. Wiedział już, po co zszedł w trzewia góry, i krew waliła mu w skroniach jak wtedy, kiedy po raz pierwszy coś sprowadziło go na ten próg przeznaczenia. Jak nigdy wcześniej, uświadamiał sobie przytłaczający ogrom piętrzącej się nad nim góry i obecność mieszkającego w niej króla o starożytnym umyśle

ukształtowanym w jej labirynty, podtrzymującym cały jej spokój, całą jej potęgę. Jego myśli, powoli, ostrożnie wsącżyły się znowu w drzwi i dotknęły jądra kamienia, wyczuły umysł Danana zaklęty w tym maleńkim fragmencie góry, nierozzerwalnie z nim związany. Jego mózg stał się kamieniem, bogatym, zniszczonym, ciężkim kamieniem. Wciągnął w siebie całą jego wiedzę, całą jego wielką siłę, jego wewnętrzne barwy, jego najwrażliwszy punkt, gdzie można go roztrzaskać samą myślą. Ta wiedza wypełniła go, stała się jego częścią. Badając dalej kamień, natknął się ponownie na milczącą świadomość, prawo, które wiązało króla z kamieniem, ziemwładcę z każdym regionem jego królestwa. Otoczył tę świadomość, złamał ją i kamień przyjął jego imię.

Odczekał, aż własna świadomość tej więzi spłynie w ciemny zakamarek jego umysłu. Potem, zlany potem pomimo panującego tu chłodu, wyprostował się powoli. Pochodnia zgasła; dotknął jej i ponownie rozpałił. Odwracając się, ujrzał Danana. Stał przed nim potężny i nieruchomy niczym Isig, twarz miał jak wykutą z kamienia.

Morgon mimowolnie sprężył się w sobie. Przemknęło mu przez myśl, że nie zdąży wyjaśnić tego, co uczynił z kamieniem, że wcześniej gniew Danana obudzi ze snu otaczające ich skały i te pogrzebią go na wieczność obok grobowca dzieci. Ale wielka pięść króla rozprostowała się.

- Morgon? - wykrztusił ze zdumieniem. - A więc to ty mnie tu ściągnąłeś. Co robisz? - Kiedy Morgon nie odpowiadał, położył mu dłoń na ramieniu i potrząsnął lekko. - Jesteś przestraszony. Cóż takiego robiłeś, że mój widok tak cię sparaliżował?

Morgon drgnął. Czuł się wyczerpany, ociężały jak kamień.

- Zgłębiam twoje prawo ziemi. - Oparł się plecami o zimną, wilgotną ścianę i spojrzał Dananowi w oczy.

- Skąd masz taką moc? Od Ghisteslwchlohma?

- Nie - wyrzucił z siebie Morgon. - Wolałbym umrzeć, niż zrobić ci coś takiego. Nigdy nie wejdę w twój umysł...

- Już w nim jesteś. Isig to mój mózg, moje serce...

- Nie złamię więcej twoich więzi. Przysięgam. Po prostu ustanowię swoje własne.

- Ale dlaczego? Na co ci taka wiedza o drzewach i skałach?

- Żeby się wzmocnić. Dananie, zmiennokształtni są Panami Ziemi. Nie pokonam ich, jeśli...

Palce króla zacisnęły się na jego nadgarstku jak korzenie drzewa.

- Nie - powiedział, jak kiedyś Ghisteslwchloh, kiedy to usłyszał. - To niemożliwe, Morgonie.

- Dananie - szepnął Morgon. - Ja słyszałem ich głosy. Języki, którymi rozmawiali. Widziałem moc, która w nich drzemie. To jest możliwe.

Danan puścił go, cofnął rękę i usiadł ciężko na stosie kamieni. Morgon patrzył na niego z góry i zastanawiał się, ile też może mieć lat. Król wykonał nieokreślony gest dłońmi zniszczonymi od stuleci pracy wśród kamieni.

- Czego oni chcą?

- Najwyższego.

Danan spojrział na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Zniszczą nas. I ciebie. Czego od ciebie chcą?

- Jestem ich łącznikiem z Najwyższym. Nie wiem, jak ani dlaczego jestem z nim związany... wiem tylko, że z jego powodu wywabiony zostałem ze swojej wyspy, nękanie mnie, obdarzono niechcianą mocą, a teraz sam o tę moc zabiegam. Podejrzewam, że moc Panów Ziemi jest przez coś ograniczana... być może przez Najwyższego, i dlatego z takim zapamiętaniem go szukają. Kiedy go odnajdą, mogą rozpętać przeciwko niemu takie moce, że przy okazji zniszczą nas wszystkich. Być może on na zawsze zachowa już milczenie; trudno mi ryzykować życie i całe wasze zaufanie, dla kogoś, kto się nie odzywa. Ale walcząc w jego obronie, będę przynajmniej walczył za was. - Morgon urwał, wpatrzony w rozbłyśki światła w usianych klejnotami ścianach. - Nie mogę cię prosić, żebyś mi zaufał - dodał cicho po chwili - skoro sam sobie nie ufam. Wiem tylko, dokąd prowadzą mnie logika i głód.

Z mroku dobiegło ciężkie westchnienie króla.

- Koniec jakiejś epoki... To mi powiedziałeś podczas pierwszej tutaj wizyty. Ymris jest bliskie zniszczenia. Kwestią czasu chyba pozostaje, kiedy wojna rozleje się na An, na Herun i dalej na północ, na całe królestwo. Ja mam armię górników, morgola swoje strażniczki, król-wilk... swoje wilki. Ale co to znaczy wobec armii Panów Ziemi odzyskujących swoją moc? I jak jeden książę Hed, choćby dysponujący wiedzą o prawie ziemi, ma stawić jej czoło?

- Znajdę sposób. - Jak?

- Znajdę, Dananie. Albo zginę, a jestem zbyt uparty, by umierać. - Morgon usiadł obok króla i rozejrzał się po rumowisku. - Co tu się stało? Chciałem wejść w umysły martwych dzieci, wejrzeć w ich wspomnienia, ale nic z nich nie zostało.

Danan pokręcił głową.

- Wyczułem to pod koniec lata: zgiełk gdzieś w centrum mego świata. Było to na krótko przed tym, jak przyszli cię tu szukać Panowie Ziemi. Nie wiem, jak ani przez kogo zniszczone zostało to miejsce...

- Ja wiem - szepnął Morgon. - Przez wiatr. Wielki wiatr, który roztrzaskuje kamienie...  
To Najwyższy zniszczył ten grobowiec.

- Ale dlaczego? To było ich jedyne ostatnie miejsce spoczynku.

- Nie wiem. Chyba że... chyba że znalazł dla nich inne miejsce, obawiając się, że tutaj nie zazną spokoju. Nie wiem. Może uda mi się go jakoś znaleźć, przywołać do postaci, którą potrafię zrozumieć, a wtedy zapytam, czemu to zrobił.

- Jeśli kiedykolwiek ci się to uda - tylko to - spłacisz ziemłodcom dług, jaki zaciągnęłaś, czerpiąc moc z tego królestwa. Przynajmniej będziemy wiedzieli, za co umieramy. - Danan dźwignął się z kamieni i położył dłoń na ramieniu Morgona. - Rozumiem, do czego zmierzasz. Potrzebna ci moc Panów Ziemi, żeby z Panami Ziemi walczyć. Jeśli chcesz wziąć na swoje barki górę, oddam ci Isig. Najwyższy daje nam milczenie; ty darowujesz nam nadzieję.

Z tymi słowami król oddalił się, zostawiając go samego. Morgon upuścił pochodnię na ziemię i patrzył, jak się dopala. Kiedy zgasła, wstał. Nie walczył ze swoją ślepotą, lecz wdychał w siebie górską czerń, dopóki ta nie nasączyła mu umysłu i nie wydrążyła wszystkich kości. Wtedy obmacał myślami skały wokół siebie, wślizgnął się nimi w korytarze, w kanały powietrza, w leniwe strumyki czarnej wody. Wykuwał górę z jej nie kończącej się nocy, dopasowywał ją do kształtu swoich myśli. Jego umysł wciskał się w litą skałę, rozchodził po kamieniach, po cichych pieczarach, głębokich jeziorach, dotarł do gleby przykrywanej skalną opoką i do wrastających w nią korzeni drzew. Jego świadomość wypełniła podstawę góry i płynęła wzwyż. Dotykał po drodze umysłów ślepych ryb, dziwnych insektów zamieszkujących ten nie podlegający zmianom świat. Stał się uwiecznionym w skale topazem, który wyrąbywał ze ściany jakiś górnik; zawisł głową w dół, wpatrując się w nicłość zalegającą w mózgu nietoperza. Zatracił swoją własną postać; jego kości zakrzywiały się wokół prastarej ciszy, pięły bez ustanku ku górze, ciężkie od metali i klejnotów. Nie mógł znaleźć swojego serca. Kiedy próbował je odszukać w skalnych masach, wyczuł tam inne imię, inne serce.

Nie zakłócił spokoju tego imienia wtopionego w każdy fragment góry. Powoli, z upływem godzin, których nie liczył, dotykał każdego poziomu góry, posuwając się wciąż wzwyż górniczymi sztolniami, granitem, pieczarami połyskującymi własnym pięknem niczym tajemne myśli Danana. Godziny rozciągnęły się w dni, których również nie liczył. Jego umysł, zakorzeniony w podstawie Isig, dopasowując się do jej wszystkich uskoków i kanałów, przebił się wreszcie do samego szczytu pogrzebanego pod pierwszym tej zimy śniegiem.

Uginał się pod ciężarem góry. Jego świadomość rozpląwała się na nią całą. Głęboko, w jakimś maleńkim zakamarku ciemności, na podłodze leżało jak kawałek skały jego własne ciało. Patrzył na nie z góry i nie wiedział, jak wtłoczyć w nie z powrotem bezmiar swych myśli. W końcu zamknęło się w nim coś, jakby zmęczone wewnętrzne oko, i jego umysł wtopił się w ciemność.

Ocknął się znowu, kiedy z mroku wysunęły się czyjeś ręce i przekręciły go na plecy.

- Tak - powiedział, nie otwierając jeszcze oczu. - Poznałem prawo ziemi Isig. Jednym zwrotem myśli mógłbym zatrzymać dla siebie ziemwładztwo. Czy o to teraz mnie poprosisz?

- Morgonie.

Otworzył oczy. Myślał zrazu, że to świt zagłada do wnętrza góry, bo ściany wokół niego i zmęczona, ślepa twarz Yrtha zdawały się błyszczeć w ciemnościach.

- Widzę - wyszeptał.

- Połknąłeś górę. Dasz radę wstać? - Wielkie dłonie, nie czekając na odpowiedź, podźwignęły go z ziemi. - Spróbuj mi trochę zaufać. Wszystkiego innego już próbowałeś. Zrób jeden krok.

Morgon chciał coś powiedzieć, ale czarodziej przesłał do jego umysłu wizję małej, oświetlanej blaskiem ognia izdebki na wieży. Wszedł do niej i ujrzał wstającą Raederle, która ciągnąc za sobą ognisty ślad, ruszyła mu na spotkanie. Wyciągnął do niej ręce; szła ku niemu bez końca, a kiedy wreszcie ją dotknął, rozpląnęła się w ogień.

Obudził się i usłyszał, jak dziewczyna gra cicho na flecie, który dostała od jednego z rzemieślników. Kiedy na nią spojrział, przerwała i uśmiechnęła się, ale twarz miała zmęczoną i bladą. Usiadł i zaczekał, aż góra przesunie się w jego głowie na swoje miejsce. Potem pocałował Raederle.

- Zmęczyło cię pewnie to czekanie na moje przebudzenie.

- Chętnie z tobą trochę dla odmiany porozmawiam - odparła przekornie. - Bo albo śpisz, albo znikasz. Yrth siedział tu przez prawie cały dzień. Czytałam mu stare księgi zaklęć.

- To miło z twojej strony.

- Morgonie, on sam mnie o to prosił. Tak bardzo chciałam go o wszystko wypytać, ale nie mogłam. Wszystkie pytania nie wiedzieć czemu wyleciały mi z głowy... Dopiero kiedy wyszedł, znowu miałam ich bez liku. Chyba zacznę się uczyć czarów. W tych księgach jest tyle dziwnych, przydatnych zaklęć. Czy wiesz, co robisz? Poza tym, że omal nie doprowadziłeś się do śmierci z wycieńczenia?

- Robię, co mi kazałaś. Rozwiązuję zagadki. - Morgon wstał. Był wściekle głodny, ale w izbie znalazł tylko wino. Wychylił duszkiem pełną czarokę, a tymczasem Raederle wyjrzała

na korytarz i zamieniła kilka słów ze stojącym tam na straży górnikiem. Morgon nalał sobie jeszcze jedną czarkę wina i powiedział do dziewczyny, kiedy wróciła: - Mówiłem ci już kiedyś, że zrobię wszystko, co on mi każe. Zawsze tak było.

- Patrzyła na niego w milczeniu. - Sam nie wiem - dodał. - Może już przegrałem. Udaję się teraz do Osterlandu i poproszę o to samo Hara. O udostępnienie mi wiedzy o jego prawie ziemi. A potem do Herun, jeśli będę jeszcze żył. A potem do Ymris...

- W Ymris roi się od Panów Ziemi.

- Do tego czasu zacznę już myśleć jak Pan Ziemi. I może do tego czasu Najwyższy przerwie wreszcie milczenie i albo ukarze mnie za przywłaszczanie sobie jego mocy, albo wyjaśni, jaka, na Hel, jest moja rola w tym wszystkim. - Dopił drugą czarkę wina i podjął: - Tylko zasadom sztuki rozwiązywania zagadek mogę jeszcze ufać. Mądry człowiek zna swoje imię. W moim imieniu jest moc. Sięgam więc po nią. Czy to coś złego? Przeraza mnie ta moc, ale mimo to sięgam po nią...

- Jeśli okaże się, że to coś złego, pierwsza ci powiem - odparła spokojnie, ale wyczuł, że nie mówi tego z całym przekonaniem.

Tego wieczoru, kiedy wszyscy położyli się już spać, Morgon odbył w królewskiej sali rozmowę z Dananem i Yrthem. Siedzieli we trójkę przy kominku; Morgon obserwował spod oka stare, zniszczone twarze króla i czarodzieja, oświetlane przez ogień, i wyczuwał w obu miłość do wielkiej góry. Na prośbę Yrtha ukształtował harfę. Czarodziej przebiegał palcami po strunach, wsłuchując się w ich tony. Ale nie zagrał.

- Wkrótce ruszam do Osterlandu - powiedział Morgon do Danana - żeby poprosić Hara o to samo, o co prosiłem ciebie.

Danan spojrział na Yrtha.

- Idziesz z nim?

Czarodziej kiwnął głową. Spojrzenie jego jasnych oczu przesunęło się jakby przypadkiem po twarzy Morgona.

- Jak zamierzasz się tam dostać? - zapytał.

- Myślę, że polecimy. Potrafisz przyjmować postać kruka.

- Trzy kruki nad martwymi polami Osterlandu... - Yrth szarpnął lekko strunę. - Nun jest teraz na dworze króla-wilka w Yrye. Przybyła tam z wieściami, kiedy spałeś. Była w Trzech Prowincjach, pomagała szukać cię Taliesowi. Mathom z An formuje wielką armię z żywych i umarłych, by ruszyć z odsieczą siłom Ymris. Mówi, że nie zamierza czekać z założonymi rękami na to co nieuchronne.

Danan wyprostował się.

- Ma rację. - Pochylił się w przód i splótł wielkie dłonie. - Też myślę o uzbrojeniu swoich górników w miecze, topory, kilofy - w co się tylko da - i poprowadzeniu ich na południe. W Kyrth i Kraal stoją już statki załadowane bronią i pancerzami dla Ymris. Znalazłoby się jeszcze kilka do przetransportowania armii.

- Ty... - zaczął Morgon i urwał. - Przecież ty nie możesz opuścić Isig.

- Nigdy dotąd tego nie robiłem - przyznał król. - Ale nie pozwolę ci stanąć do bitwy samemu. Zresztą, jeśli padnie Ymris, to i Isig w końcu to czeka. Ymris to twierdza królestwa.

- Ależ, Dananie, nie jesteś wojownikiem.

- Ani ty - uciął Danan.

- I zamierzasz walczyć z Panami Ziemi kilofami?

- Mamy w tym pewne doświadczenie. Wykorzystamy je w Ymris. Wygląda na to, że tobie pozostaje tylko jedno do zrobienia. Odnaleźć Najwyższego, zanim oni go odnajdą.

- Cały czas próbuję. Naruszyłem każde zakłęcie związane z prawem ziemi Isig, a on nie zareagował. Zupełnie jakby tego właśnie ode mnie oczekiwał. - Własne słowa rozbrzmiały mu w głowie dziwnym echem. Ale Yrth przerwał mu tok myśli, sięgając niezdarnie po czarękę z winem. Morgon podał mu ją w obawie, że czarodziej rozleje trunek. - Nie korzystasz ze swoich oczu - powiedział.

- Nie. Czasami wyraźniej widzę w ciemnościach. Mój umysł kształtuje świat, który mnie otacza, ale ocena niewielkich odległości sprawia mi trudności... - Oddał ozdobioną gwiazdkami harfę Morgonowi. - Tyle lat już upłynęło, a ja nadal pamiętam, na jaką nutę szumi górski potok, trzaska ogień, krzyczy ptak...

- Chętnie posłuchałbym twojej gry - powiedział Morgon.

Czarodziej pokręcił głową.

- Ale nie posłuchasz. Gram teraz bardzo kiepsko, Danan świadkiem. - Zwrócił się do Danana: - Jeśli naprawdę chcesz opuścić Isig, musisz to zrobić niebawem. Przyjdzie ci walczyć u progu zimy, i chyba wtedy najbardziej się tam przydasz. Ymriscy wojownicy nie są zwyczajni bić się w śniegu, za to Panom Ziemi on w ogóle nie przeszkadza. Pogoda będzie teraz ich największym sprzymierzeńcem.

- Cóż - odezwał się po chwili milczenia Danan - albo będę walczył z nimi zimą w Ymris, albo sami tu do mnie przyjdą. Jutro zaczynam zbierać ludzi i szykować statki do drogi. Zostawię tu Asha. Nie będzie zachwycony, ale jest moim ziemdziedzicem i nierozsądnie byłoby narażać życie nas obu w Ymris.

- Będzie chciał popłynąć tam zamiast ciebie - zauważył Yrth.

- Wiem. - Danan powiedział to spokojnie, ale Morgon wyczuł w nim siłę, niezłomną



wolę kamienia, który po raz pierwszy w ciągu swojego istnienia zdecydował się ruszyć z miejsca. - Zostanie. Jestem stary i jeśli zginę... Wielkie, zahartowane drzewa czynią najwięcej szkody, kiedy padają.

Morgon zacisnął dłonie na poręczach krzesła.

- Dananie - odezwał się z prośbą w głosie - zostań. Nie ma potrzeby, byś ryzykował życie. W naszych umysłach jesteś zakorzeniony w zaraniu królestwa. Jeśli zginiesz, umrze w nas wszystkich jakaś część nadziei.

- Jest taka potrzeba. Walczę o wszystko co dla mnie cenne. O Isig. O wszystkich, którzy tu żyją i są związani z tą górą na dobre i złe. O ciebie.

- No dobrze - szepnął Morgon. - Dobrze. A ja znajdę Najwyższego; jeśli znajdzie taka potrzeba, będę wrywał po kawałku moc z jego umysłu, dopóki nie wypełnie ze swojej kryjówki, żeby mnie powstrzymać.

Tej nocy, po powrocie z królewskiej sali, rozmawiał długo z Raederle. Leżeli oboje na miękkich futrach przy kominku. Ona słuchała, on mówił jej, co zamierza, opowiadał o wojennych planach Danana, dzielił się wieściami o jej ojcu, które przyniosła do Isig Nun.

- Ciekawam - powiedziała w końcu, bawiąc się włosiem koziego futra - czy od awantury, jaka zapewne wybuchła, kiedy ojciec ogłosił swoją decyzję, zawalił się strop dworu w Anuin.

- Nie podjąłby tej decyzji, gdyby uważał, że wojny da się uniknąć.

- Masz rację. Już od dawna się jej spodziewał, widział swoimi kruczymi oczami, jak nadciąga... - Raederle westchnęła, skubiąc wełnę. - Wyobrażam sobie, jak Rood z Duakiem będą mu suszyć głowę przez całą drogę do Ymris. - Zamilkła i zapatrzyła się w ogień. Morgon dostrzegł na jej twarzy tęsknotę. Dotknął jej policzka.

- Raederle, a może chcesz ich odwiedzić? Doleciałabyś do domu w kilka dni, a potem spotkalibyśmy się w jakimś umówionym miejscu... powiedzmy w Herun.

- Nie.

- Ciągnąłem cię ze sobą w skwarze i kurzu Drogą Kupców; molestowałem cię dopóty, dopóki nie zmieniłaś postaci; z mojej winy wpadłaś w ręce Ghisteslwchlohma; na koniec zostawiłem cię na pastwę Panów Ziemi, a sam uciekłem...

- Morgonie.

- Potem, korzystając ze swojej własnej mocy, przybyłaś za mną przez bezdroża aż pod Górę Erlenstar, a ja znowu cię zostawiłem i odszedłem bez słowa na północne rubieże. Odnalazłaś mnie tam i zaprowadziłaś do przyjaznego domu, a ja prawie się do ciebie nie odezwałem. Jak, na Hel, możesz po tym wszystkim trwać przy mnie?

Uśmiechnęła się.

- Sama nie wiem. Czasami też się nad tym zastanawiam. Potem dotykasz mojego policzka swoją poblížnioną dłonią i odczytujesz moje myśli. Twoje oczy mnie znają. To dlatego idę wciąż za tobą, czy to bosą, czy dygocząc z zimna, przez całe królestwo, przeklinając słońce albo wiatr, albo siebie samą, bo rozsądku pozbawia mnie miłość do człowieka nie posiadającego nawet łóżka, do którego mogłabym wpełznąć nocą. A czasami przeklinam ciebie, bo wymawiasz moje imię w sposób, w jaki nie potrafi tego uczynić żaden inny mężczyzna w królestwie, a ja chcę je słyszeć z twoich ust aż do śmierci. Jak więc mogę cię zostawić?

Patrzył długo w jej roześmiane bursztynowe oczy. Objęła go i pocałowała, a potem wsunęła dłoń między ich usta.

- Chcę porozmawiać - powiedziała, kiedy zamruczał w proteście.

Usiadł, odetchnął głęboko i wrzucił do ognia nowe polano.

- No to rozmawiajmy.

- Co zrobisz, Morgonie, jeśli ten czarodziej o dłoniach harfisty znowu cię zdradzi? Jeśli znajdziesz mu Najwyższego i poniewczasie stwierdzisz, że jest bardziej przewrotny od Ghisteslwchlohma?

- Ja już wiem, że on taki jest. - Morgon objął rękoma kolana. - Wciąż o tym myślę. Widziałas, jakiej mocy użył w Lungold?

- Widziałam. Chronił walczących kupców.

- Czyli nie jest Panem Ziemi; ich moc jest spętana.

- Jest czarodziejem.

- Albo czymś, na co nie mamy nazwy... tego właśnie się obawiam. - Morgon poprawił się na futrach. - Nie próbował nawet odwieść Danana od poprowadzenia górników do Ymris. Przecież oni nie są wojownikami. Wytną ich tam w pień. A Dananowi nic nie przyjdzie z tego, że tam polegnie. Powiedział mi kiedyś, że kiedy wybije jego godzina, chciałby stać się drzewem pod rozgwieżdżonym nocą i słonecznym za dnia niebem. Z drugiej strony, znają się z Yrthem od wieków. Może Yrth wie, że nie ma sensu perswadować czegokolwiek kamieniowi.

- O ile to naprawdę Yrth. Jesteś tego pewien?

- Tak. Zadbał już o to, żebym nie miał wątpliwości. Zagrał na mojej harfie.

Gładziła w milczeniu jego plecy.

- W takim razie - powiedziała cicho - może mu zaufaj.

- Próbowałem - szepnął. Dłoń Raederle znieruchomiła. Położył się znowu obok niej i

wysłuchał w pojękiwanie płonącej w kominku sosny. Zakrył przedramieniem oczy. - Nie dam rady. Nigdy nie pokonani go na słowa. Nigdy nie będę go mógł zabić. Mogę tylko czekać, aż sam się odsłoni, a wtedy może już być za późno...

Raederle coś powiedziała, ale on już nie słuchał, bo coś nieokreślonego zaczynało właśnie drażnić mroki jego umysłu. Z początku przypominało czyjaś sondę, której nie potrafił postawić tamy. Przyjrzał się więc temu bliżej i zaczął słyszeć dźwięk. Rozchylił usta, zaschło mu w gardle. Dźwięk narósł do ryku przypominającego ryk morza, które naciera na port, na wyciągnięte na brzeg łodzie, na chaty rybaków, a potem wypiętrza się, przelewa przez klify i zatapia pola, wyrywa z korzeniami drzewa, wypełnia noc posepnym grzotem, głusząc lament ludzi i zwierząt. Sam nie wiedział, kiedy zerwał się na nogi, w uszach rozbrzmiewało mu echo krzyku ziemwładcy Hed.

- Nie!

Słyszał paniczną wrzawę. Nic nie widział w wirującym, czarnym potopie. Ciało nabrzmiało mu prawem ziemi. Czuł straszną falę, która cofając się, porywała porozrywane wory z ziarnem, owce i świnie, baryłki piwa, obalone ściany stodół i chat, kawałki płotów, garnki, brony, piszczące w ciemnościach dzieci. Ktoś chwycił go za rękę i wykrzykiwał raz po raz jego imię. Ogarnęły go strach, rozpacz, bezsilny gniew, własny i Eliarda. Ktoś wniknął w jego umysł, ale on był teraz na Hed, tysiąc mil stąd. Czyjaś dłoń wymierzyła mu siarczysty policzek, wyrywając z transu.

Zamrugął i spojrzał w niewidzące oczy Yrtha. Pałace, wściekłe poczucie niesprawiedliwości odebrało mu mowę. Zwinął dłoń w pięść i wyprowadził cios; Yrth był twardszy, niż się spodziewał. Morgon odniósł wrażenie, że uderza w kamień albo w drzewo. Na twarzy czarodzieja odmalowało się zaskoczenie. Zafalował w powietrzu i zniknął. Pojawił się ponownie w chwilę później i przysiadł na brzegu kominka, uciskając dłonią krwawiący policzek.

Miny Raederle i dwóch strażników w drzwiach wyrażały to samo. Oni też zamarli. Morgon, dysząc spazmatycznie, uspokajał się powoli.

- Doszło do inwazji na Hed. Muszę tam być.

- Nie.

- Morze runęło na klify. Słyszałem... słyszałem ich krzyki, krzyk Eliarda. Jeśli nie żyje... przysięgam, jeśli nie żyje... gdybyś mnie nie spoliczkował, wiedziałbym! Byłem w jego umyśle. Tol... Tol już nie ma. Legło w gruzach. Wszyscy zginęli. - Spojrzał na Raederle.

- Wrócę najszybciej, jak będę mógł.

- Idę z tobą - wyszeptwała. - Nie.

- Tak.

- Morgonie - wtrącił Yrth. - Zginiesz.

- Tristan. - Morgon zacisnął pięści i z trudem przełknął ślinę. - Nie wiem, czy żyje, czy zginęła!

Zamknął oczy, wyrzucił umysł w ciemną, deszczową noc nad niezmiernymi lasami, najdalej jak mógł. Zbliżył się do skraju świadomości. Ale wizja, która uformowała się w jego umyśle, ściągnęła go z powrotem. Otworzył oczy i potoczył wzrokiem po skąpanych w blasku ognia ścianach wieży.

- To pułapka - powiedział Yrth. Głos miał przepełniony bólem, ale spokojny. Morgon nie odpowiedział. Wydostał z umysłu obraz sokoła, ale postać ta szybko, jeszcze zanim zaczęła się zmieniać, przeszła w jasne, płonące oczy, które czytały w jego myślach. Te oczy wciągnęły go z powrotem w siebie.

- Ja się tam udam, Morgonie. Spodziewają się ciebie; mnie nie znają. Potrafię szybko podróżować; niedługo wrócę... - Yrth wstał gwałtownie, kiedy Morgon wypełnił swój umysł wizją ognia i cieni, i zniknął w nich. Wychodził już z izby, kiedy oczy czarodzieja przeszły jego umysł i zburzyły skupienie.

Znowu ogarnął go gniew. Postąpił następny krok i wpadł na iluzje litej skały w drzwiach.

- Morgonie - powiedział czarodziej i Morgon odwrócił się na pięcie. Cisnął w umysł Yrtha krzyk, który powinien oderwać uwagę czarodzieja od iluzji, którą tworzył. Ale krzyk ten rozpląnął się w tym umyśle bez echa, jak po bezmiarze ciemności.

Morgon znieruchomiał z dłońmi przyłożonymi na płask do iluzji kamiennej ściany. Na twarz występował mu z wolna pot, wywoływany strachem i wyczerpaniem. Te ciemności były jak ostrzeżenie. Ale musnął je znowu umysłem, objął, spróbował przeniknąć przez tę iluzję do jądra myśli czarodzieja. Zapadł się tylko jeszcze głębiej w mrok, z poczuciem, że jakaś wielka moc cofa się wciąż przed jego sondą. Podążał za nią, aż pobłądził...

Odnalazł z trudem drogę powrotną z ciemności i stwierdził, że siedzi bez ruchu obok kominka. Raederle trzymała go za bezwładną rękę. Przed nimi stał Yrth. Twarz miał poszarzałą ze zmęczenia, oczy nabiegłe krwią. Na jego butach i kraju długiej szaty widniały zacieki zaschniętego błota i skryształizowanej soli. Rozcięcie na policzku zasklepiło się.

Morgon drgnął. Stojący obok Danan schylił się i położył mu dłoń na ramieniu.

- Morgonie - odezwał się cicho. - Yrth wrócił właśnie z Hed. Wkrótce południe. Nie było go dwie noce i jeden dzień.

- Co ty mi... - Morgon zerwał się na nogi. Danan przytrzymał go, dopóki nie ochłonął.

- Jak mi to zrobiłeś?

- Wybacz, Morgonie. - W napiętym, zmęczonym głosie czarodzieja zdawały się pobrzmiwać nutki jakiegoś innego głosu. - Na Hed czekali na ciebie Panowie Ziemi. Gdybyś się tam pojawił, zginąłbyś, a walka w twojej obronie pochłonęłaby jeszcze więcej ludzkich istnień. Nie mogli natrafić na twój ślad, postanowili więc wywabić cię z kryjóWKi.

- A Eliard...?

- Jest bezpieczny. Znalazłem go w ruinach Akren. Fala zniszczyła Tol, Akren, większość gospodarstw wzdłuż zachodniego wybrzeża. Rozmawiałem z kmieciami; widzieli jakąś bitwę z udziałem dziwnych, zbrojnych ludzi, którzy, jak twierdzili, nie byli z Hed. Rozmawiałem z jednym z upiorów; powiedział, że niewiele mogli zdziałać wobec wody. Powiedziałem Eliardowi, kim jestem, gdzie ty jesteś... był ogłuszony szybkością, z jaką to się stało. Powiedział, że wie, iż wyczułeś ten akt zniszczenia, ale rad jest, że miałeś na tyle rozsądku, by się tam nie pokazywać.

Morgon wciągnął spazmatycznie powietrze w płuca.

- A Tristan?

- Eliard przypuszcza, że jest cała i zdrowa. Jakiś głupi kupiec powiedział jej, że zniknęłaś. Opuściła więc Hed, żeby cię szukać, ale w Caithnard rozpoznał ją i zatrzymał pewien żeglarz. Jest teraz w drodze do domu. - Morgon zakrył oczy przedramieniem. Cofnął się, kiedy czarodziej uniósł rękę i postąpił krok w jego stronę. - Morgonie. - Czarodziej z trudem dobywał z siebie głos. - To nie było skomplikowane zaklęcie. Skruszyłbyś je, gdybyś tylko jasno pomyślał.

- Myślałem jasno - wyszeptał Morgon. - Skruszenie go było ponad me siły. - Urwał. Czuł za sobą obecność zaintrygowanego, ale ufającego im obu Danana. Mroczna zagadka mocy czarodzieja znowu zdominowała jego myśli, rozlewała się na całe królestwo od Isig po Hed. Wyglądało na to, że nie ma przed nią ucieczki. Z braku innego wyjścia zaniósł się chrapliwym, bezsilnym szlochem. Czarodziej, garbiąc się, jakby na jego barkach spoczywało brzemień całego królestwa, milczał.

Opuścili Isig nazajutrz. Pod postacią trzech kruków wynurzyli się z kłębow dymu nad kuźniami Danana i przecięli Ose nad portem w Kyrth; wszystkie cumujące tam statki przygotowywano już do długiej żeglugi rzeką ku wzburzonemu jesiennemu morzu. Nad lasami Osterlandu przywitała kruki szaruga, w dole, mila za milą, ciągnęły się zmoknięte, osowiałe sosny. W oddali ponad pierścień gęstej mgły wyrzynał się szczyt Posepnej Góry. Kruki walczyły z porywistymi wschodnimi i północnymi wichrami; przemykały między prądami powietrza, to wznosząc się na nich, to opadając. Zatrzymywały się często na odpoczynek. Do zmierzchu pokonały zaledwie połowę drogi do Yrye.

Noc postanowiły spędzić w koronie starego rozłożystego drzewa, którego mokre grube konary wzdychały z rezygnacją. Kruki schroniły się we względnie osłoniętych przed deszczem niszach listowia. Dwa przycupnęły obok siebie na jednej gałęzi, trzeci - wielkie, czarne, nastroszone ptaszysko, które nie odezwało się od wylotu z Isig - znalazł sobie miejsce niżej.

O północy wiatr ustał. Szum deszczu opadł najpierw do szeptu, potem zupełnie ucichł. Chmury zaczęły się rozstępować, odsłaniając stopniowo gromady gwiazd na tle bezdennej czerni. Ta niespodziewana cisza uTORowała sobie drogę do kruczych snów Morgona. Otworzył oczy.

Raederle siedziała obok bez ruchu, przypominała kłębuszek miękkich czarnych piór. Kruk pod nimi też się nie poruszał. Morgona naszała pokusa powrotu do własnej postaci; pragnął wdychać aromaty nocy, chciał się przeistoczyć w księżycową poświatę. Po chwili rozpostarł skrzydła, sfrunął bezszelestnie na ziemię i zmienił postać.

Stał cicho pośród osterlandzkiej nocy. Umysł miał otwarty na wszystkie dźwięki, zapachy i kształty. Przyłożył dłoń do wilgotnego, chropawego pnia drzewa i wyczuł, że ono drzemie. Słyszał kroki jakiegoś nocnego łowcy stąpającego po rozmięklej ziemi. Czuł bogate, przemieszane ze sobą zapachy mokrej sosny, martwej kory i gliny pod stopami. ZapraGnał stać się częścią tej ziemi, pławić się w srebrzystej poświacie księżyca. W końcu uwolnił umysł i ten popłynął w niezgłębioną, nieruchomą noc.

Kształtował go to w korzenie drzew, to w zaryte w glebę głazy, to w mózgi zwierząt, które, nie zdając sobie z tego sprawy, stawały na drodze jego świadomości. We wszystkim wyczuwał starożytny uśpiony ogień prawa Hara. Natrafiał na szczątki umarłych pogrzebanych w ziemi, na kości i wspomnienia ludzi i zwierząt. W odróżnieniu od upiorów z

An, spoczywali spokojni w sercu tej dzikiej krainy. Nie potrafił oprzeć się pokusie, bez pośpiechu zaczął wplatać wątki swej świadomości i wiedzy w prawo Osterlandu.

Zaczynał stopniowo pojmuwać korzenie tego prawa ziemi. Śnieg i słońce miały tu wpływ na ogół życia. Dzikie wichry użyczały chyżości vestom; spontaniczność pór roku kształtowała wilcze mózgi; zimowa noc wsączała się w oczy kruków. Im więcej rozumiał, tym głębiej w to wszystko się wciągał: patrzył na księżyc oczami puchacza, skradał się z dzikim kotem przez paprocie, wplątywał swe myśli nawet w delikatne nici pajęczej sieci i w nie mające końca wici pnączy oplatających pień drzewa. Był tym tak zafascynowany, że dotknął umysłu vesty, nie pytając jej o zgodę. W chwilę później dotknął następnego. I nagle, gdzie nie sięgnął umysłem, natrafiał na vestę, zupełnie jakby materializowały się wokół niego jedna za drugą z blasku księżyca. Biegły, niczym nadciągający zewsząd bezgłośny biały wiatr. Zaciekawiony, zbadał, co je do tego skłania. Wyczuł, że spłoszyło je jakieś zagrożenie, ale nie potrafił dociec, co śmiało zakłócić spokój vestom na terytorium Hara. Głębiej zapuścił sondę. Potem wycofał się pośpiesznie z ich umysłów i wciągnął w płuca haust lodowatego powietrza, który go otrzeźwił.

Dniało już prawie. To, co wziął zrazu za księżycową poświatę, było w istocie srebrzystoszarą mgiełką przedświt. Wielkie stado obudzonych przez Hara vest było bardzo blisko, instynkt pchał je ku temu, co wyrwało króla ze snu i zakłóciło starożytne dzieło jego umysłu. Morgon stał nieruchomo, zastanawiając się, co robić; przyjąć postać kruka i umknąć na drzewo; przyjąć postać vesty; spróbować dosięgnąć umysłu Hara i mieć nadzieję, że król, pomimo że rozgniewany, raczy go wysłuchać. Zanim zdążył podjąć decyzję, obok stanął Yrth.

- Nie ruszaj się - powiedział i Morgon, wściekły na swoją uległość, zastosował się do tej rady.

Między drzewami widać już było nadbiegające ze wszystkich stron vesty. Pędziły z niewiarygodną szybkością ku jednemu określone mu punktowi lasu. Po chwili otaczały już zbitą masą drzewo, pod którym stali Morgon z Yrthem. Nie przejawiały agresji; po prostu stały nieruchomym kręgiem; patrząc na Morgona niesamowitymi purpurowymi oczami, w szarówce wstającego dnia połyskiwał las złocistych rogów.

Raederle obudziła się i zakrakała cicho ze zdumienia. Sięgnęła sondą do umysłu Morgona, ale dała spokój, kiedy nie zareagował. Słońce pobielilo ścianę chmur na wschodzie i zaraz za nimi Zniknęło. Znowu zaczął padać deszcz, z bezwietrznego nieba spadały pionowo ciężkie, nabrzmiące krople.

Po godzinie w stadzie nastąpiło jakieś poruszenie. Morgon, przemoczony do nitki i

przeklinający radę Yrtha, z ulgą je zaobserwował. Przez stado przemieszczała się para złotych rogów. Inne złote rogi rozstępowały się przed nią, a potem na powrót zlewały. Domyślał się, że to Har. Otarł deszcz z oczu mokrym rękawem i kichnął. Najbliższa niego vesta, dotąd spokojna, ryknęła jak wół i stanęła dęba. Złote kopyto przecięło ze świstem powietrze tuż przy twarzy Morgona. Zamarł. Vesta uspokoiła się i znowu zapatrzyła weń beznamiętnie.

Morgon nie spuszczał z niej wzroku. Serce waliło mu jak młotem. Pierwszy krąg rozstał się, by przepuścić wielką vestę. Zwierzę zmieniło postać. Przed Morgonem stał król-wilk, uśmiech w jego oczach nie wróżył niczego dobrego temu, kto zakłócił mu sen.

Uśmiech ten zniknął, kiedy Har poznał Morgona. Król odwrócił głowę i rzucił ostro jakieś słowo; vesty rozplynęły się w deszczu jak sen. Morgon, cały spięty, czekał w milczeniu na wyrok. Jednak ten nie zapadł. Król wyciągnął rękę i odgarnął mu z czoła mokre włosy, odsłaniając gwiazdki, tak jakby chciał rozwiązać ostatnie wątpliwości. Potem spojrzął na Yrtha.

- Powinieneś być go ostrzec - powiedział.

- Spałem - odparł Yrth. Har odchrząknął.

- Myślałem, że wy nigdy nie śpicie. - Podniósł wzrok na koronę drzewa i twarz mu złagodniała. Wyciągnął rękę. Kruk sfrunął mu na dłoń, a on posadził go sobie na ramieniu. Dopiero wtedy Morgon się poruszył. Har spojrzął na niego błyszczącymi, lodowobłękitnymi oczami koloru wiatru, który hula nad rubieżami.

- Kradniesz ogień z mego umysłu - powiedział. - Nie mogłeś z tym zaczekać do rana?

- Harze... - szepnął Morgon i urwał. Potrząsnął głową. Nie wiedział, od czego zacząć. W końcu skłonił się, postąpił krok i wziął króla w objęcia. - Jak możesz mi tak ufać? - zapytał cicho.

- Czasami bywam racjonalny - przyznał Har. Odsunął Morgona od siebie na długość wyciągniętych ramion i przyjrzał mu się uważnie. - Gdzie znalazła cię Raederle?

- Na rubieżach.

- Wyglądasz mi na człowieka, który nasłuchiwał się tych śmiertcionośnych wichrów... Chodźcie do Yrye. Vesty są szybsze od kruków, a tutaj, w głębi Osterlandu, nikt nie zwróci uwagi na kilka biegnących vest. - Położył dłoń na ramieniu czarodzieja. - Ty dosiędziesz mnie. Albo Morgona.

- O, nie! - wyrwało się Morgonowi. Har przeniósł na niego pytający wzrok.

- Pojadę pod postacią kruka - powiedział Yrth, uprzedzając pytanie Hara. Głos miał zmęczony. - Swego czasu biegałem dla samej przyjemności biegania, ale już mi to minęło... Chyba się starzeję.

Zmienił postać i podfrunął z ziemi na ramię Hara. Król-wilk ściągnął lekko brwi,



zdawał się nasłuchiwać czegoś skrytego pod milczeniem Morgona.

- Chodźmy z tego deszczu - powiedział w końcu. Biegli przez cały dzień aż do wieczora; trzy vesty kierujące się na północ, na spotkanie zimy, jedna z nich z krukiem między rogami. Dotarli do Yrye o zmroku. Kiedy zdyszani, robiąc bokami, zatrzymali się na podwórku, otworzyły się masywne dębowe, nabijane złotem drzwi dworu. W progu stanęła Aia z wilkami przy nodze, zza jej ramienia, kurząc swoją nieodłączną fajeczkę, wyglądała uśmiechnięta Nun.

Nun wyściskała Raederle pod postacią vesty, a potem jeszcze raz pod jej własną postacią. Aia przyjrzała się Morgonowi, a potem pocałowała go lekko w policzek. Hara i Yrtha poklepała po ramieniu.

- Rozesłałam wszystkich do domów - powiedziała łagodnym głosem. - Nun uprzedziła mnie, kto się tu zjawi.

- Wiedziała to ode mnie - powiedział Yrth, uprzedzając pytanie Hara. Król uśmiechnął się pod nosem.

Weszli do pustej izby. Na kominku płonął ogień. Stół ugiął się pod ciężarem mis z parującym mięsiwem i koszy z gorącym chlebem, brązowych garnców z grzanym, przyprawionym winem, waz z zupami i półmisków z warzywami. Wyglodniali, rzucili się z miejsca na te specjały. Zaspokoivszy pierwszy głód, zasiedli z winem przed kominkiem.

- A zatem - zwrócił się Har do Morgona, który, na wpół drzemiąc, siedział na ławie i obejmował ramieniem Raederle - przybyłeś do Osterlandu, żeby zgłębić moje prawo ziemi. Zawrę z tobą układ.

Te słowa rozbudziły Morgona. Patrzył przez chwilę na króla, a potem powiedział:

- Nie, żadne układy nie są tu potrzebne. Dam ci bez targów wszystko, czego zażadasz.

- Byłaby to uczciwa cena za prawo ziemi - przyznał cicho Har. - Możesz swobodnie wędrować po moim umyśle, jeśli pozwolisz mi wędrować po swoim. - Dostrzegł chyba coś w nieznacznym ruchu głowy Yrtha, bo zwracając się do czarodzieja, spytał: - Masz coś przeciwko?

- Tyle tylko, że czasu zostało niewiele - odparł Yrth.

Morgon spojrzał na niego pytająco.

- Radzisz mi pobrać tę wiedzę z samej ziemi? To by trwało całe tygodnie.

- Nie.

- To może radzisz mi w ogóle zrezygnować z jej pobierania?

Czarodziej westchnął. - Nie.

- Cóż więc mi radzisz? - Poczul, że Raederle, którą otaczał ramieniem, drgnęła na

dźwięk wyzywającej nuty w jego głosie. Har siedział nieruchomo na swoim wielkim rzeźbionym krześle; wilk leżący u jego stóp otworzył nagle ślepią i tytnął nimi na Morgona.

- Chcesz się kłócić z Yrthem pod moim dachem? - spytał ze zdumieniem Har.

Czarodziej pokręcił głową.

- To moja wina - wyjaśnił. - Istnieje pewien sposób na zablokowanie umysłu, o którym Morgon nie wie. Użyłem go przed kilkoma dniami, kiedy doszło do napaści na Hed, żeby zatrzymać Morgona w Isig. Wydawało mi się to lepsze, niż pozwolić mu wejść w pułapkę.

Morgon zacisnął dłonie na czarce z winem, tłumiąc gniewny komentarz.

- O jakim blokowaniu umysłu mówisz? - spytała zdumiona Nun. - Gdzie się tego, na Hel, nauczyłeś?

- Dostrzegłem taką możliwość dawno temu i zbadałem ją - wyjaśnił przeproszającym tonem Yrth. -

Nie zamierzałem jej wykorzystywać, chyba że w przypadku wyższej konieczności.

- Cóż, ja też nie byłabym rada, gdybyś zastosował ją wobec mnie. Ale rozumiem twoje pobudki. Skoro Panowie Ziemi szukają Morgona w drugim końcu królestwa, to lepiej nie wyprowadzać ich z błędu.

Morgon zwiesił głowę, ale po chwili, czując na sobie spojrzenie Hara, podniósł na niego wzrok.

- Musisz się wyspać - powiedział król. Morgon znowu patrzył na czarę z winem.

- Wiem. - Raederle dotknęła jego policzka, i to go trochę uspokoiło. - Ale najpierw - podjął, przerywając milczenie, jakie zapadło w izbie - powiedz mi, jak to się dzieje, że vesty są wciągnięte w obronę prawa ziemi. Nigdy bym się tego nie spodziewał.

- Sam o tym nie wiedziałem - przyznał król. - To chyba jakieś starożytne zaklęcie. Vesty są niebywale potężne i podejrzewam, że ich zadaniem jest obrona zarówno terytorium, jak i prawa ziemi. Ale przez wieki nie walczyły z niczym prócz wilków, a ich więź z prawem ziemi zalega zapomniana gdzieś na dnie mojego umysłu... Oczywiście udostępnię ci te obszary mojej podświadomości. Jutro. - Spojrzał na czarodzieja, który dolewał sobie wina. - Byłeś na Hed, Yrthu?

- Tak. - Yrth napełnił czarę po wrębek i odstawił dzban z winem.

- Jak przedostałeś się przez Ymris?

- Byłem bardzo ostrożny. W drodze na Hed nie traciłem czasu, ale wracając, zatrzymałem się na chwilę, żeby zamienić kilka słów z Aloilem. Nasze umysły łączy więź; znalazłem go, nie korzystając ze swojej mocy. Był pod Caerweddin z Astrinem Ymrisem i

niedobitkami sił króla.

W izbie znowu zaległa cisza. W ogniu trzasnęło polano i snop iskier trysnął ku dymnikowi w powale.

- A co zostało z armii króla? - odezwał się Har.

- Astrin nie potrafił mi tego powiedzieć. Po utracie Wichrowej Równiny połowa ludzi schroniła się w Rhun; reszta uciekła na północ. Rebelianci - czymkolwiek są: żywymi ludźmi, umarłymi, Panami Ziemi - nie zaatakowali Caerweddin ani żadnego innego z większych miast Ymris. - Yrth popatrzył w ogień nieobecny oczyma kogoś innego. - Zajmują starożytne, od wieków leżące w gruzach miasta. Mnóstwo ich w Ruhn, kilka we wschodnim Umber, jedno na Równinie Królewskich Ust, niedaleko Caerweddin. Astrin naradza się ze swoimi generałami, co robić. Dowódcy utrzymują, że rebelianci, jeśli chcą opanować Równinę Królewskich Ust, muszą zająć Caerweddin. Astrin nie chce tracić ludzi w obronie martwego miasta. Zaczyna dochodzić do wniosku, że armie króla i rebeliantów, choć ścierają się ze sobą, to mają różne cele...

Har odchrząknął i wstał. Wilk trzymający łeb na jego kolanach ocknął się i podniósł na cztery łapy.

- Jednooki człowiek, który widzi... Czy on widzi koniec tej wojny?

- Nie. Ale powiedział mi, że nawiedzają go sny o Wichrowej Równinie, tak jakby tam należało szukać wytłumaczenia. Wieża stojąca na tej równinie nadal znajduje się pod wpływem żywej siły iluzji.

- Wichrowa Wieża - wyrwało się Morgonowi. Słowa czarodzieja przypomniały mu o pewnej nierozwiązanej zagadce. - Zupełnie wyleciało mi z głowy...

- Swego czasu próbowałam na nią wejść - odezwała się Nun.

Har podszedł z czarką do stołu, żeby dolać sobie wina.

- Ja również. A ty, Morgonie? - Nie.

- Dlaczego? Jesteś wszak mistrzem zagadek, a to nie lada zagadka.

Morgon cofnął się myślami w przeszłość.

- Kiedy po raz pierwszy znalazłem się z Astrinem na Wichrowej Równinie, cierpiałem na zanik pamięci. Interesowało mnie wówczas rozwiązanie tylko jednej zagadki. Po raz drugi... - Poruszył się niespokojnie. - Przeszedłem tamtędy w wielkim pośpiechu, pod osłoną nocy. Tropiłem harfistę. Nic nie było w stanie mnie zatrzymać.

- To może teraz spróbuj - podsunął cichym głosem Har.

- Nie wiesz, co mówisz - zaprotestowała Nun. - Na równinie roi się od Panów Ziemi.

- Ja zawsze wiem, co mówię - odparł Har.

Morgonowi przysłała do głowy pewna myśl; poprawił się znowu na ławie. Raederle obudziła się i spojrzała na niego zaspanymi oczami.

- Wstępu na tę wieżę broni iluzja... nikt nie jest w stanie wejść na sam szczyt. Nikt nie tworzy iluzji, jeśli nie chce pod nią czegoś ukryć... Ale cóż takiego może być skrywane przez tyle czasu na szczycie wieży?

- Najwyższy - odpowiedziała sennie Raederle. Wszyscy na nią spojrzeli; Nun z dymiącą fajeczką w dłoni, Har z czarką wina w połowie drogi do ust. - To chyba jedyne miejsce, gdzie nikt go jeszcze nie szukał - dodała.

Har przesunął wzrok na Morgona. Morgon przecesał palcami włosy, twarz mu pojaśniała.

- Może. Wiesz, Harze, że spróbuję. Ale zawsze myślałem, że ta iluzja to jakieś zapomniane dzieło umarłych Panów Ziemi, a nie... żyjącego Pana Ziemi. Chwileczkę. - Usiadł prosto i zapatrzył się w przeciwległą ścianę. - Wichrowa Wieża. Ta nazwa... imię... wiatru. - Wiatr zerwał się nagle w jego wspomnieniach: wiatr pod Górą Erlenstar, porywiste wichry nad rubieżami, śpiewające wszystkimi tonami jego harfy. - Wichrowa Wieża.

- Co widzisz?

- Sam nie wiem... harfę o strunach z wiatru. - Wiatry w jego wspomnieniach ścichły, a on uświadomił sobie, że nie wie, kto zadał to pytanie. Wizja rozplynęła się, pozostawiając go tylko ze słowami i pewnością, że te w jakiś sposób się wiążą: - Wieża. Harfa z gwiazdkami. Wiatr.

Har spędził ze swojego krzesła białą łasicę i usiadł powoli.

- Czyżbyś miał nad wiatrami władzę taką samą jak nad prawem ziemi? - zapytał z niedowierzaniem.

.. - Nie wiem.

- Rozumiem. Jeszcze nie próbowałeś.

- Nie wiedziałbym, od czego zacząć - przyznał Morgon. - Kiedyś ukształtowałem wiatr. Żeby zabić. Wiem, że tyle potrafię.

- Kiedy... - Har urwał, kręcąc głową. W sali zaległa głęboka cisza, w kątach jarzyły się oczy zwierząt. Wszyscy drgnęli, kiedy czarka, którą chciał odstawić Yrth, stuknęła o brzeg tacy. Nun pośpieszyła mu z pomocą i pokierowała jego ręką.

- To te małe odległości - westchnął ze smutkiem czarodziej.

- Wydaje mi się - powiedział król-wilk - że gdy zacznę cię wypytywać, zrobi się z tego najdłuższa zagadka, jaką kiedykolwiek zadano.

- Ty już zadałeś najdłuższą zagadkę - zauważył Morgon. - Przed dwoma laty, kiedy

uratowałeś mi życie w tej śnieżycy i zabrałeś do swojego domu. Do tej Pory nie znalazłem na nią odpowiedzi.

- Przed dwoma laty nauczyłem cię przyjmować postać vesty. Teraz wróciłeś, żebym pomógł ci zgłębić wiedzę o moim prawie ziemi. O co poprosisz mnie następnym razem?

- Nie wiem. - Morgon dopił wino. - Może o zaufanie. - Odstawił pustą czarękę, na której pozostały odciski jego palców. Poczł się nagle bardzo wyczerpany, najchętniej złożyłby głowę na stole między talerzami i zasnął.

- Poproś mnie jutro - powiedział król-wilk, podnosząc się z miejsca.

Morgon nie dostrzegł w tej odpowiedzi niczego dziwnego. Czując dłoń Hara na swoim ramieniu, otworzył z trudem oczy i też wstał, by wyjść za królem z izby.

Spał obok Raederle do świtu w cieplej, urządzonej z przepychem komnacie, którą przygotowała im Aia. Kiedy zaczęło się rozwidniać, jego umysł zapełniły powoli vesty, otaczając go ciasnym, idealnym kręgiem krepującym wszelkie ruchy. Oczy wszystkich były jasne, tajemnicze, ślepe. Obudził się z cichym okrzykiem. Raederle mruknęła coś przez sen. Odczekał, aż dziewczyna się uspokoi, a potem wstał i ubrał się. Czując zapach ostatniego sosnowego polana dopalającego się na kominku w izbie gościnnej, domyślił się, że Har nadal tam siedzi.

Król podniósł wzrok na wchodzącego. Morgon ominął ostrożnie małe zwierzęta zwinięte w kłębuszki przy kominku i usiadł obok Hara. Król położył mu dłoń na ramieniu. Siedzieli tak chwilę w milczeniu.

Pierwszy przerwał je Har.

- Będziemy musieli porozmawiać na osobności - powiedział - bo inaczej kupcy roztrąbią wszystko po całym królestwie. Nachodzą mnie ostatnio całymi tabunami, wypyują, naprzykrzają się Nun...

- Za dworem jest budynek, w którym uczyłeś mnie przyjmowania postaci vesty - zasugerował Morgon.

- Chyba się nada... Obudzę Hugina, będzie nam usługiwał. - Har uśmiechnął się. - Myślałem przez jakiś czas, że Hugin wróci między vesty, wśród ludzi stał się taki płochliwy. Ale od przybycia Nun, która opowiedziała mu wszystko, co wiedziała o Suthu, mam wrażenie, że jednak zostanie... - Zamilkł, by wysłać przez pogrążony we śnie dom mentalne wezwanie. Wkrótce potem do izby wszedł zaspany Hugin, przeczesując palcami białe włosy. Na widok Morgona zatrzymał się jak wryty. Był grubej kości i pełen gracji jak vesta, z jego oczu wciąż wycierała płochliwość. Zarumienił się, przypominał vestę, która zaraz się uśmiechnie.

- Potrzebna nam twoja pomoc - odezwał się Har. Hugin skinął głową i spoglądając na Morgona, powiedział:

- Słyszałem od Nun, że walczyłeś z czarodziejem, który zabił Sutha. Że ocaliłeś życie czarodziejom z Lungold. Zabiłeś Założyciela?

- Nie.

- Dlaczego?

- Huginie - mruknął Har, ale zaraz sam spojrzał pytająco na Morgona. - Właśnie, dlaczego? Czyżbyś całą żądzę zemsty wyładował na tym harfiście?

- Harze... - Morgon stęzał pod królewskim spojrzeniem. Har ściągnął brwi.

- O co chodzi? Dręczą cię wyrzuty sumienia? Yrth opowiedział mi wczoraj, jak zginął harfista.

Morgon pokręcił głową.

- Jesteś mistrzem zagadek - wyrzucił z siebie. - Ty mi to powiedz. Potrzebuję pomocy.

Har zacisnął usta i wstał.

- Przynieś prowiant, wino i drewno na opał do domku na podwórzu - zwrócił się do Hugina. - I maty. Kiedy Raederle z An się obudzi, powiedz jej, gdzie jesteśmy. Przeprowadź ją tam. - A kiedy chłopiec spłonął szkarłatnym rumieńcem, dorzucił z pewnym zniecierpliwieniem w głosie: - Już z nią kiedyś rozmawiałeś.

- Wiem. - Hugin uśmiechnął się, ale pod baczny spojrzeniem Hara znowu spoważniał i odwrócił się, żeby wyjść. - Przeprowadzę ją do was. I wszystko przyniosę.

Spędzili cały ten dzień oraz dziewięć kolejnych nocy w zadymionym, okrągłym budyneczku za dworzyszczem króla. Morgon odsypiał te noce w dzień. Zaś niezmordowany Har powracał wtedy jak gdyby nigdy nic do swoich królewskich obowiązków. Wycofując się o świtaniu każdego dnia z umysłu Hara, Morgon znajdował przy sobie Raederle i Hugina, a czasami Nun strzepującą w ogień popiół z fajeczki. Rzadko się do nich odzywał; czy to na jawie, czy we śnie, jego umysł zdawał się być sprzęgnięty z umysłem Hara, formował drzewa, jary, przykryte śniegiem szczyty, wszystkie kształty przechowywane głęboko w umyśle króla-wilka i powiązane z jego świadomością. Har odkrywał przed nim wszystko, nie żądając niczego w zamian. Morgon poznawał za jego pośrednictwem Osterland, tworzył własne więzi świadomości z każdym korzeniem, kamieniem, wilczym szczenięciem, białym sokołem i vestą w tej krainie. Odnajdywał w królu dziwną czarodziejską moc. Har potrafił rozmawiać z sowami i wilkami; potrafił rozmawiać z żelaznym nożem albo z grotem strzały i pouczać je, w co mają trafić. Ludzi i zwierzęta zamieszkujące jego ziemie znał jak własną rodzinę. Jego prawo ziemi rozciągało się aż na skraj północnych rubieży, gdzie ścigał się z

vestami przez mile śnieżnej pustyni. Kształtowało go jego własne prawo; moc, którą posiadał, hartowała serce Morgona na przemian lodem i ogniem, aż stał się jakby jeszcze jednym kształtem mózgu Hara, albo odbiciem Hara dysponującym własną mocą.

Wtedy zrywał więz z Harem, kładł się na macie i zapadał w sen. Niczym ziemdziedzic śnił wspomnienia Hara. Widział w tych snach stulecia historii, dawne bitwy, pojedynki na zagadki, które potrafiły ciągnąć się całymi dniami i latami. Budował Yrye, słyszał, jak Suth zadaje mu pięć dziwnych zagadek, żył wśród wilków, wśród vest, płodził dziedziców, rozsądzał spory i starzał się tak, że nie pamiętał już, ile ma lat. Te plastyczne, barwne sny skończyły się wreszcie i ostatnią noc przespał bez ruchu, nie śniąc o niczym. Obudził go dźwięk własnego imienia. Zamrugał i otworzył oczy. Obok klęczała Raederle.

Uśmiechnęła się do niego.

- Chciałam sprawdzić, czy jeszcze żyjesz, czy już umarłeś - powiedziała, dotykając jego dłoni. Splotły się ich palce. - Możesz wstać?

Usiadł powoli. Byli sami; na zewnątrz szalała wichura usiłująca zerwać dach. Przez chwilę nie mógł dobyć z siebie głosu.

- Jak długo... - wychrypiął w końcu - ...jak długo spałem?

- Har powiedział, że ponad dwa tysiące lat.

- Jest aż tak stary? - Morgon wpatrywał się przez chwilę niewidzącym wzrokiem w ścianę, potem nachylił się do Raederle i pocałował ją. - To noc czy dzień?

- Południe. Spałeś prawie dwa dni. Brakowało mi ciebie. Gdyby nie Hugin, nie miałabym przez ten czas do kogo otworzyć ust.

- Kto? Uśmiechnęła się.

- Pamiętasz, jak mam na imię? Kiwnął głową.

- Jesteś liczącą sobie dwa tysiące lat kobietą imieniem Raederle. - Dochodził powoli do siebie. Spróbował wstać. Zachwiał się i byłby upadł, gdyby Raederle go nie podtrzymała. Wiatr wyszarpnął mu z ręki drzwi, kiedy je otwierał. Na zewnątrz wirowały płatki pierwszego tej zimy śniegu. Chłód wyrwał go ostatecznie z odrętwienia. Przebiegli z Raederle przez podwórzec i wpadli do ciepłego, ciemnego dworu króla.

Tego wieczoru, kiedy leżał przy kominku w swojej izbie, odwiedził go Har. Morgon przypominał i przyswajał sobie powoli wiedzę, którą posiadał. Raederle zostawiła go pogrążonego w myślach. Przybycie Hara wyrwało go z zadumy. Spojrzeli na siebie znacząco. Har usiadł, a Morgon wyprostował się i poruszył polanami, żeby podsycić przygasający ogień.

- Przyszedłem - powiedział cicho Har - po to, co jesteś mi winien.

- Jestem ci winien wszystko. - Morgon czekał. Płomienie rozmywały mu się powoli przed oczyma; znowu odpływał, tym razem we własne wspomnienia.

Król przeglądał je trochę na chybił trafił, nie bardzo wiedząc, czego szuka. Po chwili przerwał więź i spojrzał na Morgona ze zdumieniem.

- Uderzyłeś starego, ślepego czarodzieja?

- Tak. Nie mogłem go zabić.

Oczy króla płonęły lodowym blaskiem. Chciał chyba coś powiedzieć, ale zrezygnował i ponownie uchwycił wątek wspomnień Morgona. Poruszał się po nich tam i z powrotem, od Drogi Kupców poprzez Lungold do Góry Erlenstar, a kończąc na tygodniach, które Morgon spędził na rubieżach, grając na harfie wiatrom. Obejrzał śmierć harfisty; wysłuchał rozmowy Yrtha z Morgonem i z Dananem w Isig; wysłuchał Raederle zadającej Morgonowi zagadkę, która skłoniła go do powrotu z martwej ziemi do świata żywych. Potem zerwał znowu więź i zaczął krążyć po izbie niczym wilk.

- Deth.

Na dźwięk tego imienia Morgonowi zimny dreszcz przeszedł po plecach, tak jakby Har jednym słowem obrócił niemożliwe w prawdę. Król zatrzymał się w końcu przy nim i zapatrzył w ogień. Morgon opuścił głowę i wsparł czoło na przedramionach.

- Nie wiem, co robić. Takiej jak on mocy nie ma nikt w królestwie. Czułeś tę blokadę umysłu...

- On od początku blokował twój umysł.

- Wiem. A ja nie potrafię mu się oprzeć. Nie potrafię. Widziałeś, jak przywabił mnie do siebie na Drodze Kupców... bez najmniejszego wysiłku. Harfą, na której ledwie brzdąkał. Przyszedłem do niego... W Anuin nie mogłem go zabić. Zresztą nawet nie chciałem. Szukałem tylko pretekstu, żeby tego nie zrobić. Podsunął mi go. Myślałem, że zniknie z mego życia na zawsze, bo wydawało mi się, że nie pozostawiłem mu w królestwie ani jednego miejsca, gdzie mógłby grać. Okazało się, że jedno takie miejsce pozostało. I zagrał mi. Znowu mnie zdradził i widziałem, jak umiera. Ale on nie umarł. Zamienił tylko jedną maskę na inną. Sporządził miecz, którym omal go nie zabiłem. Rzucił mnie Ghisteslwchlohnowi jak kość i tego samego dnia uratował mnie przed Panami Ziemi. Nie pojmuję jego motywów. Nie mogę rzucić mu wyzwania. Nie mam dowodu, i wybroniłby się z łatwością od każdego zarzutu. Przeraza mnie jego moc. Nie wiem, czym on jest. Jego milczenie jest jak milczenie drzewa... - Morgon zawiesił głos i wsłuchał się w milczenie Hara.

Po chwili uniósł głowę. Król wpatrywał się wciąż w ogień, ale Morgon odnosił wrażenie, że patrzy tak z odległości wielu wieków. Nie poruszał się, nie widać było nawet,



żeby oddychał. Tak ściągniętej twarzy Morgon jeszcze u niego nie widział, zmarszczki na niej zdawały się być wyżłobione przez lodowate, bezlitosne wichry, które szalały nad jego krainą.

- Morgonie - wyszeptał - bądź ostrożny. Dopiero po chwili Morgon uświadomił sobie, że nie było to ostrzeżenie, lecz prośba. Król przykucnął i ujął Morgona za ramiona tak delikatnie, jakby dotykał czegoś złudnego, nieuchwytnego, co dopiero zaczyna się materializować w jego dłoniach.

- Harze...

Król pokręcił głową, ubiegając jego pytanie. Patrzył Morgonowi w oczy z dziwnym napięciem, jakby chciał wejrzeć w samo serce jego konfuzji.

- Niech harfista sam się ujawni...

Tylko tyle powiedział mu król-wilk. Ale Morgon widział po jego oczach, że wie więcej, tylko nie chce o tym mówić. Yrth też to chyba wyczuł, bo ostatniego wieczoru przed opuszczeniem Yrye spytał:

- O czym tak rozmyślasz, Harze? Słyszę coś między twoimi słowami.

Siedzieli przy kominku. Wiatr zawodził nad dachem, wysysając strzępy dymu przez otwór w stropie. Har spojrzał na czarodzieja. Starą twarz miał wciąż wyostrzoną tym, co widział. Ale kiedy się odezwał, jego głos był stonowany.

- O niczym takim, co by cię interesowało.

- Dlaczego ja w to nie wierzę? - mruknął Yrth. - Tutaj, w tej izbie, w której od stuleci żyjesz w prawdzie?

- Zaufaj mi - powiedział Har. Czarodziej zwrócił na niego niewidzące oczy.

- Wybierasz się do Ymris.

- O, nie - wyrwało się Morgonowi. Przestał opierać się Yrthowi. Wsunął się ostrożnie w aurę czarodzieja, tak jak podchodzi się do niebezpiecznego, nieprzewidywalnego zwierzęcia. Ale słowa czarodzieja, wypowiedziane tonem ni to stwierdzenia, ni polecenia, obudziły w nim protest. - Harze, czego chcesz szukać w Ymris? Chyba własnej śmierci.

- Nie zamierzam umierać w Ymris - odparł Har. Wyciągnął nad ogień naznaczone piętnem vesty dłonie. Ten gest zafascynował Morgona.

- Co więc zamierzasz?

- Odpowiedź za odpowiedź.

- To nie gra, Harze!

- Czyżby? A co znajduje się na szczycie Wieży Wichrów?

- Nie wiem. Kiedy się dowiem, wrócę tu i podzielę się z tobą swoją wiedzą. Cierpliwości.

- Skończyła mi się cierpliwość - powiedział Har. Wstał i zaczął krążyć niespokojnie po izbie. Zatrzymał się przy czarodzieju, wziął z podłogi dwie małe szczapy drewna i ukląkł, żeby wsunąć je w ogień. - Jeśli zginesz - podjął - nie będzie miało dla ciebie znaczenia, gdzie jestem. Mam rację?

Morgon milczał. Yrth schylił się, dla zachowania równowagi położył dłoń na ramieniu Hara i podniósł dwie płonące gałązki, które sturlały się z paleniska. Wrzucił je z powrotem w ogień.

- Trudno będzie przedrzeć się do Wichrowej Wieży. Ale myślę, że z pomocą armii Astrina jest to możliwe. - Cofnął rękę z ramienia Hara i otrzepał dłonie z popiołu.

Król wstał. Morgon obserwował jego posepną twarz, wstrzymując się z komentarzem, a w jego umyśle krystalizowała się stanowcza, niezachwiana decyzja.

Pożegnał się z Harem o świcie następnego dnia, po czym trzy kruki wyleciały w długą podróż na południe ku Herun. Lało jak z cebra. Czarodziej prowadził ich ze zdumiewającą pewnością nad równinnymi łąkami Osterlandu i lasami porastającymi brzegi rzeki Ose. Postacie zmienili dopiero za Rzeką Zimową, na skraju rozległej ziemi niczyjej, pomiędzy Osterlandem i Ymris. Trzeciego dnia podróży, przed samym zmierzchem, deszcz wreszcie ustał. Wylądowali na ziemi i wrócili do własnych postaci.

- Na Hel - zwrócił się Morgon do czarodzieja zajętego rozpalaniem ogniska z namokniętych patyków - jak to możliwe, że jesteś takim dobrym przewodnikiem? Doprowadziłeś nas prosto do Rzeki Zimowej. I jak zdołałeś pokonać drogę z Isig na Hed i z powrotem w zaledwie dwa dni?

Yrth zwrócił twarz w stronę, z której dobiegał głos Morgona. Spod jego palców strzelił płomyk i drewno się zajęło. Czarodziej cofnął ręce.

- To instynkt - powiedział. - Ty, lecąc, za dużo myślisz.

- Być może. - Morgon przykucnął przy ognisku. Raederle, oddychając głęboko wilgotnym, pachnącym sosną powietrzem, spoglądała na rzekę.

- Morgonie, może nałowiłbyś ryb? Jestem głodna, a nie chcę powracać do postaci kruka tylko po to, żeby zjeść... co tam kruki jedzą. Ja nazbieram grzybów, dobrze?

- Czuję zapach jabłek - powiedział Yrth. Wstał i ruszył w kierunku, z którego ten aromat go dolatywał. Morgon patrzył za nim z niedowierzaniem.

- Ja tam żadnych jabłek nie czuję - wymruczał. - A lecąc, prawie wcale nie myślę. - Wstał i pochylił się nad Raederle, żeby ją pocałować. - Czujesz jakieś jabłka?

- Czuję rybę. I nadciągający deszcz. Morgonie... - Objęła go niespodziewanie za szyję i zmusiła, by przy niej usiadł. Szukała słów.

- O co chodzi?

- Sama nie wiem. - Przesunęła dłonią po włosach. W jej oczach malowało się zakłopotanie. - On porusza się po ziemi jak Mistrz...

- Zauważyłem.

- Bardzo się staram... staram się mu ufać. Ale potem przypomina mi się, jak cię skrzywdził. Wtedy zaczynam się go bać. I nachodzą mnie wątpliwości, dokąd nas tak naprawdę prowadzi... A potem znowu zapominam o tym strachu. - Pociągnęła w zamyśleniu

kosmyk mokrych włosów Morgona. - Morgonie... - Co?

- Sama nie wiem. - Podniosła się z ziemi zła na siebie. - Sama nie wiem, co o tym myśleć.

Przeszła w drugi koniec polanki, by przyjrzeć się skupisku jasnych grzybów. Morgon zszedł nad szeroką rzekę i stanął w płytkiej wodzie, nieruchomy jak pieńek starego drzewa, wypatrując ryb i starając się nie myśleć. Kiedy drugi pstrąg wyśliznął mu się z dłoni, wytworzył w umyśle odbicie szarości wody i nieba, i zaczął myśleć jak ryba.

Schwycił trzy pstrągi i z braku innego narzędzia wypatroszył je swoim mieczem. Yrth i Raederle patrzyli na niego dziwnie, kiedy wracał z rybami do ogniska. Raederle uśmiechała się. Wyraz twarzy czarodzieja był niezgłębiony. Podeszedł do nich, położył ryby na płaskim kamieniu i wytarł klingę miecza trawą. Wsunął oręż z powrotem do pochwy skrytej pod iluzją i przykucnął przy ognisku.

- No dobrze - powiedział. - Instynkt. - Zaczął nadziewać wypatroszone ryby grzybami zebranych przez Raederle. - Ale to nie wyjaśnia szybkości, z jaką pokonałeś drogę na Hed i z powrotem.

- Jaką odległość potrafisz przebyć w ciągu jednego dnia?

- Może przeciąć Ymris. Nie wiem. Nie lubię przemieszczać się od chwili do chwili na długich dystansach. To wyczerpujące i nigdy nie wiadomo, na czyj umysł przypadkowo się natrafi.

- Widzisz - powiedział cicho czarodziej - ja byłem zdesperowany. Bałem się, że uda ci się jakoś przełamać blokadę umysłu przed moim powrotem.

- Nie wystarczyłoby mi na to...

- Dysponujesz wystarczającą mocą. Widzisz w ciemnościach.

Morgon patrzył na niego przez chwilę w milczeniu. Czuł, że dostaje gęsiej skórki.

- A więc to było to? - wyszeptał w końcu. - Wspomnienie?

- Ciemności Isig.

- Albo Góry Erlenstar.

- Owszem. Takie to było proste.

- Proste. - Przypomniała mu się prośba w głosie Hara i odetchnął głęboko. Zawinął ryby w mokre liście i wsunął kamień w ognisko. - Nic nie jest proste.

Czarodziej przesunął palcem po piórku trawy.

- Niektóre rzeczy są. Noc. Ogień. Źdźbło trawy. Jeśli wkładasz rękę w ogień i myślisz o swoim bólu, sparzysz się. Jeśli jednak myślisz tylko o ogniu, albo tylko o nocy, akceptując ją, bez rozpamiętywania... staje się ona bardzo prosta.

- Nie potrafię zapomnieć.

Czarodziej nie odzywał się. Kiedy ryby zaczęły skwierczeć, znowu się rozpadła. Posilili się w pośpiechu, zmienili postaci i wzbili się w powietrze, by poszukać schronienia między drzewami.

Dwa dni później, pod wieczór, przecięli Ose i na brzegu tej wartkiej, dzikiej rzeki znowu powrócili do swoich postaci. Patrzyli na siebie z lekkim oszołomieniem, jakby zaskoczeni własnymi kształtami.

Raederle usiadła z westchnieniem na pniu zwałonego drzewa.

- Już nie mogę - szepnęła. - Tak mnie zmęczyło bycie krukiem. Zaczynam zapominać ludzkiej mowy.

- Upoluję coś - powiedział Morgon, ale stał dalej. Zmęczenie przenikało mu wszystkie członki.

- Ja zapoluję - zaoferował się Yrth i zanim zdążyli zareagować, ponownie zmienił postać. Sokół wzbil się wysoko w powietrze, wyrównał lot i zaczął zataczać kręgi.

- Jak on może polować - szepnął Morgon - skoro jest ślepy?

Sokół zanurkował.

- On jest jak Panowie Ziemi - powiedziała Raederle i Morgona przeszedł dziwny dreszcz. - W nich wszystkich jest to straszliwe piękno. - Patrzyli, jak ptak znowu wznosi się w powietrze. Trzymał coś w szponach. Raederle wstała powoli i zaczęła zbierać drewno na ognisko. - Potrzebny będzie rozeń.

Morgon odłamał gałąź i zaczął ją odzierać z kory. Sokół złożył martwego królika przy rozpalonym przez Raederle ognisku i po chwili przed nimi stał znowu Yrth. Oczy miał z początku jakieś obce, pełne czystego, dzikiego powietrza, ale szybko powróciły do swojego dawnego wyglądu. Morgon spytał go, jak wytropił ofiarę.

- Wyczułem jej strach - odparł czarodziej. Wyciągnął nóż zza cholewy buta i usiadł. - Oprawisz go? Ja miałbym z tym kłopot.

Morgon przystąpił bez słowa do pracy. Raederle podniosła z ziemi przeznaczoną na rozeń gałąź i usunęła z niej resztki kory.

- Znasz sokoli język? - spytała nagle.

Twarz ślepcy zwróciła się w jej stronę. Morgon, słysząc dziwną łagodność w głosie dziewczyny, znieruchomiał z nożem w ręku.

- Trochę - odparł czarodziej.

- Możesz go mnie nauczyć? Czy musimy całą drogę do Herun odbyć pod postaciami kruków?

- Jeśli chcesz... Myślałem, że jako mieszkanka An najlepiej się czujesz pod postacią kruka.

- Nie - powiedziała cicho. - Dobrze mi pod wieloma postaciami. Ale miło z twojej strony, że o tym pomyślałeś.

- Jakie postaci potrafisz przyjmować?

- Och... ptaka, drzewa, łososia, borsuka, łani, nietoperza, vesty... szybko straciłam rachubę, szukając Morgona.

- Zawsze go odnajdywałaś.

- Ty też.

Yrth obmacywał ziemię wokół siebie, szukając gałęzi do podparcia różna.

- Tak...

- W zającą też się przemieniałam.

- Zając jest ofiarą jastrzębia. Stosowałaś się do praw ziemi.

Morgon odrzucił skórę i wnętrzności królika w paprocie i sięgnął po rożen.

- A prawa królestwa? - odezwał się niespodziewanie. - Czy Pan Ziemi nic sobie z nich nie robi?

Czarodziej znieruchomiał. W jego oczach pojawił się cień bezlitosnej siły sokoła i Morgon się zmieszał. Odwrócił wzrok.

- Nie każdy - powiedział wymijająco Yrth. Morgon umieścił rożen z królikiem nad ogniskiem i obrócił go kilka razy na próbę. I naraz dotarła doń dwuznaczność odpowiedzi czarodzieja. Przykucnął i spojrzał badawczo na Yrtha. Ale pierwsza odezwała się Raederle i wyraźna nutka bólu w jej głosie kazała mu zachować milczenie.

- To dlaczego, według ciebie, moi krewniacy prowadzą na Wichrowej Równinie wojnę przeciwko Najwyższemu? Skoro moc jest po prostu sprawą znajomości deszczu i ognia, a prawa, do których oni sami się stosują, to prawa ziemi?

Yrth milczał. Słońce skryło się w gęstych chmurach na zachodzie. Opadła na nich mgiełka zmierzchu. Czarodziej wyciągnął rękę, namacał rożen i obrócił go powoli.

- Według mnie - powiedział - Morgon słusznie przypuszcza, że Najwyższy ogranicza moc Panów Ziemi. A to wystarczający powód, żeby nastawali na jego życie... Jednak pod tą zagadką zdaje się kryć wiele innych. Kamienne dzieci z Isig ściągnęły mnie przed wiekami do swojego grobowca swym smutkiem. Odarto je z mocy. Dzieci są dziedzicami mocy; być może dlatego właśnie je wyeliminowano.

- Zaczekaj. - Morgonowi drżał głos. - Chcesz przez to powiedzieć... sugerujesz, że w tym grobowcu pogrzebany został dziedzic Najwyższego?

- Istnieje chyba taka możliwość, nieprawdaż? - Tłuszcz prysnął w ognisko i Yrth obrócił znowu zająca. - Kto wie, czy nie był nim chłopiec, który powiedział mi, że muszę osadzić gwiazdki w harfie i mieczu dla kogoś, kto przyjdzie za setki lat i upomni się o nie...

- Ale dlaczego? - wyszeptła Raederle. - Dlaczego? - Widziałeś sokoła w locie... jego piękno i zabójczą sprawność. Gdyby taka moc nie była ograniczana żadnym prawem, to ona i żądza jej posiadania stałyby się tak straszne...

- Ja pragnęłam tej mocy.

Na twardej, starszej twarzy czarodzieja odmalowała się znowu zaskakująca łagodność. Yrth dotknął Raederle tak, jak przed chwilą dotykał żdźbła trawy.

- Bierz ją więc.

Cofnął rękę. Raederle spuściła głowę; Morgon nie widział teraz jej twarzy. Chciał odgarnąć jej włosy, ale wstała gwałtownie i odwróciła się do niego plecami. patrzył, jak odchodzi między drzewa, obejmując się rękami. Gardło mu się ścisnęło.

- Nic mi nie zostawiłeś... - wyszeptał.

- Morgonie...

Morgon wstał i ruszył za Raederle poprzez gęstniejącą mgiełkę, pozostawiając sokoła z jego łupem.

Przez kilka następnych dni podróżowali pod postaciami kruków, a kiedy niebo się przecierało, pod postaciami sokołów. Dwa z sokołów pokrzykiwały do siebie przesywającymi głosami; trzeci słyszał je, ale milczał. Polowali pod postaciami ptaków; spali i budzili się, patrząc na blade słońce bystrymi, dzikimi oczami. Kiedy padało, przemieniali się w kruki i w strugach deszczu lecieli dalej. Pod nimi przesuwiał się nie kończący się ocean drzew. Wreszcie na horyzoncie zamajaczyło pasmo wzgórz.

Na kilka chwil przed zachodem słońce wychynęło zza chmur. W jego promieniach zasrebrzyły się nitki rzek, jeziora zaśniły jak monety rozrzucone pośród zieleni. Widok słońca dodał sił zmęczonym sokołom. Jeden z nich, oczarowany wyraźnie widokiem światła, przyspieszył nagle i wysforował się do przodu. Morgon, przekonany, że to Raederle, pomknął za nim, wyprzedzając prowadzącego sokoła. Nie zdawał sobie sprawy, że dziewczyna potrafi latać tak szybko. Nie mógł jej dopędzić, choć wyteżał siły do tego stopnia, że w końcu ogarnęło go wrażenie, iż zgubił swoją postać i jest samą miłością gnającą na fali światła. Doganiał powoli sokoła, w zapadających ciemnościach widział już jego rozłożyste skrzydła i brzuch, i nagle uświadomił sobie, że to nie Raederle, lecz Yrth.

Nie zwolnił jednak, dopędzenie czarodzieja postawił sobie za punkt honoru. Leciał co sił w skrzydłach. Knieja falowała pod nim jak morze. Cał po calu zmniejszał dystans i w

końcu zrównał się z Yrthem. Lecieli skrzydło w skrzydło tak szybko, że odnosił wrażenie, iż gdyby jeszcze trochę przyspieszył, stopiłby się w jedno z wiatrem.

Krzyknął i zanurkował ku łagodnie pofałdowanym wzgórzom w dole. Prawie nie poruszał skrzydłami; niesiony prądami powietrza wylądował na ziemi i zmienił postać. Otoczyła go wysoka trawa. Przywarł twarzą do gruntu i leżał tak z rozpostartymi ramionami, dopóki nie uspokoiły się walące serce i zdyszany oddech. Wtedy przekreślił się na wznak i wstał. Sokół krążył nad nim. Obserwował go przez chwilę, a potem wyciągnął ku niemu rękę. Sokół spadł z nieba jak kamień i przysiadł mu na ramieniu.

Tę noc trzy sokoły spędziły wśród wzgórz Herun. O świcie w wilgotne, mgliste powietrze wzbily się trzy kruki. Leciały nad wioskami i kamienistymi pastwiskami, których monotonię przerywało tu i ówdzie poskręcane wiatrem drzewo albo strzelający w niebo monolit. Zaczął mżyć drobny kapuśniaczek, który towarzyszył im już do samego Miasta Kręgów.

Tym razem morgola nie przewidziała ich przybycia. Za to na dziedzińcu czekał cierpliwie czarodziej Iff. Zdziwiona morgola wyszła przed dom dopiero, kiedy wylądowały tam trzy czarne, przemoczone ptaki. Przyglądała się z fascynacją, jak zmieniają postaci.

- Morgonie... - Ujęła w dłonie wychudzoną, zmęczoną twarz Morgona i ten dopiero teraz zdał sobie sprawę, kogo jej sprowadził.

Yrth trzymał się na uboczu, sprawiał wrażenie zaaferowanego, tak jakby obserwował tę scenę oczami wszystkich obecnych i starał się sortować galimatias obrazów. Morgola odgarnęła z twarzy Raederle mokre włosy.

- Stałaś się zagadką An - powiedziała i Raederle szybko spuściła wzrok. Ale morgola wzięła ją pod brodę, zmusiła do uniesienia głowy i pocałowała. Potem spojrzała pytająco na czarodziejów.

Iff położył dłoń na ramieniu Yrtha i powiedział uspokajającym tonem:

- To Yrth, El. Wy się chyba nie znacie.

- Nie. - Morgola skłoniła się. - Witam w moich skromnych progach, Twórcu Gwiazdek. Wejdźmy, pada. Zwykle wiem z wyprzedzeniem, kto przekracza wzgórze, i przygotowuję się na przyjęcie gości, ale nie zwróciłam uwagi na trzy zmęczone kruki. - Położyła delikatnie dłoń na ramieniu Yrtha i poprowadziła go do drzwi. - Skąd przybywacie?

- Z Isig przez Osterland - odparł czarodziej. Głos miał jakby cichszy niż zazwyczaj. Strażniczki rozstawione w labiryncie korytarzy sunęły za gośćmi wzrokiem, nie zmieniając postawy. Morgon wpatrywał się w plecy kroczącego obok morgoli Yrtha i słuchał jednym uchem Iffa, który szedł obok niego.



- Dowiedzieliśmy się o ataku na Hed zaledwie kilka dni po fakcie - mówił czarodziej - oto jak szybko rozchodzą się wieści w królestwie. Wybuchła panika. Większość mieszkańców Caithnard opuściła miasto, ale gdzie mogą się schronić? W Ymris? W An, które Mathom, ruszając ze swoją armią na północ, pozostawił niemal bezbronne? W Lungold? To miasto nie doszło jeszcze do siebie po własnej tragedii. Nie ma dokąd uciekać.

- Czy Mistrzowie również opuścili Caithnard? - spytała Raederle.

Czarodziej pokręcił głową.

- Nie. Nie chcą stamtąd odejść. - W jego głosie pojawiła się lekka irytacja. - Morgola poprosiła mnie, żebym udał się do nich i zapytał, czy nie potrzebują pomocy, statków, którymi mogliby się ewakuować razem ze swoimi księgami. Powiadają, że sekret unikania śmierci kryje się być może w komentarzach do sztuki rozwiązywania zagadek, ale z tych komentarzy wynika przecież, że nieroztropnie jest odwracać się do śmierci plecami, bo czyniąc to, znowu ujrzysz ją przed sobą. Próbowałem przemówić im do rozsądku. Powiedzieli, że bardziej niż statki pomogłyby im odpowiedzi. Ostrzegłem, że pozostając na miejscu, mogą zginąć. Zapytali, czy śmierć to najgorsze, co może się im przydarzyć. I wtedy zacząłem chyba pojmować sztukę rozwiązywania zagadek. Ale nie jestem w niej biegły na tyle, by stawać z nimi do zawodów.

- Mądry człowiek - powiedział Morgon - podąża tropem zagadki uparcie jak sknera za monetą, która toczy się ku szparze między deskami podłogi.

- Najwyraźniej. Wydali mi się czymś bardzo kruchym i jednocześnie bardzo cennym dla królestwa... Co byś zrobił na moim miejscu?

Cień uśmiechu zniknął z oczu Morgona.

- Tylko jedno. Pozwolił samym o sobie decydować.

Morgola zatrzymała się w wejściu do wielkiej, widnej, wyłożonej kobiercami sali ze złotobrazowymi zasłonami w oknach.

- Moi słudzy przyniosą wam zaraz wszystko, czego wam potrzeba do szczęścia - zwróciła się do Morgona i Raederle. - Dom będzie strzeżony. Przyjdźcie do komnaty Iffa, kiedy już odpoczniecie po podróży. Porozmawiamy.

- Ja nie mogę u ciebie zostać, El - powiedział cicho Morgon. - Nie przyjdę porozmawiać.

Podejrzewał, że choć tego po sobie nie okazała, zaintrygowało ją to oświadczenie. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Ściągnęłam tu wszystkie strażniczki z miast i granic; szkolą się teraz pod okiem Goh, żeby w razie potrzeby ruszyć z tobą na południe.

- O, nie - zachnął się Morgon. - Dostyc już strażniczek zginęło na moich oczach w Lungold.

- Morgonie, musimy rzucić na szalę wszystkie nasze siły.

- Herun dysponuje inną, większą mocą. - Teraz zauważył zmianę na jej twarzy. Zerknął na Yrtha stojącego za nią nieruchomo jak cień i naszły go wątpliwości, czy mówi te słowa sam z siebie, czy za podpuszczeniem czarodzieja. - Po nią właśnie przybyłem. Jest mi potrzebna.

Morgola zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

- Mówisz o mocy prawa ziemi? - wyszeptła z niedowierzaniem. Kiwnął głową, świadom, że najmniejsza oznaka braku zaufania z jej strony zrani mu na zawsze serce. - Potrafisz je sobie przyswoić?

- Potrafię. Potrzebna mi wiedza o nim. Nie tknę twego umysłu. Przysięgam. Wszedłem w umysł Hara za jego przyzwoleniem, ale ty... w twoim umyśle są miejsca, w które nie powinienem zaglądać.

Coś rodziło się w jej oczach. Stała z ręką na jego ramieniu i nie mogła wykrztusić słowa, zupełnie jakby przyjął kształt czegoś prastarego jak sam świat, obrośniętego bezcennym, zapomnianym skarbem zagadek, legend, kolorów nocy i świtu. Zapragnął wejść w jej umysł, odczytać stamtąd, co z jego burzliwej, zagmatwanej przeszłości każe jej tak go postrzegać. Ale cofnęła rękę i powiedziała.

- Bierz z mojej krainy i mojego umysłu, co ci potrzeba.

Morgon stał nieruchomo i patrzył, jak morgola, prowadząc Yrtha pod rękę, oddala się korytarzem. Z zamyślenia wyrwało go przybycie służących. Kiedy rozpalali ogień i wieszali nad nim wodę i wino, powiedział cicho do Raederle:

- Zostawię cię tutaj. Nie wiem, jak długo mnie nie będzie. Żadne z nas nie może czuć się bezpieczne, ale tutaj są przynajmniej Iff i Yrth, a Yrth... on chce mnie żywego. Tyle przynajmniej wiem.

Położyła mu dłoń na ramieniu. Twarz miała zatroskaną.

- Morgonie, podporządkowałeś mu się w locie. Czułam to.

- Wiem. - Ujął jej dłoń i przycisnął do piersi. - Wiem - powtórzył. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. - Wabi mnie teraz mną samym. Mówiłem ci, że grając z nim, przegrałbym.

- Być może.

- Uważaj na morgolę. Nie wiem, co sprowadziłem pod jej dach.

- On by jej nigdy nie skrzywdził.

- Już raz okłamał ją i zdradził. A to wystarczy. Gdybyś mnie potrzebowała, spytaj morgoli, gdzie jestem. Będzie wiedziała.

- Dobrze. Morgonie... - Tak?

- Sama nie wiem... - mruknęła po raz nie wiadomo który w ciągu ostatnich kilku dni. - Tylko czasami przypomina mi się, co Yrth powiedział o ogniu i nocy; że to takie proste rzeczy, jeśli odpowiednio na nie spojrzeć. Wciąż mi się wydaje, że tak naprawdę to nie wiesz, czym jest Yrth, bo nigdy go nie widzisz, widzisz tylko mroczne wspomnienia...

- A niby co, na Hel, mam widzieć? Jest czymś więcej niż harfistą, więcej niż czarodziejem. Próbuję patrzeć, Raederle. Próbuję...

Zakryła mu dłonią usta, bo zerknął na nich zciekawiony jeden ze służących.

- Wiem. - Przytuliła się do niego mocno i poczuł, że drży. - Nie chciałam cię zdenerwować. Ale... nic nie mów, tylko słuchaj. Staram się zebrać myśli. Nie zrozumiesz ognia, dopóki nie zapomnisz o sobie i sam nie staniesz się ogniem. Nauczyłeś się widzieć w ciemnościach, kiedy stałeś się wielką górą o sercu z ciemności. Zrozumiałeś Ghisteslwchlohma, przejmując jego moc. Może więc jedyny sposób na zrozumienie tego harfisty zto pozwolić mu, by wciągał cię w swoją moc, aż staniesz się częścią jego serca i zaczniesz widzieć świat jego oczami...

- Tym sposobem mogę zniszczyć królestwo.

- Być może. Ale jeśli on jest niebezpieczny, to jak chcesz z nim walczyć, nie rozumiejąc go? A jeśli nie jest niebezpieczny?

- Jeśli nie jest... - Morgon urwał. Wydało mu się, że otaczający go świat przesunął się lekko, że całe Herun, górskie krainy, południowe ziemie, całe królestwo, wszystko wchodzi pod okiem sokoła na swoje miejsca. Ujrzał cień sokoła sunący cicho przez królestwo, poczuł, jak ten cień pada mu na plecy. Wizja ta trwała tylko chwilę. Potem stała się wspomnieniem nocy. Zacisnął pięści. - On jest niebezpieczny - wyszeptał. - Zawsze był. Co mnie z nim tak wiąże?

Jeszcze tego wieczoru opuścił Miasto Kręgów, i wiele dni i nocy, których rachubę zgubił, spędził ukryty przed światem i niemal przed samym sobą w prawie ziemi Herun. Dryfował bezpostaciowy z mgłami, wsiąkał w nieruchome, zdradliwe moczary i czuł, jak poranny szron, osiadając na błocie, szuwarach i zahartowanych bagiennych trawach, srebrzy mu twarz. Krzyczał głosem bagiennego ptaka i patrzył w gwiazdy z głębi obojętnej kamiennej płyty. Przemierzał wzgórze, łącząc swój umysł ze skałami, drzewami, strumykami, przeszukując kopalnie żelaza, miedzi i szlachetnych kamieni. Tkał z macek umysłu ogromną pajęczynę nad drzemiącymi polami i bujnymi, zamglonymi pastwiskami, łącząc się z

martwymi korzeniami, zamrażniętymi bruzdami i spletanymi trawami, którymi żywiły się owce. Łagodność tej ziemi przypominała mu Hed, z tym że tutaj wyczuwało się jakąś mroczną, niespokojną siłę, wyrzynającą się z gleby w kształty skalnych pagórków i monolitów. Badając to wszystko, dryfował bardzo blisko umysłu morgoli; wyczuwał, że jej czujność i inteligencja zrodziły się z potrzeby, z dziedzictwa ziemi, którą moczary i mgły czynią bardzo niebezpieczną dla mieszkańców. W dziwnych kamieniach i bogatych złożach pod wzgórzami kryła się jakaś tajemnica; umysły morgolów wniknęły także tam. Zgłębiając prawo tej ziemi, Morgon czuł, jak na jego umysł spływa ukojenie wywoływane czystością świadomości i wizji. W końcu, kiedy zaczął już widzieć jak morgola istotę wszystkich rzeczy, powrócił do Miasta Kręgów.

Wrócił tak, jak odszedł; cicho jak kłaczek przyziemnej mgły napływający z nieruchomej, zimnej heruńskiej nocy. Przybrawszy ponownie własną postać, poszedł za głosem morgoli. Stał w jej małej, eleganckiej sali oświetlanej przez ogień płonący na kominku. Morgola rozmawiała właśnie z Yrthem; czuł się nadal sprzęgnięty z jej spokojnym umysłem. Nie zrywał tej więzi. Obok morgoli siedziała Lyra; Raederle przesunęła się bliżej ognia. Z wieczerzy, którą jedli, pozostały już tylko dzbany z winem.

Raederle odwróciła głowę i zobaczyła Morgona; uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. Jego uwagę przyciągnęła Lyra. Ubrana była w lekką, zwiewną szatę; włosy miała zaplecione w warkocz zwinięty pod złotą siateczką. Z jej twarzy zniknęła wyniosła pewność siebie; oczy wydawały się jakieś starsze, przygaszone, zamglone wspomnieniem widoku oddanych pod jej komendę strażniczek ginących w Lungold. Powiedziała do morgoli coś, czego Morgon nie dosłyszał.

- Nie - odparła morgola.

- Jadę do Ymris. - Lyra wpatrywała się z wyzwaniem w ciemnych oczach w morgolę, ale głosu nie podniosła. - Jeśli nie ze strażniczkami, to u twego boku.

- Nie.

- Matko, nie służę już w twojej straży. Wystąpiłam z niej po powrocie z Lungold, nie spodziewaj się więc, że będę ci we wszystkim bezwzględnie posłuszna. Ymris to przerażające pole bitwy... straszniejsze niż Lungold. Jadę...

- Jesteś moją ziemdziedziczką - powiedziała morgola. Twarz miała nadal spokojną, ale Morgon wyczuwał w jej umyśle lęk zimny jak heruńskie mgły. - Zabieram na Wichrową Równinę całą straż Herun. Dowództwo powierzę Goh. Ty powiedziałaś, że nie weźmiesz już włóczni do ręki, i rada byłam, że tak zdecydowałaś. Nie ma potrzeby, żebyś walczyła w Ymris, tu jesteś o wiele bardziej potrzebna.

- Na wypadek, gdybyś ty zginęła - mruknęła Lyra. - Nie rozumiem, po co sama się tam udajesz, ale jadę z tobą...

- Lyro...

- Tak zdecydowałam, matko. Nie muszę cię już słuchać. Robię, co chcę, i postanowiłam jechać z tobą.

Morgola ścisnęła mocniej czarę z winem. Sprawiała wrażenie zaskoczonej tym odruchem.

- A ja postanowiłam, że zostaniesz - powiedziała spokojnie. - I zatrzymam cię tutaj takim czy innym sposobem.

Oczy Lyry zabłyśły.

- Matko! - zaprotestowała niepewnie.

- Tak - powiedziała Morgola - jestem twoją matką, ale również Morgola. Nad Herun wisi śmiertelne zagrożenie. Chcę, żebyś tu została i broniła kraju, gdyby upadło Ymris. Śmierć nas obu w Ymris byłaby dla Herun katastrofą.

- Ale po co ty tam jedziesz?

- Bo wybierają się tam Har i Danan, i Mathom - powiedziała cicho Morgola. - Ziemwładcy królestwa ciągną do Ymris, by tam walczyć o przetrwanie... a może nawet o coś ważniejszego. W sercu królestwa zalega splot nierozwiązanych zagadek; chcę być przy ich rozwiązywaniu. Nawet ryzykując życie. Chcę poznać odpowiedzi z pierwszej ręki.

Lyra milczała. Ich twarze, oświetlone miękkim blaskiem ognia, były niemal nie do rozróżnienia w swoim szlachetnym pięknie. Ale ze złotych oczu Morgoli nie dało się niczego wyczytać, podczas gdy oczy Lyry były jak otwarta księga.

- Harfista nie żyje - wyszeptała. - Jeśli to cię interesuje.

Morgola spuściła wzrok, a potem wyciągnęła rękę i dotknęła policzka Lyry.

- W królestwie więcej jest pytań pozostających bez odpowiedzi - powiedziała - i to chyba ważniejszych. - Ściągnęła brwi. - Zagadki bez odpowiedzi mogą być straszne - dorzuciła po chwili. - Ale z niektórymi da się żyć. Co do reszty... Yrth sądzi, że to, co zrobi na Wichrowej Równinie Naznaczony Gwiazdkami, będzie przełomem.

- Czy uważa też, że konieczna jest tam twoja obecność? I skoro Wichrowa Równina ma takie ogromne znaczenie, to gdzie jest Najwyższy? Dlaczego ignoruje Naznaczonego Gwiazdkami i całe królestwo?

- Nie wiem. Może Morgon potrafi odpowiedzieć na niektóre... - Morgola uniosła nagle głowę i dostrzegła Morgona stojącego w cieniu i przychodzącego powoli do siebie.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła w powitalnym geście rękę. Yrth drgnął lekko, być może

zauważając jej oczami podchodzącego do stołu Morgona. Wydał się Morgonowi jakiś dziwny, spokrewniony z mgłami i monolitami Herun, które niedawno penetrował i poznawał. Morgon skłonił się bez słowa morgoli.

- Znalazłeś to, po co tu przybyłeś? - spytała.

- Tak. Wszystko, co zdołałem udźwignąć. Jak długo mnie nie było?

- Prawie dwa tygodnie.

- Dwa... - Głos mu się załamał. - Tak długo? Przyszły jakieś wieści?

- Niewiele. Z Hlurle przybyli kupcy po broń dla Caerweddin. Od jakiegoś czasu obserwowałam mgłę przemieszczającą się od Osterlandu na południe i dopiero dzisiaj uświadomiłam sobie, czym jest.

- Mgła? - Morgon przypomniał sobie znamię na dłoni Hara, na którą padał blask ogniska. - Vesty? Czy Har prowadzi do Ymris vesty?

- Są ich setki, ciągną przez lasy.

- To wspaniali wojownicy - odezwał się Yrth. - I nie ulękna się ymriskiej zimy.

- Wiedziałaś - zachnął się Morgon. - Mogłeś go powstrzymać. Górnicy, vesty, strażniczki morgoli... dlaczego ściągasz z królestwa taką nie wyszkoloną, nie zaprawioną w bojach armię? Ty jesteś ślepy, ale my wszyscy będziemy musieli patrzeć na rzeź tych ludzi i zwierząt...

- Morgonie - przerwała mu łagodnie morgola - Yrth do niczego mnie nie przymuszał.

- Yrth... - Morgon urwał i przesunął dłonią po twarzy, usiłując się powstrzymać od wdawania w bezcelową dyskusję.

Yrth wstał, podszedł do kominka i stanął tam ze spuszczoną głową. Po chwili rozłożył poblížnione dłonie i Morgonowi przypomniały się powykręcane bólem dłonie Detha, które widział kiedyś w blasku ogniska. I wtedy, z nieruchomej heruńskiej nocy doszło go echo dziwnego, krótkotrwałego spokoju, którego zaznał przy ognisku harfisty, w kręgu jego milczenia. Poczul niewytłumaczalną więź z harfistą, z sokołem. Raptownie ogarnęła go osobliwa tęsknota i miłość. Obserwując grę światłocienia na tej surowej, ślepej twarzy, uświadomił sobie, że oddałby wszystko - vesty, strażniczki morgoli, ziemwładców, całe królestwo - w te poblížnione, guzłowate ręce, za miejsce w cieniu sokoła.

Ta myśl sprowadziła nań błogi spokój. Zwiesił głowę i zapatrzył się w swoje odbicie w polerowanej kamiennej posadzce. Z zadumy wyrwał go głos Lyry:

- Pewnieś głodny - powiedziała, nalewając mu wina. - Przyniosę ci coś gorącego.

Wyszła z sali pełnym gracji krokiem. Na twarzy odprowadzającej ją wzrokiem morgoli Morgon zauważył znużenie, którego wcześniej tam nie widział.

- Górnicy, vesty i moje strażniczki w Ymris mogą się okazać bezużyteczni - zwróciła się do niego - ale ziemwładcy rzucają do walki wszystkie swoje siły. Na nic więcej nas nie stać.

- Wiem. - Morgon przeniósł na nią wzrok; wiedział teraz, jak ta kobieta kocha wspomnienia.

- Ghisteslwchlohm powiedział mi - wyrzucił z siebie, żeby zrewanżować się jej jakoś za wszystko, co mu dała - że czekałaś pod Lungold na Detha. Czy to prawda?

Jego obcesowość trochę ją zaskoczyła, ale opanowała się szybko i skinęła głową.

- Myślałam, że ściągnie być może do Lungold. To było ostatnie miejsce, w którym mógł się jeszcze schronić. Chciałam go zapytać... Morgonie, jesteśmy oboje zmęczeni, a harfista nie żyje. Może powinniśmy...

- Tak, nie żyje... a umarł za ciebie. Spojrzała na niego znacząco ponad stołem.

- Morgonie - szepnęła ostrzegawczo, ale on potrząsnął głową.

- To prawda. Spytaj Raederle. Albo Yrtha... on też tam był. - Czarodziej zwrócił na niego jasne, płonące oczy i Morgonowi załamał się głos, ale ciągnął, zwracając harfiście nierozwiązaną zagadkę jego życia w zamian za nic. - Ghisteslwchlohm dał Dethowi do wyboru: weźmie Raederle albo ciebie jako zakładnika, podczas gdy on zabierze mnie pod Górę Erlenstar. Deth odrzucił obie możliwości, wolał umrzeć. Sprowokował Ghisteslwchlohma, żeby ten go zabił. O mnie się nie troszczył... może uważał, że sam dam sobie radę. Ale ciebie i Raederle wyraźnie kochał. - Morgon urwał, bo morgola ukryła twarz w dłoniach. - Zraniłem cię? Nie chciałem...

- Nie - powiedziała, ale widział przecież, że płacze.

Przeklął w duchu sam siebie. Yrth wciąż na niego patrzył; zastanawiało go, jak może go widzieć, skoro twarz Raederle przesłaniały włosy. Czarodziej wyciągnął raptownie rękę, sięgając za plecy Morgona, i w jego dłoniach zmaterializowała się wysadzana gwiazdkami harfa.

Kiedy rozbrzmiały pierwsze czyste dźwięki, morgola spojrzała na Morgona, ale ten miał puste ręce. Siedział oniemiały, zapatrzony w Yrtha. Wielkie dłonie czarodzieja poruszały się bezbłędnie po idealnie nastrojonych strunach, wydobywając z nich głosy wiatru i wody. Była to piękna muzyka z długich, czarnych nocy pod Górą Erlenstar; muzyka, której od wieków słuchali królowie w całym królestwie. Była to muzyka wielkiego czarodzieja, którego nazywano niegdyś harfistą z Lungold, i morgola słuchała jej z fascynacją. Potem harfistą zaintonował inną pieśń i morgoli krew odpłynęła z twarzy.

Była to poruszająca, przepiękna pieśń, która przypominała Morgonowi mglisty

zmierzch nad heruńskimi moczarami, krąg oświetlonych blaskiem ognia lic strażniczek morgoli, Lyrę wynurzającą się bezgłośnie z mroku nocy, mówiącą coś... Wyteżył słuch, ale spojrzawszy na bladą, napiętą twarz morgoli wpatrzonej w Yrtha, przypomniał sobie, że to pieśń ułożona przez Detha tylko dla niej.

Przeszedł go dreszcz. Zastanawiało go, jak harfistą się przed nią wytłumaczy. Palce Yrtha wydobyły z harfy ostatni, łagodny akord i spoczęły na strunach, by wytłumić ich drgania. Czarodziej siedział nieruchomo ze spuszczoną głową, trzymając ramę harfy nad gwiazdkami. Odblask ognia tańczył nad nim, tkając w powietrzu mozaikę światłocienia. Płynęły minuty, a on się nie odzywał, siedział milczący jak drzewo, ziemia albo twarda, pobrużdżona granitowa skała. Morgon, wsłuchując się w owo milczenie, uświadomił sobie, że to nie uchylanie się od odpowiedzi, lecz właśnie odpowiedź.

Zamknął oczy. Serce podeszło mu do gardła. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Milczenie harfisty nappełniło go spokojem, który znajdował głęboko w żywych istotach w całym królestwie. Spokój ten wniknął w jego myśli, wniknął w serce i odebrał zdolność logicznego rozumowania. Wiedział tylko, że to, czego tak długo i bezskutecznie szukał, było zawsze, nawet w najgorszych chwilach, tuż obok.

Harfista wstał. Jego zmęczona, stara twarz przywodziła na myśl pobrużdżone wichrami zbocze góry, poblížnione oblicze kólestwa. Patrzył długo na morgolę. Morgola poblądła jeszcze bardziej i spuściła wzrok na blat stołu. Wtedy podszedł do Morgona i przewiesił mu harfę przez ramię. Morgon wyczuwał jak przez sen zwinne, szybkie ruchy czarodzieja. Yrth musnął przelotnie policzek Morgona, a potem wszedł w ogień i rozpląnął się w nim.



Morgon otrząsnął się z odrętwienia i cisnął swój umysł w noc, ale gdziekolwiek się zwrócił, napotykał jedynie nieruchomość. Wstał bez słowa. Morgola też milczała. Siedziała sztywno i wpatrywała się w odbłask płomyka świecy w polerowanym blacie stołu. Na jej policzki powracał powoli rumieniec. Morgon, obserwując tę zmianę wyrazu jej twarzy, odzyskał wreszcie głos.

- Dokąd on poszedł? - wyszeptał. - Rozmawiał z tobą.

- Powiedział... powiedział, że popełnił właśnie jedyne głupstwo w całym swoim długim życiu. - Morgola złożyła dłonie i wbiła w nie wzrok, koncentrując się z wysiłkiem. - Że nie zamierzał odkryć się przed tobą, dopóki nie zgromadzisz takiej mocy, byś był w stanie sam o siebie zadbać. Odszedł, ponieważ jest teraz dla ciebie zagrożeniem. Mówił też... mówił inne rzeczy. - Pokręciła powoli głową i podjęła: - Powiedział, że nie zdawał sobie sprawy, że jego wytrzymałość ma swój kres.

- Wichrowa Równina. Poszedł do Ymris. Morgola podniosła wzrok na Morgona, ale nie zaprzeczyła.

- Znajdź go, Morgonie. Bez względu na to, jak niebezpieczne może się to dla was okazać. Wystarczająco długo był sam.

- Znajdę. - Morgon odwrócił się i ukląkł przed Raederle. Patrzyła w ogień; odgarnął z jej twarzy odbicie płomieni. Spojrzała na niego. W jej półludzkich oczach było coś starożytnego, uwznioślonego, tak jakby miała wgląd we wspomnienia Najwyższego. Wziął ją za rękę. - Chodź ze mną.

Wstała. Sprzągnął jej umysł ze swoim i wyrzucił oba daleko w heruńską noc, ku głązowi po drugiej stronie moczarów, który zapamiętał ze swoich peregrynacji. Do sali weszła Lyr, niosąc mu kolację, a on postąpił krok w jej kierunku i zniknął.

Znaleźli się wśród mgły. Nie widzieli nic prócz widmowej bieli, która przywodziła na myśl zgromadzenie duchów umarłych. Morgon wysłał swą świadomość poza tę mgłę, poza niskie wzgórza, dalej, niż zdarzało mu się do tej pory sięgać umysłem. Zakotwiczył myśli w sękatym pniu sosny i podciągnął się do niej.

Znalazłszy się obok drzewa, w szumiącej na wietrze puszczy pomiędzy Herun a Ymris, poczuł, że opuszcza go nadwerężona moc. Miał trudności z koncentracją; wiatr zdawał się strzepić i rozwiewać myśli. Ciało, któremu do tej pory niewiele poświęcał uwagi, odmawiało posłuszeństwa. Dygotał z zimna i wyczerpania; w nozdrzach miał jeszcze

rozkoszny aromat gorącego posiłku, który niosła mu Lyra. Przed oczyma przelatywały mu strzępy życiorysu harfisty. Słyszał jego subtelny, obojętny głos w rozmowach z królami, z kupcami, z Ghisteslwchlohmem, głos przemawiający samymi zagadkami, których sensu należało się doszukiwać nie w słowach, lecz w tym, co nie zostało powiedziane. I nagle pewne wspomnienie sprawiło, że odzyskał głos. Północny wiatr przenikał go do szpiku kości.

- Omal go nie zabiłem - wykrztusił ze zgrozą. - Tropiłem Najwyższego przez całe królestwo, żeby go zabić. - Ostry, znajomy ból przeszył mu serce. - Zostawił mnie w rękach Ghisteslwchlohma. Mógł jednym słowem uśmiercić Założyciela. A grał tylko na harfie. Nic dziwnego, że go nie rozpoznałem.

- Zimno mi, Morgonie. - Raederle przytuliła się do niego; twarz musnęły mu jej zimne włosy. Usiłował zebrać myśli, ale wiatr znowu je rozpędził. Przed oczyma stanęła mu po raz nie wiadomo który twarz harfisty wpatrującego się niewidzącym wzrokiem w niebo.

- Był Mistrzem...

- Morgonie, - Wyczuł, jak dziewczyna stara się połączyć z jego umysłem. Zaskoczony, wpuścił ją w siebie. Jej czyste myśli sprowadziły na niego spokój. Odsunął ją i spojrzał w ciemnościach w jej oczy.

- Nigdy nie byłaś taka rozgniewana z mojego powodu.

- Och, Morgonie. - Znowu do niego przyłgnęła. - Sam to powiedziałeś: trwasz jak wszystkie niezniszczalne rzeczy w królestwie. On chciał, żebyś taki się stał, oddał cię więc Ghisteslwchlohnowi. Źle to ujęłam... - dorzuciła szybko, wyczuwając, jak tężeją mu mięśnie. - Nauczyłeś się sztuki przetrwania. Myślisz, że jemu łatwo to przyszło? Grać przez stulecia na harfie w służbie Ghisteslwchlohma i czekać na nadejście Naznaczonego Gwiazdkami?

- Nie - przyznał po chwili Morgon, wspominając kalekie dłonie harfisty. - Dla siebie był równie bezlitosny jak dla mnie. Ale dlaczego?

- Znajdź go i zapytaj.

- Nie mogę się nawet poruszyć - wyszeptał. Znowu poczuł, jak Raederle wnika w jego umysł,

i poddał się jej z ufnością i bez oporu. Czekał wyrozumiale, aż dziewczyna znajdzie jakiś nowy punkt odniesienia. Znalazła go w końcu i podciągnęła się doń. Nie wiedział, dokąd się przemieszczają, ale wyczuwał, że nie było to daleko. Uzbroidł się w cierpliwość. Posuwali się tak krok za krokiem przez knieję. O świcie dotarli do zachodniej granicy Ymris. Tam zatrzymali się na odpoczynek. Wstawało czerwone słońce - zwiastun burz i złych wiatrów.

Przez Marcher lecieli pod postaciami wron. Surowe, pagórkowate pogranicze wydawało się spokojne; ale pod wieczór wrony wypatrzyły karawanę kupieckich wozów,

toczącą się w kierunku Caerweddin i eskortowaną przez oddział zbrojnych. Morgon zniżył lot i siadając na gościńcu, sprzął się z umysłem jednego z żołnierzy, by uniknąć ataku w trakcie zmiany postaci. Dobył miecz z materializującej się w powietrzu pochwy i podstawił go zdębiałemu mężczyźnie trzema gwiazdkami pod nos. Zalśniły słabo w szarówce wieczoru.

- Morgon z Hed - wykrztusił wojownik. Był to zarośnięty, pokryty bliznami weteran, oczy miał ponure i przekrwione. Uniósł dłoń, by zatrzymać karawanę wozów, i zeskoczył z konia.

- Szukam Yrtha - powiedział Morgon. - Ewentualnie Aloila. Albo Astrina Ymrisa.

Mężczyzna z bałwochwalczą czią dotknął gwiazdek na jelcu miecza i odskoczył zaraz przestraszony, kiedy na ramieniu Morgona siadła wrona.

- Jestem Lien Marcher - wyrzucił z siebie - kuzyn wielkiego lorda Marcher. Nie znam żadnego Yrtha. Co zaś do Astrina Ymrisa, to ten jest w Caerweddin; on ci powie, gdzie szukać Aloila. Wiozę broń i prowiant do Caerweddin. Będąc na twoim miejscu, Panie od Gwiazdek, nie pokazywałbym się w tej skazanej na zagładę krainie.

- Przybyłem tu, by walczyć - powiedział Morgon. I ziemia zaszeptęła do niego prawem, legendami, pogrzebanymi w niej szczątkami umarłych, a jego ciało zapagnęło się w nią wtopić. Mężczyzna przesunął wzrokiem po jego szczupłej twarzy i bogatej, znoszonej tunice, która wydawała się strojem dosyć absurdalnym pośród tych niebezpiecznych wzgórz.

- Hed - powiedział i uśmiechnął się. - Cóż. Wszystkiego innego już próbowaliśmy. Zaproponowałbym ci, panie, żebyś zabrał się z nami, ale myślę, że podróżując samotnie, będziesz bezpieczniejszy. Chyba tylko z jednym człowiekiem Astrin chciałby się spotkać bardziej niż z tobą, ale ja bym się o to nie zakładał.

- Z Heureu. Nadal nie ma o nim żadnych wieści? Mężczyzna pokiwał głową.

- Jest gdzieś w królestwie między umarłymi i żywymi. Nawet czarodziej nie może wpaść na jego ślad. Myślę...

- Znajdę go - wszedł mu w słowo Morgon. W oczach mężczyzny pojawiła się nadzieja.

- Potrafisz? Nie udało się to nawet Astrinowi, a jego sny pełne są myśli Heureu. Panie, czym... czym ty jesteś, że stoisz tu, drząc z zimna, i każesz mi wierzyć w swoją moc? Przeżyłem rzeź na Wichrowej Równinie. Bywają takie noce, że budząc się ze swoich snów, żałuję, iż tam nie poległem. - Pokręcił głową; wyciągnął rękę, ale opuścił ją zaraz, nie dotykając Morgona. - Idź już. I ukrywaj swoje gwiazdki. Zdążaj bezpiecznie do Caerweddin. Spiesz się, panie.

Wrony skierowały się na wschód; mijały inne długie karawany wozów i stada koni;

przysiadły na krótki odpoczynek w podcieniach wielkich domostw, których zadymione dziedzińce rozbrzmiewały dźwięcznymi odgłosami kowalskich młotów i roily się od ludzi maszerujących do Caerweddin. Byli wśród nich młodzi chłopcy, ogorzali pasterze, kmiecie, kowale, nawet kupcy. Wrony, mobilizowane tym widokiem, leciały co sił w skrzydłach z biegiem rzeki Thul przez umierającą krainę.

Do Caerweddin dotarły o zachodzie słońca. Miasto otaczały tysiące ognisk, ale w samym porcie było pusto; statki z dostawami z Isig i Anuin wchodziły tam dopiero z wieczornym przyplywem. Piękny dwór królów Ymris, wzniesiony na gruzach miasta Panów Ziemi, płonął niczym klejnot w ostatnich promieniach słońca. Wrony wylądowały w cieniu zamkniętej bramy i powróciły do swoich ludzkich postaci.

Popatrzyli po sobie bez słowa. Morgon przyciągnął do siebie Raederle. Ciekaw był, czy i w jego oczach maluje się takie znużenie. Przeszukał umysłem królewski dwór i napotkał tam umysł Astrina.

Pojawił się przed ziemdziedzicem Ymris siedzącym samotnie przy biurku w małej komnacie nad mapami, meldunkami i listami dostaw. W komnacie było ciemno, ale on nie zapalał świec. Na widok Morgona i Raederle nie okazał w pierwszej chwili zaskoczenia, ale potem wyraz jego twarzy uległ zmianie. Wstał, krzesło przewróciło się z łomotem.

- Gdzie byłeś?

Z pytania tego przebijała niewysłowiona ulga, radość i podniecenie.

- Rozwiązywałem zagadki - odparł Morgon.

Astrin wyszedł zza biurka i podsunął krzesło Raederle. Nalał jej wina i z twarzy dziewczyny zaczęło ustępować odrętwienie. Klęczący obok niej Astrin spojrzał z niedowierzaniem na Morgona.

- Skąd przybywacie? Myślałem właśnie o tobie i Heureu... o was i o Heureu. Chudyś jak patyk, ale przynajmniej cały. Wyglądasz... jeśli kiedykolwiek widziałem człowieka, który wygląda jak broń, to ty nim jesteś. Tę komnatę wypełnia bezgłośny grzmot mocy. Skąd jej nabrałeś?

- Z całego królestwa. - Morgon nalał sobie wina i usiadł.

- Potrafisz ocalić Ymris?

- Nie wiem. Być może. Nie wiem. Muszę odnaleźć Yrtha.

- Yrtha? Myślałem, że jest z tobą. Morgon pokręcił głową.

- Opuścił mnie. Muszę go znaleźć. Jest mi potrzebny... - Głos ścichł mu do szeptu; obracając w dłoniach złotą czarukę, wpatrzył się w płonący na kominku ogień. Do rzeczywistości przywołał go głos Astrina:

- Nie widziałem go, Morgonie.

- Czy jest tu Aloil? Jego umysł jest sprzęgnięty z umysłem Yrtha.

- Nie. Aloil jest z Mathomem, który zaległ ze swoją armią w lasach niedaleko Drogi Kupców. Morgonie. - Astrin pochylił się i wziął go w objęcia.

- Ja, głupi, uganiałem się za jego cieniem po całym królestwie, a on był cały czas przy mnie. Grałem z nim na harfie, walczyłem z nim, próbowałem go zabić i kochałem go, a w chwili, kiedy zorientowałem się wreszcie, kim naprawdę jest, on znika, zostawia mnie...

- O czym ty mówisz?

Morgon, rozpamiętując własne słowa, spojrzał na niego. Zobaczył znowu obcą, ziemistą twarz, która pochylała się nad nim, kiedy ocknął się niemy, bezimienny w nieznannej krainie. Stojący przed nim wojownik w ciemnej, obcisłej tunice narzuconej na kolczugę, stał się znowu półczarodziejem z chaty nad morzem, próbującym zgłębić tajemnice kości miasta na Wichrowej Równinie.

- Wichrowa Równina... - wyszeptał. - Nie. Nie poszedłby tam beze mnie. A ja nie jestem jeszcze gotów.

- Kogo ty właściwie szukasz? - spytał Astrin z pobladłą twarzą.

Morgon wzdrygnął się; przypomniała mu się pierwsza mroczna zagadka, którą zadał mu harfista dawno temu w słoneczny jesienny dzień w porcie Tol. Przełknął z trudem ślinę, zastanawiając się, za czym tak naprawdę goni.

Raederle poruszyła się niespokojnie na krześle, wtuliła twarz w przewieszoną przez oparcie futrzaną opończę. Oczy miała zamknięte.

- Znalazłeś odpowiedzi na wiele zagadek - wymruczała. - Gdzież może być odpowiedź na tę ostatnią, nierozwiązaną, jeśli nie na Wichrowej Równinie?

Morgon spojrzał na nią z powątpiewaniem, a ona zakopała się głębiej w futro i znieruchomiała; Astrin wyjął jej z dłoni czarę. Morgon zerwał się na nogi i przeszedł przez komnatę. Pochylił się nad mapą Ymris rozpostartą na biurku Astrina.

- Wichrowa Równina... - Skupił wzrok na zacienionych obszarach mapy. Dotknął palcem ciemnej wysepki w zachodnim Rhun. - Co to jest?

Astrin, klęczący obok kominka, podniósł się na równe nogi.

- Starożytne miasto - powiedział. - Zajęli niemal wszystkie miasta Panów Ziemi w Meremont i w Tor, częściowo również w Ruhn.

- Potrafisz przejść przez Wichrową Równinę?

- Morgonie, sam poszedłbym tam z tobą bez wahania, ale czy możesz mi podać choć jeden powód, którym przekonałbym swoich dowódców do wyprowadzenia całej armii z

Caerweddin i pozostawienia miasta bez obrony dla jakiejś kupy kamieni?

- Potrafisz przejść?

- Tedy. - Astrin wykreślił Unię biegnącą z Caerweddin między Tor a ciemnym obszarem we wschodnim Umber. - Z pewnym ryzykiem. - Wskazał południową granicę Meremont. - Tu stoi armia Mathoma. Gdybyśmy mieli przeciwko sobie tylko ludzi, nie mieliby szans wzięcia nas w dwa ognie między dwie potężne armie. Ale ich sił nie potrafię oszacować, Morgonie. Nikt tego nie potrafi. W swoim czasie zdobędą wszystko, co chcą. Nawet już nie udają, że z nami walczą; po prostu przechodzą po nas, ilekroć staniemy im na drodze. Królestwo jest dla nich szachownicą, a my pionkami na niej... a gra, którą prowadzą, wydaje się niepojęta. Podaj mi powód skierowania ludzi na południe, rzucenia ich do walki na przenikliwym zimnie o krainę, której od stuleci nikt nie zamieszkiwał.

Morgon wskazał na Wichrowej Równinie punkt, w którym stała samotna wieża.

- Z północy nadciąga Danan ze swoimi górnikiem. I Har z vestami. I morgola ze swoją strażą. Yrth ściąga ich na Wichrową Równinę. Czyż to nie wystarczający powód, Astrinie. Połączyć siły z ziemwładcami królestwa?

- Po co?! - Astrin rąbnął pięścią w mapę, ale Raederle nawet nie drgnęła. - Po co?

- Nie wiem.

- Zatrzymam ich w Marcher.

- Nie zatrzymasz. Ciągnie ich na Wichrową Równinę, tak jak mnie, i jeśli chcesz nas wiosną ujrzeć żywych, to prowadź swoją armię na południe. Nie wybierałem pory roku. Ani armii, która ciągnie za mną przez królestwo. Ani samej wojny. Ja... - Urwał, kiedy na jego ramionach spoczęły dłonie Astrina. - Astrinie. Nie mamy czasu. Zbyt wiele się naoglądałem. Nie mam wyboru. Nie mogę czekać.

Astrin przewiercał go swoim jedynym okiem.

- Kto zatem dokonuje za ciebie wyborów?

- Chodź ze mną na Wichrową Równinę. Książę puścił go.

- Pójdę - szepnął.

Morgon odwrócił się i znowu usiadł.

- Muszę ruszać - powiedział ze zmęczeniem w głosie.

- Jeszcze dziś?

- Tak. Prześpię się trochę i w drogę. Muszę poznać odpowiedzi... - Spojrzał na wtuloną w futro Raederle. - Jej dam się wyspać - powiedział cicho. - Podąży za mną, kiedy się obudzi. Powiedz jej, żeby uważała, lecąc nad Wichrową Równiną.

- Dokąd się udajesz? Morgon przymknął oczy.

- Idę szukać Aloila... Szukać wiatru.

Spał bez snów i obudził się kilka godzin później. Astrin okrył Raederle; ledwie było ją widać pod podbitymi futrem kocami. Astrin czuwał, leżąc z dobytym mieczem na skórach rzuconych na podłogę przy kominku. Morgon myślał, że śpi, ale kiedy wstawał, Astrin otworzył zdrowe oko. Nie odezwał się. Morgon pochylił się nad nim i dotknął jego ramienia w milczącym geście pożegnania. Potem wyfrunął w noc za kamiennymi ścianami.

Wiatr tarosił go z sadystycznym upodobaniem. Morgon wolał nie korzystać ze swej mocy na trasie z Caerweddin do Wichrowej Równiny. O świcie rozpadało się. Zimny, zacinający deszcz siekł osoviałe drzewa i martwe pola. Morgon leciał cały dzień, walcząc z wiatrem. O zmierzchu dotarł do Wichrowej Równiny.

Zniżył lot i sunął pod postacią wielkiej, czarnej wrony tuż nad nieopogrzebanymi trupami żołnierzy armii Heureu. Równina zastygła jakby w bezruchu; w powietrzu nie widziało się ptaka, po ziemi nie przemknęło najmniejsze zwierzę. Jak okiem sięgnąć, zaścielała ją porzucona broń - deszcz padał na wysadzone drogimi kamieniami głównie mieczy, na części pancerzy, na końskie czaszki i kości ludzi rozrzucone po wilgotnej ziemi. Tylko to widziały oczy wrony lecącej powoli w kierunku zburzonego miasta; ale Morgon wyczuwał instynktownie milczące, śmiertelne ostrzeżenie, rozbrzmiewające nad całą równiną.

Minął w locie wielką, otoczoną spiralą schodów wieżę, która górowała nad miastem, wbijając się w noc. Oczyścił umysł z wszelkich myśli, zachowując jedynie świadomość zapachów wilgotnej ziemi i powolnego, rytmicznego bicia swoich skrzydeł. Zatrzymał się dopiero o północy, na widok ognisk armii Mathoma płonących nad brzegiem rzeki, niedaleko Drogi Kupców. Wylądował pod grubym, bezlistnym dębem i przesiedział tam nieruchomo do rana.

Przenikliwie zimny świt powlókł ziemię warstwą szronu. Morgon, zmieniając postać, dygotał na całym ciele; para oddechu zamarała w powietrzu. Kierując się swądem dymu i aromatem grzanego wina, trafił do ognisk nad rzeką. Obozu pilnowali umarli wojownicy z An. Chyba wyczuli w nim coś z An, bo przepuścili go, nie pytając o hasło.

Znalazł Aloila rozmawiającego z Taliesem przy ognisku przed królewskim namiotem. Podeszedł do czarodziejów i stanął w ciepłe bijącym od płomieni. Spomiędzy nagich drzew prześwitywały inne ogniska, ludzie wychodzili z namiotów, rozprostowywali kości. Parskały konie, szarpiąc się na uwięzi. Namioty, okrycia koni, broń i tuniki ludzi, wszystko to nosiło wojenne barwy Anuin: błękit z purpurą, z czernią smutku w tle. Umarli, a przynajmniej ci, którzy zadali sobie trud przyobleczenia wspomnień swoich ciał, nosili własne, starożytne

barwy. Kręcili się między żyjącymi, ale żyjący zubożeli już na wiele rzeczy - bardziej interesowali się swoimi śniadaniem niż nimi.

Ogrzawszy się, Morgon ściągnął na siebie uwagę Aloila. Wielki czarodziej urwał w pół zdania i zaaferowany jeszcze rozmową spojrzął nań płonącem wzrokiem nad ogniskiem. W jego błękitnych oczach pojawiło się zdumienie.

- Morgon...

- Szukam Yrtha - odezwał się Morgon. - Astrin powiedział mi, że go tu zastanę. - Talies uniósł cienkie brwi i chciał coś powiedzieć. Ale zamiast tego wstał, podszedł do królewskiego namiotu i odchylił połę. Powiedział coś i po chwili z namiotu wynurzył się Mathom.

- Yrth był tu przed chwilą - powiedział Talies i Morgon odetchnął. - Jest gdzieś w pobliżu. Jak, na Hel, udało ci się przedostać przez Wichrową Równinę?

- Nocą. Pod postacią wrony. - Spojrzął w czarne, badawcze oczy króla An.

- Można tu zamarznąć na śmierć - powiedział Mathom, ściągając opończę i narzucając ją na ramiona Morgona. - Gdzie zostawiłeś moją córkę?

- Śpi w Caerweddin. Przyleci za mną, kiedy się obudzi.

- Przez Wichrową Równinę? Sama? Niezbyt się o siebie troszczycie. - Podsycił ogień i płomienie strzeliły pod niskie konary dębu.

- Czy Yrth był u ciebie? - spytał Morgon, owijając się szczelnie opończę. - Dokąd poszedł?

- Nie wiem. Chyba na kubek grzanego wina. To nie jest pora roku dla starców. Czemu pytasz? Masz tu dwóch wielkich czarodziejów, obaj do twoich usług. - Nie czekając na odpowiedź, zerknął pytająco na Aloila. - Jesteś sprzęgnięty z jego umysłem. Gdzie teraz jest?

Aloil, wpatrzony w płonące dębowe polana, pokręcił głową.

- Może drzemie. Jego umysł jest wyciszony. Zmęczyła go podróż przez Ymris.

- Morgona, jak widzę, też - zauważył Talies. - Dlaczego Yrth nie podróżował z tobą?

Morgon nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Przesunął ręką po włosach i zobaczył przelotny błysk w kruczonych oczach.

- Yrth miał, bez wątpienia, swoje powody - powiedział Mathom. - Człowiek bez oczu widzi cuda. Zatrzymałeś się w Caerweddin? Czy Astrin nadal ma na pieńku ze swoimi dowódcami?

- Być może. Ale prowadzi całą armię na Wichrową Równinę.

- Jak to? - zachnął się Aloil. - Nic mi nie powiedział, a widziałem się z nim trzy noce temu.



- Wyruszył na moją prośbę - odparł Morgon. - Jest już w drodze.

Zaległo milczenie. Obok ogniska przejechał na koniu wartownik w złotej zbroi nałożonej na objedzony przez robactwo szkielet. Mathom odprowadził go wzrokiem.

- A co widzi człowiek o jednym oku? - mruknął i zaraz odpowiedział sam sobie, drżącym głosem: - Death... Śmierć.

- Nie pora teraz na zagadki - odezwał się Aloil. - Jeśli droga między Umber a Tor jest przejezdna, będzie na równinie za cztery dni. Jeśli nie... przygotuj się lepiej do marszu na północ, żeby śpieszyć mu z odsieczą. Gdyby wpadł w pułapkę, nim by dotarł do równiny, wytraciłby wszystkie siły Ymris. Mógłby stracić Ymris. Czy wiesz, co czynisz? - zwrócił się do Morgona. - Posiadłeś potężną moc. Ale czy jesteś gotów z niej korzystać?

Talies położył mu dłoń na ramieniu.

- Masz umysł ymriskiego wojownika - powiedział - zdecydowany i pełen poezji. Ja również nie jestem mistrzem zagadek, ale żyję od wieków w Trzech Prowincjach i nauczyłem się subtelności. Czy nie rozumiesz, do czego zmierza Naznaczony Gwiazdkami? Ściąga siły królestwa na Wichrową Równinę, bo nie zamierza walczyć sam. Wichrowa Równina. Astrin to przewidział. Yrth to przewidział. Tam rozegra się rozstrzygająca bitwa...

W oczach Aloila pojawiły się iskierki nadziei. Przeniósł wzrok na Morgona.

- Sądysz, że na Wichrowej Równinie jest Najwyższy?

- Sądzę - odparł Morgon - że gdziekolwiek jest, to jeśli go szybko nie odnajdę, wszyscy zginiemy. Rozwiązałem o jedną zagadkę za dużo. - Pokręcił głową, kiedy obaj czarodzieje otworzyli usta, by coś powiedzieć. - Idźmy na Wichrową Równinę. Tam podzielę się z wami odpowiedziami, które znalazłem. Tam od razu powinienem się udać, ale myślałem, że może... - Urwał. Mathom dokończył za niego:

- Myślałeś, że Yrth tam jest. Harfista z Lungold. - Wydał z siebie chrapliwy dźwięk, przywodzący na myśl kruczy chichot. Wpatrywał się w ogień, tak jakby widział w nim końcowy fragment jakiegoś snu. Odwrócił szybko wzrok, ale Morgon zdążył jeszcze zobaczyć jego oczy, czarne i bez wyrazu, jak oczy jego umarłych toczonych przez prawdę.

\* \* \*

Morgon stał pośród drzew na skraju Wichrowej Równiny. Zapadał zmierzch, a on patrzył, jak noc wsysa w siebie znowu wyludnione miasta i wysokie, szumiące trawy. Stał tak od wielu godzin nieruchomo, jak stary, zakorzeniony głęboko w ziemi dąb, nie zdając sobie z tego sprawy. Bezgwiezdna noc nasączała czernią nawet lśniące jak klejnoty kamienie, z których wzniesiono wieżę. W końcu drgnął, powróciła mu świadomość własnego ciała. Kiedy

zrobił krok w stronę wieży, rozstąpiły się niespodziewanie chmury. W przestrzeń między nimi dryfowała samotna gwiazda.

Zatrzymał się u stóp schodów i spojrzał w górę, tak jak za pierwszym razem, pewnego dżdżystego jesiennego dnia przed dwoma laty. Przypomniał sobie, że wówczas nie wzbudziły jego zainteresowania. Odwrócił się i odszedł. Schody były ze złota i zgodnie z legendą wiły się w nieskończoność, odrywając na zawsze od ziemi.

Morgon pochylił głowę, jakby ruszał pod silny wiatr, i wstąpił na nie. Ściany wieży były z płonącej, lśniącej, międzygwiazdnej czerni. Złote schody okręgały spiralnie rdzeń wieży, pnąc się łagodną stromizną w górę. Po pierwszym okrążeniu czern przeszła w intensywny karmazyn. Wiatr się wzmógł. Stopnie przybrały barwę kości.

Po trzecim okrążeniu głos wiatru znowu uległ zmianie. Pojawiły się w nim tony, które wydobywał z harfy na północnych rubieżach. Ręce świerzbiały go, by chwycić za harfę i zawtórować ich pieśni. Ale się opanował. Gra na harfie mogłaby go teraz kosztować życie. Po czwartym okrążeniu ściany stały się złote, a kolor schodów przywodził na myśl gwiazdny żar. Schody wiły się bez końca w górę; równina i zburzone miasto były coraz dalej i dalej. Im wyżej, tym chłodniejszy był wiatr. Na dziewiątym poziomie Morgon odniósł wrażenie, że wspina się na górę. Wiatr, schody i ściany były tu przezroczyste jak stopniały śnieg. Spirala schodów stawała się coraz ciaśniejsza, z czego wywnioskował, że niedaleko już do szczytu. Ale na następnym poziomie wszedł w niesamowitą ciemność, tak jakby schody tutaj wykuto z nocnego wiatru. Ta ciemność zdawała się nie mieć końca, ale kiedy wreszcie się z niej wynurzył, zobaczył księżyc dokładnie tam, gdzie widział go ostatnio. Piął się dalej. Ściany przybrały piękną barwę szarego przedświtu; schody były blad różowe. Wiatr dał bezlitośnie, odzierał go z ludzkiej postaci. Na wpół człowiek, na wpół wiatr, szedł dalej, a barwy wokół zmieniały się jak w kalejdoskopie. I w końcu zrozumiał, jak zrozumiało to wielu przed nim, że może krążyć tak wśród tych przemian w nieskończoność.

Zatrzymał się. Nie widział już miasta w dole. Spojrzał w górę i zobaczył tuż nad sobą zwodniczy szczyt wieży. Ale z takiej odległości widział go już od kilku godzin. Zrodziło się w nim podejrzenie, że brnie przez jakiś senny koszmar, który od tysięcy lat zalega pomiędzy tymi zapomnianymi kamieniami. I nagle uświadomił sobie, że to nie sen, lecz iluzja, starożytna zagadka powiązana z czymś umyślnym, i że on od samego początku nosi w sobie odpowiedź na nią.

- Death - powiedział cicho. - Śmierć.

Wokół wyrosły ściany, otoczyły go, w granatowym kamieniu otworzyło się dwanaście okien, wpuszczając do środka niespokojny, szemrzący wiatr. Poczłł czyjąś obecność i odwrócił się gwałtownie, powracając do własnej postaci. Przed nim stał Najwyższy. Miał pobliźnione dłonie czarodzieja i szlachetną, wyniszczoną twarz harfisty. Ale oczy nie należały ani do jednego, ani do drugiego. Były to oczy sokoła, bystre, przesywające, pałające przezrazającą potęgą. Unieruchomiły go. Pożałował, że wypowiedział to imię, którego mroczną stronę po tak długim czasie w końcu odkrył. Po raz pierwszy w życiu nie miał odwagi zadać żadnego pytania.

- Musiałem cię odnaleźć... - wyszeptał w pustkę milczenia Najwyższego - ...muszę zrozumieć.

- Nadal nie rozumiesz? - Głos Najwyższego zlewał się niemal z poszumem wiatru. W następnej chwili Najwyższy zepchnął głęboko w siebie swoją moc i stał się harfistą, cichym, znajomym człowiekiem, przed którym Morgon nie czuł już takiego respektu. Jednak sam fakt tej przemiany znowu odebrał Morgonowi głos, wyzwalając w nim sprzeczne emocje. Usiłował nad nimi zapanować. Kiedy jednak harfistą wyciągnął rękę i dotknął gwiazdek najpierw u jego boku, a potem na plecach, przywołując je do istnienia, chwycił go za nadgarstki.

- Dlaczego?

Przeszył go znowu wzrok sokoła; nie potrafił odwrócić oczu. Odnosił wrażenie, że czyta w nich wspomnienia, że ogląda milczącą, odwieczną grę, którą prowadził Najwyższy, to z Panami Ziemi, to z Ghisteslwhlohmem, to z nim - Morgonem. Widział nie kończący się korowód zagadek, z których nie jedna sięgała swymi korzeniami początków czasu. Oto Pan Ziemi wynurza się samotnie z cieni jakiejś wielkiej, niedokończonej wojny... ukrywa się przez tysiące lat, to pod postacią liścia na leśnej ściółce, to w słonecznym promieniu sunącym po pniu sosny. Potem na tysiąc lat przyjmuje twarz czarodzieja, a na kolejne tysiąc lat nieruchomą, tajemniczą twarz harfisty i patrzy jego pozbawionymi wyrazu oczami na pokrętne ścieżki mocy.

- Dlaczego? - szepnął znowu i zobaczył siebie na Hed, siedzącego w porcie w cieniu harfisty Najwyższego i trącającego struny harfy, na której nie potrafi grać. Wiatr od morza albo dłoń Najwyższego odsłania gwiazdki na jego czole. Harfista dostrzega je, rozpoznaje obietnicę z przeszłości tak odległej, że pogrzebała w mrokach zapomnienia jego imię.

Odebrało mu mowę; przekuwał swoje milczenie w zagadki...

- Ale dlaczego? - Oczy szczypały go od łez albo potu. Przetarł je; zacisnął znowu dłonie na przegubach Najwyższego, tak jakby tylko to mogło go uchronić przed zmianą postaci. - Mogłeś uśmiercić Ghisteslwchlohma samą myślą. Zamiast tego służyłeś mu. Ty. Ty mnie jemu wydałeś. Tak długo byłeś jego harfistą, że zapomniałeś własnego imienia?

Najwyższy drgnął; teraz, on chwycił Morgona za rękę.

- Zastanów się. Jesteś wszak mistrzem zagadek.

- Prowadziłem grę, do której mnie wyzwałeś. Ale nie wiem dlaczego...

- Zastanów się. Znalazłem cię na Hed niewinnego, zacoфанego, nieświadomego własnego przeznaczenia. Nie potrafiłeś nawet grać na harfie. Kto w tym królestwie był w stanie obudzić drzemiącą w tobie moc?

- Czarodzieje - wycedził Morgon przez zaciśnięte zęby. - Mogłeś powstrzymać zagładę Lungold. Byłeś tam. Czarodzieje mogliby wtedy przetrwać na wolności, wyszkolić mnie...

- Nie. Gdybym użył swojej mocy do powstrzymania tamtej bitwy, musiałbym stanąć do walki z Panami Ziemi, a nie byłem jeszcze do tego gotowy. Zniszczyliby mnie. Pomyśl o ich twarzach. Przypomnij je sobie. Twarze Panów Ziemi, które widziałeś pod Górą Erlenstar. Wywodzę się z nich. Dzieci, które niegdyś kochali, zostały pogrzebane pod Górą Isig. Jak, przy całej swej niewinności, mogłeś je zrozumieć? Ich tęsknotę i ich brak poszanowania prawa? Kto w królestwie mógłby cię tego nauczyć? Chciałeś mieć możliwość wyboru. Podsunąłem ci ją. Mogłeś zatrzymać moc, którą przejąłeś od Ghisteslwchlohma, moc bezprawną, destrukcyjną, nie uznającą miłości. Mogłeś też połykać ciemność, aż ją ukształtujesz, zrozumiesz, a i tak będziesz krzyczał o więcej. Dlaczego, wyrwawszy się spod władzy Ghisteslwchlohma, to nie jego ściagałeś, lecz mnie? On zabrał ci moc prawa ziemi. Ja zabrałem ci ufność, miłość. Poszedłeś za tym, co najbardziej sobie ceniłeś...

Morgon zacisnął pięści i wstrzymał oddech, formułując pytanie.

- Czego ode mnie chcesz?

- Zastanów się, Morgonie. - Spokojny, znajomy głos złagodniał nagle, stał się ledwie dosłyszalny. - Potrafisz kształtować dzikie serce Osterlandu, potrafisz kształtować wiatr. Widziałeś mojego nieżyjącego, pogrzebanego pod Górą Isig syna. Przejąłeś od niego gwiazdki własnego przeznaczenia. I pomimo mocy, jaką posiadałeś, i gniewu, jaki tobą miotał, odnalazłeś drogę tutaj, do mnie. Jesteś moim ziemdziedzicem.

Morgon kurczowo ścisnął Najwyższego, tak jakby lada chwila miała mu się usunąć spod stóp podłoga wieży. Usłyszał własny głos, dziwnie bezbarwny, dobiegający jakby z

oddali.

- Twoim dziedzicem?

- Tyś jest Naznaczony Gwiazdkami, dziedzic, którego przyjście przewidzieli umarli z Isig, na którego tyle wieków czekałem. Jak sądzisz, skąd wzięła się władza, jaką masz nad prawem ziemi?

- Nie wiem... nie zastanawiałem się nad tym. - Głos opadł mu do szeptu. Pomyślał o Hed. - Zwracasz mi... zwracasz mi Hed?

- Daję ci całe królestwo. Wiem, że je kochasz, razem z jego upiorami, twardogłowymi kmieciami i śmiercionośnymi wichrami... - Najwyższy urwał. Morgon jęknął, osunął się na klęczki i z zalaną łzami twarzą znieruchomiał u jego stóp. Nie mógł wykrztusić słowa; nie wiedział, jakim językiem światła i ciemności przemawiać do sokoła, który tak bezwzględnie pokierował jego życiem. Znowu pomyślał o Hed. Najwyższy też ukląkł i ujął w dłonie twarz Morgona. Miał teraz ciemne jak noc, już nie beznamiętne, lecz pełne bólu oczy harfisty.

- Morgonie - szepnął - tak bym chciał, żebyś nie był kimś, kogo tak kocham.

Objął Morgona i przytulił do piersi. Otoczył go ciszą i Morgon poczuł, że jego serce, ściany wieży i rozgwieżdżone nocne niebo za nimi nie są z krwi, kamienia i powietrza, lecz z nieruchomości harfisty. Płakał bezgłośnie. Coś twardego i kanciastego puchło mu w piersiach, dławilo, ale nie był to smutek.

- Co się stało z twoim synem? - spytał.

- Zginął na wojnie. Został odarty z mocy. Nie mógł już żyć... Przekazał ci wysadzany gwiazdkami miecz.

- I... i od tamtego czasu byłeś sam? Bez dziedzica? Pokładając jedyną nadzieję w obietnicy?

- Tak. Przez tysiące lat żyłem w ukryciu, żywiąc się tylko tą obietnicą. Snem martwego dziecka. A potem przyszedłeś ty, Morgonie. Zrobiłem wszystko, żeby zachować cię przy życiu. Wszystko. Byłeś całą moją nadzieją.

- Dajesz mi nawet rubieże? Pokochałem je. Kocham też mgły nad Herun, vesty, bezdroża... Przestraszyłem się, kiedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo to wszystko kocham. Przyjmowałem każdy kształt i wciąż mi było mało... - Ból niczym ostrze przeszył jego pierś. Chrapliwie wciągnął powietrze w płuca. - Chciałem od ciebie tylko prawdy. Nie wiedziałem... nie wiedziałem, że dasz mi wszystko, co tak pokochałem.

Nie mógł dalej mówić. Wstrząsany szlochom nie miał już pewności, czy zdoła zachować swoją postać. Ale pomógł mu w tym Najwyższy, uspokajając go dotykiem dłoni i tonem głosu. Nadal jednak nie mógł nic powiedzieć; wsłuchiwał się w szept wiatru wdzierają-

cego się do wieży, w plusk kropel deszczu rozbijających się o kamienie. Wsparł czoło o bark Najwyższego. Odpoczywał, kiedy on milczał.

- Nawet się nie domyślałem - powiedział w końcu chrapliwie, uspokoiwszy się trochę.  
- Nigdy nie pozwoliłeś mi sięgnąć wzrokiem tak daleko poza mój gniew.

- Bałem się pokazać ci zbyt wiele. Twoje życie wisiało na włosku, a byłeś dla mnie taki cenny. Chroniłem cię, jak potrafiłem, wykorzystując siebie, twoją ignorancję, nawet twoją nienawiść. Nie wiem, czy kiedykolwiek mi wybaczysz, ale w tobie cała nadzieja królestwa; byłeś mi potrzebny silny, zdezorientowany, szukający mnie wciąż bezskutecznie, choć zawsze byłem blisko ciebie...

- Powiedziałem... powiedziałem Raederle, że jeśli wrócę z rubieży, by prowadzić z tobą pojedynek na zagadki, przegram.

- Nie. W Herun wydobyłeś ze mnie prawdę. To ja tam przegrałem. Rozbroiła mnie twoja szlachetność. - Najwyższy pogładził Morgona po włosach i znowu przytulił do piersi. - Tylko dzięki tobie i morgoli moje serce nie obróciło się w kamień. Byłem zmuszony przełożyć wszystko, co kiedykolwiek jej powiedziałem, na kłamstwo. A ty obróciłeś to z powrotem w prawdę. Byłeś wspaniałomyślny wobec kogoś, kogo nienawidziłeś.

- Nawet w chwilach, kiedy najbardziej cię nienawidziłem, tliła się we mnie zawsze iskierka miłości do ciebie. Ale ty podsuwałeś mi same zagadki... Kiedy byłem pewien, że Ghisteslwchlohm cię zabił, opłakiwałem cię, choć sam nie wiedziałem dlaczego. Kiedy na północnych rubieżach grałem na harfie wiatrom, zbyt zmęczony, by myśleć, to ty mnie wyciągnąłeś... ty przywróciłeś mi chęć do życia... A ja próbowałem cię zabić.

Harfista dotknął jego policzka, odgarnął mu włosy z czoła.

- Bardzo skutecznie odwracałeś ode mnie podejrzenia moich wrogów. Ale nie wiem, co bym zrobił, Morgonie, gdybyś nie opamiętał się tamtego dnia, w Anuin. Gdybym do powstrzymania cię użył swojej mocy, twoje i moje dni byłyby policzone. Gdybym zrozpaczony impasem, do jakiego razem doprowadziliśmy, pozwolił ci się zabić, przechodząca na ciebie moc by cię zniszczyła. Zadałem ci więc zagadkę w nadziei, że tym rozładuję twój gniew.

- Dobrze mnie znałeś - wyszeptał Morgon.

- Nie. Wciąż mnie zaskakiwałeś... od samego początku. Jestem stary jak kamienie na tej równinie. Wielkie miasta wzniesione przez Panów Ziemi legły w gruzach podczas wojny, której nie przeżyłby żaden człowiek. Zrodziła się ona ze swego rodzaju niewinności. Dysponowaliśmy ogromną mocą, a nie zdawaliśmy sobie sprawy z zagrożeń, jakie ona niesie. To dlatego, choć miałem świadomość, że mnie za to znienawidzisz, starałem się, byś

zrozumiał Ghisteslwchlohma i pojął, jak sam siebie niszczy. Żyliśmy kiedyś spokojnie w naszych miastach. Były otwarte na każdą zmianę wiatru. Z każdą porą roku zmieniały się nasze twarze; czerpaliśmy wiedzę ze wszystkiego - od ciszy bezdroży po lodowate wichry, hulające nad północnymi rubieżami. Kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że moc zawarta w każdym kamieniu, w każdym zawirowaniu wody, ma swoją, zarówno twórczą, jak i destrukcyjną stronę, było już za późno. - Urwał. Nie widział już Morgona. - Kobieta, którą znasz pod imieniem Eriel, jako pierwsza z nas zaczęła gromadzić moc. Ja zaś pierwszy zrozumiałem tego implikacje... ten paradoks, który powściąga magię i legł u podstaw studiowania sztuki rozwiązywania zagadek. Dokonałem więc wyboru i zacząłem podporządkowywać sobie wszystkie ziemskie byty z poszanowaniem ich własnych praw, pilnując, by nic tych praw nie zakłóciło. Ale o utrzymanie prawa ziemi musiałem podjąć walkę i wtedy dowiedzieliśmy się, co to wojna. Królestwo, jakim ty je znasz, nie przetrwałoby dwóch dni w ogniu walk, które rozgorzały. Obróciliśmy w perzynę nasze miasta. Wyniszczyliśmy siebie nawzajem. Zniszczyliśmy nasze dzieci, nawet z nich wyszliśmy moc. Miałem już wówczas władzę nad wiatrami i tylko to mnie ocaliło. Udało mi się ograniczyć moc ostatnich Panów Ziemi na tyle, że została im tylko ta, z którą się urodzili. Zepchnąłem ich do morza i ziemia zaczęła powoli leczyć swoje rany. Potem pogrzebałem nasze dzieci. Panowie Ziemi wydostali się po jakimś czasie z morza, ale nie potrafili wyrwać się spod mojej kontroli. A nie mogli mnie odnaleźć, bo zawsze skrywały mnie wiatry...

Jestem jednak bardzo stary i niedługo już będę mógł ich powstrzymać. Wiedzą o tym. Byłem już stary, kiedy stawałem się czarodziejem o imieniu Yrth, by sporządzić harfę i miecz dla swego dziedzica. Ghisteslwchlohm dowiedział się o Naznaczonym Gwiazdkami od umarłych spod Isig i został jeszcze jednym wrogiem, którego kusiła obietnica zdobycia olbrzymiej mocy. Wydawało mu się, że podporządkowując sobie Naznaczonego Gwiazdkami, przejmie dziedziczoną przez niego moc i stanie się Najwyższym nie tylko z imienia. Ta moc by go zabiła, ale nie uznałem za stosowne go ostrzec. Kiedy zorientowałem się, że czeka na ciebie, zacząłem go obserwować - najpierw w Lungold, potem pod Górą Erlenstar. Przybrałem postać harfisty, który zginął podczas zagłady, i wstąpiłem do niego na służbę. Dzięki temu bez mojej zgody nie mogła ci się stać żadna krzywda. Kiedy w końcu znalazłem cię siedzącego w porcie Tol, nieświadomego swojego przeznaczenia, radego z władania Hed, z harfą, na której nie umiałeś grać, w rękach, i koroną królów An pod łóżkiem, uświadomiłem sobie, że czekając na ciebie przez te wszystkie nie kończące się, samotne stulecia, nie spodziewałem się doczekać kogoś, kogo pokocham... - Znowu zawiesił głos. Morgon patrzył na niego przez łyzy. - Hed. Nic dziwnego, że właśnie ta ziemia wydała Nazna-

czonego Gwiazdkami, uwielbianego powszechnie księcia Hed, władcę zacofanych, upartych kmieci, którzy wierzą tylko w Najwyższego...

- Nadal taki jestem... zacofany i uparty. Czy przychodząc tu za tobą, zgubiłem nas obu?

- Nie. To jedyne miejsce, w którym nikt by się nas nie spodziewał. Przemierzając Ymris, nie tykałeś prawa ziemi.

Morgon opuścił ręce.

- Nie śmiałem - powiedział. - Zresztą ty zaprzątałeś wszystkie moje myśli. Musiałem cię znaleźć, zanim Panowie Ziemi znajdą mnie.

- Wiem. Zostawiłem cię w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Ale odnalazłeś mnie, a ja władam prawem ziemi Ymris. Będzie ci potrzebne. Ymris to siedlisko wielkiej mocy. Zaczerpnij wiedzę o nim z mojego umysłu. Nie lękaj się - dorzucił, widząc minę Morgona. - Udostępnię ci na razie tylko to, z resztą poczekamy na lepsze czasy. Siadaj.

Morgon posłuchał. Znowu się rozpadało, niesione przez wiatr krople deszczu wpadały przez okna do komnaty, ale nie było mu zimno. Zmęczona, zniszczona twarz harfisty zmieniała się, wygładzała, kiedy zaczął kontemplować swoje królestwo. Wpatrzony weń Morgon chłonał odmalowujący się na niej spokój, powoli ogarniała go nieruchomość i poczucie kontaktu z Najwyższym. Znowu usłyszał głęboki, widmowy głos, głos sokoła.

- Ymris... tutaj przyszedłem na świat, tu, na Wichrowej Równinie. Wsłuchaj się w jej moc przebijającą spod szumu deszczu, spod krzyków umierających. Jest jak ty, to niezłomna, żyjąca ziemia. Siedź bez ruchu i wsłuchuj się w nią...

Morgon znieruchomiał, znieruchomiał tak, że zaczął słyszeć skrzypienie, z jakim źdźbła trawy uginają się pod ciężarem kropel deszczu, i starożytne imiona, które wymawiano tu przed wiekami. A potem sam stał się trawą.

\* \* \*

Wycofywał się powoli z Ymris, serce waliło mu długą, krwawą historią tej krainy, ciało wtopione w jej zielone pola, w dzikie wybrzeża, dziwne, zadumane knieje, powracało stopniowo do dawnej postaci. Czuł się stary, jak najpierwszy kamień wykuty z Góry Erlenstar na podwaliny pierwszego miasta, i wiedział teraz o wiele więcej, niż chciał wiedzieć o zniszczeniach, jakie trwająca wojna przyniosła Rhun. Wyczuwał w Ymris ogromną, niewykorzystywaną moc i mrużył przed nią oczy jak na widok morza albo góry, której jego umysł nie jest po prostu w stanie ogarnąć. Ale były w tej mocy osobliwe chwile spokoju; nieruchome, tajemnicze jeziora o taflach pełnych odbić; dziwne kamienie, które niegdyś



przemawiały; puszcze przemierzone przez czarne zwierzęta tak płochliwe, że umierały, kiedy spojrzał na nie człowiek; polacie dębowych lasów na zachodnich granicach, gdzie drzewa pamiętały pierwszych osadników napływających do Ymris. To był skarb. Najwyższy podzielił się z nim tylko świadomością Ymris; straszliwa moc, którą widział w oczach sokoła, nadal tkwiła tam nienaruszona, kiedy znowu w nie spojrzał.

Świtało, obok siedziała Raederle. Chrząknął zaskoczony.

- Jak się tu dostałaś?

- Przyleciałam.

Odpowiedź była tak prosta, że w pierwszej chwili nie pojął jej znaczenia.

- To tak jak ja.

- Ty wspiąłeś się po schodach. Ja wzleciałam tu na skrzydłach.

Uśmiechnęła się na widok jego zmieszanej miny.

- Najwyższy mnie wpuścił, Morgonie. Gdyby nie to mogłabym przez całą noc latać z krakaniem dookoła wieży, a i tak bym się tu nie dostała.

Morgon odchrząknął i wziął ją za rękę. Wyczuł, że jest bardzo zmęczona. Uśmiech szybko zgasł w jej oczach, a pojawiło się tam zatroskanie. Najwyższy sta przy jednym z okien. Dniało, na tle jaśniejącego nieba rysowała się zmęczona, ściągnięta, blada twarz harfisty, ale osadzone w niej jasne, tajemnicze oczy należały do Yrtha. Morgon patrzył nań długo, wciąż zahipnotyzowany jego spokojem, aż w końcu wydało mu się, że to nie zmieniające się, znajome oblicze rozplywa się w bladoniebieskim świetle poranka. I wtedy Najwyższy odwrócił się i spojrzał mu w oczy.

Morgon puścił rękę Raederle, wstał sztywno i podszedł do niego. Najwyższy położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie mogłem przejąć wszystkiego - odezwał się Morgon.

- Moc, którą czuleś, Morgonie, drzemie w poległych Panach Ziemi; tych, którzy walczyli na tej równinie po mojej stronie. Ta moc będzie tu na ciebie czekała. Możesz ją wykorzystać w potrzebie.

Słowa Najwyższego przejęły Morgona dziwnym dreszczem.

- A harfa i miecz? - spytał, siląc się na spokój. - Wciąż nie rozumiem ich przeznaczenia.

- Same znajdą dla siebie zastosowanie. Spójrz. Spod chmury, sunącej ospale tuż nad równiną, wyłaniała się biała mgiełka ogromnego stada vest. Morgon patrzył na nie przez chwilę z niedowierzaniem, a potem przytknął czoło do zimnego kamienia.

- Kiedy one tu przybyły?

- Tej nocy.

- A gdzie armia Astrina?

- Połowa wpadła w zasadzkę zastawioną między Tor a Umber, ale awangarda zdołała się przebić i utorować drogę vestom, strażniczkom morgoli i górnikom Danana. Idą za vestami. - Odczytał myśli Morgona i mocniej ścisnął go za ramię. - Nie sprowadziłem ich tutaj, by walczyli.

- A po co?

- Będą potrzebni tobie. Musimy obaj szybko zakończyć tę wojnę. Po to przyszedłeś na świat.

- W jaki sposób?

Najwyższy nie odpowiedział od razu. W jego spokojnych, przygaszonych oczach Morgon dostrzegł niezmiernie znużenie i bardziej znajomą cierpliwość harfisty.

- Książę Hed dołączył ze swoimi kmieciami do armii króla Mathoma stojącej na południowej granicy - odezwał się w końcu łagodnym głosem. - Jeśli chcesz ocalić im życie, znajdziesz sposób.

Morgon odwrócił się na pięcie, podbiegł do okna wychodzącego na południe i wychylił się przez parapet, tak jakby miał nadzieję, że pomiędzy bezlistnymi dębami wypatrzy stąd szarą gromadę kmieci z grabiami, motykami i kosami. Serce ścisnęło mu się z bólu i przerażenia, do oczu napływały łzy.

- Opuścił Hed. Eliard przerobił swoich kmieci w wojowników i opuścił z nimi Hed. Co się dzieje? Czy to już koniec świata?

- Przybył tu bić się o ciebie. I o swoją wyspę.

- Nie. - Morgon odwrócił się od okna, zaciskając pięści, ale nie z gniewu. - Przybył tu, bo ty mu kazałeś. Tak samo morgola i Har... ty ich tu ściągnąłeś, tak jak ściągnąłeś mnie - muskając serce wiatrem, tajemnicą. Czemu to robisz? Co przede mną ukrywasz?

- Wyjawilem ci swoje imię.

Morgon milczał. Zaczął prosić śnieg, wiatr roznosił wielkie płatki. Spadając mu na dłonie, buchały małymi płomykami i znikły. Wzdrygnął się i stwierdził, że nie ma już ochoty zadawać dalszych pytań. Raederle odwróciła się do nich obu plecami. Stojąc tak pośrodku małej komnaty, wydawała się dziwnie odseparowana. Kiedy Morgon podszedł do niej, spojrzała na niego, ale zaraz przeniosła wzrok na Najwyższego.

Zbliżył się i odgarnął jej z twarzy pasemko rozwianych przez wiatr włosów.

- Pora, byś stąd odeszła, Raederle. Pokręciła głową.

- Nie - powiedziała bardzo cicho. - Płynie we mnie krew Panów Ziemi. Po tych

wszystkich wiekach wyczekiwania chociaż jedna przedstawicielka twojej rasy będzie walczyła po twojej stronie. Nie opuszczę żadnego z was.

- Tu będzie niebezpiecznie.

- Przyszłam tu z własnej woli. Żeby być z tymi, których kocham.

Najwyższy stał się na chwilę tylko starym, przygaszonym, samotnym harfistą.

- Nie spodziewałem się tego po tobie - powiedział cicho. - Taka potężna, taka piękna i taka kochająca. Jesteś jak nasze dzieci rosnące w siłę przed tamtą wojną. - Pocałował rękę Raederle i spojrzał na małą bliznę na poduszce jej dłoni. - Wiatrów jest dwanaście - zwrócił się do Morgona. - Okiełznane, umiejętnie kontrolowane stanowią broń precyzyjniejszą i straszniejszą od mocy jakiegokolwiek czarodzieja w królestwie. Spuszczone z uwięzi mogłyby spustoszyć królestwo. Służą mi również za oczy i uszy, bo wszystko kształtują, słyszą wszelkie głosy i ruchy, i są wszędzie... Klejnot, który trzymała w dłoni Raederle, został wycięty i oszlifowany przez wiatry. Wykonałem go pewnego dnia, bawiąc się z nimi na długo przed tym, zanim wykorzystałem je w naszej wojnie. W tym kamieniu odzwierciedlone zostało wspomnienie tamtego dnia.

- Po co mi to mówisz? - spytał Morgon lekko drżącym głosem. - Ja nie potrafię kontrolować wiatrów.

- Wiem. Jeszcze tego nie potrafisz. Na razie nie zaprzataj sobie tym głowy. - Otoczył Morgona ramieniem i wciągnął go znowu bez trudu w swą nieruchomość. - Nadstaw ucha. W tej komnacie możesz usłyszeć głosy wszystkich wiatrów królestwa. Wsłuchaj się w mój umysł.

Morgon otworzył się na milczenie Najwyższego. Nieokreślone, niezborne pomruki, dobiegające zza ścian, przefiltrowane przez umysł Najwyższego stały się czystymi, pięknymi tonami wydobywanymi z wysadzanej gwiazdkami harfy. Dźwięki te napełniły serce Morgona łagodnymi, lekkimi letnimi wietrzykami i porywistymi, dzikimi wichrami, które tak pokochał; ich powolny, miarowy rytm zlał się z tętnem krwi pulsującej w jego żyłach. Zapragnął nagle zatrzymać tę muzykę i harfistę w ramach tej chwili do czasu, kiedy białe zimowe niebo rozstąpi się ponownie przed światłem.

Muzyka ścichła. Nie mógł dobyć z siebie głosu. Najwyższy uścisnął go lekko i spojrzał mu w oczy.

- A teraz szykujmy się do bitwy - powiedział. - Ty odszukaj Heureu Ymrisa. Tym razem ostrzegę cię: dotykając jego umysłu, wyzwolisz zastawioną na ciebie pułapkę. Panowie Ziemi dowiedzą się gdzie przebywasz i że jest z tobą Najwyższy. Rozpętasz na nowo wojnę na Wichrowej Równinie. Siła ich umysłów jest niewielka - ograniczam ją; ale mają władzę

nad umysłem Ghisteslwchlohma i mogą wykorzystać przeciwko tobie jego moc. Mnie jego zaklęcia się nie imają.

Morgon spojrział na Raederle. Wyczytał z jej oczu to, co już wiedział: że w żaden sposób nie przekona jej, by ich opuściła. Pochylił głowę i wysłał swoją świadomość w wilgotną ziemię wokół wieży. Dotknął żdźbła trawy, ukształtował je umysłem od korzonka po czubek. Zakorzeniona również w strukturze prawa ziemi, w umyśle Heureu stała się jego łącznikiem z królem Ymris.

Wyczuł nieustający, dokuczliwy ból, mieszaninę bezsilnego gniewu i rozpacz, usłyszał odległy szum morza. Zbadał klif i kamień na brzegu i rozpoznał pas wybrzeża Meremont. Zwęszył zapach wilgotnego drewna i popiołu; król leżał w na wpół spalonej rybackiej chacie na plaży, nie dalej jak dwie mile od granicy Wichrowej Równiny.

Podniósł wzrok, chciał coś powiedzieć, ale zalała go fala, wypłukując wszystkie myśli. Wydało mu się, że zagląda długim, mrocznym korytarzem w obce, usiane złotymi cętkami oczy Ghisteslwchlohma.

Poczuł rodzącą się więź między umysłami. Przestraszony zerwał ją tak gwałtownie, że się zatoczył. Najwyższy chwycił go pod ramię, podtrzymywał. Morgon znowu chciał coś powiedzieć, ale oczy sokoła zamknęły mu usta.

Czekał, aż uspokoi się walące serce. Raederle wydawała mu się teraz jakaś odległa, należąca do innego świata. Zaprzagnął przerwać paralizujące ich wszystkich milczenie, ale znajdował się chyba pod działaniem zaklęcia, był pozbawionym wyboru przedłużeniem woli Najwyższego. Wyczuł w powietrzu jakieś poruszenie, zaraz potem następne. Ujrzał przed sobą ciemnowłosą, subtelnie piękną kobietę z rasy Panów Ziemi, którą znał jako Eriel, obok niej stał Ghisteslwchlohma.

Najwyższy odpierał przez chwilę wymierzoną w niego moc. Kobieta poznała chyba harfistę, bo w jej oczach pojawiło się zdumienie i groza. Czarodziej na widok Najwyższego, którego tak długo szukał, omal nie zerwał blokady, którą nałożono na jego umysł. W oczach sokoła, zimnych jak serce północnych rubieży, zabłysła iskierka uśmiechu.

- Nawet śmierć jest zagadką, mistrzu Ohmie - powiedział.

Oczy Ghisteslwchlohma poczerniały z wściekłości. Jakaś siła odrzuciła Morgona na ciemną ścianę, ta rozstała się przed nim i runął w świetlistą, granatową mgiełkę iluzji. Usłyszał jeszcze krzyk Raederle i zobaczył kruka. Chciał się go uchwycić, ale ptak przefrunął mu między dłońmi. Poczuł dotknięcie czyjś umysłu. Czar prysł. Połknął go rozbłysk mocy. Ujrzał znowu twarz Ghisteslwchlohma rozmywającą się w dziwnym blasku. Poczuł szarpnięcie u boku i krzyknął, choć nie wiedział, co mu odbierają. Przekreślił się na plecy i w

rękach Ghisteslwchlohma zobaczył miecz wznoszący się powoli, ściągający ku sobie cień i światło, aż w końcu mrokiem i ogniem rozbłysły nad nim gwiazdki. Nie mógł się poruszyć; gwiazdki przykuwały jego wzrok, jego myśli. Patrzył, jak osiagają zenit, zatrzymują się tam, a następnie spadają nań zamazaną smugą. I nagle znowu zobaczył harfistę stojącego na drodze ich upadku spokojnie, jak niegdyś w królewskiej sali tronowej w Anuin.

Z ust Morgona wyrwał się krzyk. Miecz, spadając ze straszliwą szybkością, dosięgnął Najwyższego, rozciął mu serce i rozprysł się w rękach Ghisteslwchlohma. Morgon odzyskał władzę w członkach. Zerwał się i podtrzymał Najwyższego. Zaparło mu dech w piersiach, ostrze bólu przeszło jego własne serce. Najwyższy chwycił go za ramiona; miał kalekie dłonie harfisty, poblížnione dłonie czarodzieja. Próbował coś powiedzieć. Morgon wpatrywał się przez łzy w jego zmieniającą się twarz. W piersiach coś mu wzbierało, coś na kształt krzyku furii i cierpienia, ale Najwyższy zaczynał już znikać. Uniósł jeszcze dłoń ukształtowaną z czerwonego kamienia, a może z ognia, i dotknął gwiazdek na czole Morgona.

Wyszeptał imię Morgona. Jego dłoń zsunęła się na serce Morgona.

- Uwolnij wiatry.

Z ust Morgona wyrwał się krzyk, który nie był wrzaskiem, lecz głosem wiatru. Najwyższy zmienił się w jego rękach w płomień, a potem stał się wspomnieniem. Dźwięk, który wydał z siebie Morgon, wstrząsnął wieżą; była to niska, basowa nuta, która przybierała coraz bardziej na sile, wprawiając w wibracje kamienne ściany. Wieżę szturmowały wiatry; Morgon czuł, jak nacierają na nią raz po raz. Niewypowiedziany żal szarpał nim, niczym struną harfy. Nie wiedział już, który z tych wszystkich dzikich, chaotycznych, pięknych głosów, jakie go otaczały, należy do niego. Sięgnął po swoją harfę. Zdobiące ją gwiazdki były teraz czarne jak noc. Przesunął dłonią, a może ostrzem wiatru, po strunach. Popękały. Kiedy z jękiem zrywała się najniższa, kamienie i iluzja kamieni rozsypały się wokół niego i zaczął spadać.

Wiatry koloru kamieni - ognia, złota, nocy - zawirowały i uleciały. Wieża grzmiała i zapadała się, tworząc gigantyczny kurhan. Morgon spadł na czworaki na trawę obok. Nie wyczuwał nigdzie mocy Ghisteslwchlohma ani Eriel, tak jakby Najwyższy w ostatnim momencie wciągnął ich za sobą w śmierć. Wirujące płatki śniegu topniały w zetknięciu z ziemią. Niebo było trupio blade.

Umysł Morgona tętnił prawem ziemi. Słyszał milczenie korzonków traw pod rękami; wpatrywał się w gruzy Wichrowej Wieży nieruchomymi oczyma upiora z An. Na rozmokłym zboczu wzgórze na bezdrożach w strugach deszczu chyliło się ku upadkowi wielkie drzewo; czuł, jak jego korzenie wysuwają się z ziemi. Trębacz armii Astrina unosił do ust swój długi, złocisty instrument. W umysł Morgona wdarły się myśli ziemwładców pełne niezrozumiałego dla nich żalu i strachu. Pod jego wspartymi o trawę dłońmi zdawało się formować całe królestwo, odciągając go od tych zimnych, pustych ugorów do eleganckiego dworu w Anuin. Był kamieniem, wodą, umierającym polem, ptakiem, który walczy z wiatrem, rannym i zdesperowanym królem na plaży sąsiadującej z Wichrową Równiną, vestą, upiorami, tysiącem kruchych tajemnic, płochliwymi wiedźmami, gadającymi świniami, samotnymi wieżami, dla których musiał znaleźć miejsce w swoim umyśle. Trębacz przytknął wargi do ustnika i zadał. W tym samym momencie Wielki Krzyk armii An przetoczył się nad równiną. Morgona przytłoczyły nagle te dźwięki, paląca męka wiedzy, poczucie straty wżerające się w serce. Krzyknął znowu i przypadł do ziemi, zanurzając twarz w mokrej trawie.

Czyjaś moc wdarła się w jego umysł, zacierając więzi, które ustanowił z ziemią. Uświadomił sobie, że wraz ze śmiercią Najwyższego z mocy Panów Ziemi zerwane zostały

wszelkie pęta. Czuł ich starożytne i dzikie jak ogień i morze, piękne i śmiertcionośne umysły, zamierzające go zniszczyć. Nie wiedział, jak z nimi walczyć. Nie poruszając się, obserwował ich okiem umysłu, patrzył, jak nadciągają tyralierą od morza, płyną niczym fala pod postaciami ludzi i zwierząt, poprzedzani przez swoje wężące umysły. Te umysły dotykały go raz po raz, wykorzeniały z niego wiedzę, przerywały więzi, które odziedziczył, aż w końcu zaczęła w nim gasnąć świadomość drzew w dębowym lesie, vest, koni pociągowych z Hed, kmieci z Rhun, maleńkich cząstek królestwa.

Odczuwał to jako jeszcze jeden rodzaj straty, strasznej i oszałamiającej. Próbował stawiać opór, ale na próżno. Od południa i północy pędziły przez równinę armie Astrina i Mathoma w jaskrawych bojowych barwach, przywodzących na myśl umierające liście na tle zimowego nieba. Morgon wiedział, że zostaną rozbici, może nawet wycięci w pień; żadna żywa świadomość ani pamięć umarłego nie była w stanie oprzeć się mocy, która karmiła się nawet jego własną mocą. Mathom jechał na czele swoich sił; Har przygotowywał między drzewami swoje vesty do wypuszczenia na równinę. Górnicy Danana ze strażniczkami morgoli po obu flankach ruszali już za wojskami Astrina. Nie wiedział, jak im pomóc. I nagle uświadomił sobie, że od południowego wschodu, śpiesząc mu na ratunek, wkracza na równinę Eliard z farmerami z Hed uzbrojonymi co najwyżej w młoty, noże i gołe ręce.

Uniósł głowę; świadomość ich obecności osłabła, bo w tym momencie czyjś umysł nałożył się na jego umysł i przyćmił go. Całe królestwo zdało się pociemnieć; od Morgona odpływały fragmenty jego życia. Starał się je zatrzymać, wczepiał się palcami w trawę, z poczuciem, że Najwyższy na próżno pokładał w nim nadzieje. I nagle, w jakimś zamglonym zakamarku umysłu otworzyły się drzwi. Ujrzał Tristan wychodzącą na ganek domu w Akren, patrzącą w stronę kontynentu.

Podźwignął się na kolana, a następnie, mobilizując cały upór, jaki wpoila mu mała wysepka, wstał. Wiatr smagnął go po twarzy; ledwie utrzymał równowagę. Stał w samym sercu chaosu. Wokół niego mieli lada chwila zetrzeć się żywi, umarli i Panowie Ziemi; odzierano go z prawa ziemi królestwa; uwolnił wiatry. Ryczały teraz nad królestwem, opowiadając mu o kładzionych pokotem lasach, o pustoszonych wioskach, o fruwających w powietrzu strzechach i gontach. Burzyło się morze; jeśli zaraz nie przystąpi do działania, pochłonie Heureu Ymrisa. Eliard zginie, jeśli nie zdoła go zatrzymać. Spróbował dosięgnąć umysłu Eliarda, ale przeszukując równinę, zaplątywał się tylko w pajęczynę innych umysłów.

Wydzierały mu wiedzę i moc, jak morze podmywające klif. Nie widział przed nimi ucieczki, nie potrafił wytworzyć w swoim umyśle żadnej wizji spokoju, która by je przed nimi osłoniła. I nagle jego wzrok przyciągnęło jakieś lśnienie; w trawie przed nim leżała

pęknięta harfa, na połyskujących, pozrywanych strunach grał cicho wiatr.

Runęła nań czyjaś silna, czysta furia, przełamując wszystkie blokady nałożone na jego umysł i pozostawiając go czystym, jak ogień. Obok stała Raederle i swoim gniewem uwalniała go na krótki moment spod obcych wpływów. Podpełził do niej na czworakach, bo wciąż żył, bo była z nim. Przez tę krótką chwilę odpowiedziała mu, co musi zrobić. Potem zmaterializowały się przed nim siły królestwa. Kości umarłych, błyszczące kolczugi i jasne tarcze żywych, białe jak śnieg vesty, strażniczki morgoli z długimi włóczniami - wszyscy starli się z bezlitosną, nieludzką mocą Panów Ziemi.

Po raz pierwszy usłyszał żalony krzyk umierającej vesty, wzywającej na pomoc swoje siostry. Czuł imiona umarłych wymazywane z jego umysłu. Mężczyźni i kobiety walczyli włóczniami i mieczami, oskardami i toporami bojowymi z nieprzyjacielem, który ani na chwilę nie zachowywał jednego określonego kształtu, lecz podlegał ciągłym, płynnym przemianom, doprowadzając do rozpaczki przeciwnika i siejąc śmierć w jego szeregach. Morgon czuł, jak umierają - byli jego częstkami. Górnicy Danana padali jak wielkie, ociążone drzewa; kmiecie z Hed, widząc przed sobą wroga, który przekraczał ich wszelkie wyobrażenia, coś, czego istnienia nie sugerowała nigdy ich spokojna historia, tracili głowę i nawet się nie bronili. Śmierć każdego z nich Morgon odczuwał tak, jakby wrywano coś z niego z korzeniami. Równina jawiła mu się jako żywy, zdesperowany organizm, częśćka jego samego tocząca beznadziejną walkę o przeżycie z mroczną, wijącą się, ostrożną bestią, która postanowiła uśmiercić królestwo. W kilka chwil od początku bitwy wyczuł, że umiera pierwszy z ziemwładców.

Czuł, jak umysł rannego i pozostawionego samemu sobie Heureu Ymrisa usiłuje ogarnąć ogrom nieszczęścia, jakie spadło na jego ziemię. Jego ciało nie wytrzymało tej tortury. Umarł samotnie, mając w uszach huk rozbijających się o brzeg fal i krzyki konających na Wichrowej Równinie. Morgon poczuł, jak energia życiowa króla wsiąka z powrotem w Ymriss. Astrin, walczący o życie na polu bitwy, przeżył raptowny przypływ żalu i nagły wstrząs, z jakim przebudził się w nim instynkt ziemi.

Jego żal udzielił się Morgonowi. Nie żył Najwyższy, nie żył Heureu, umierało w nim samo powierzone jego pieczy królestwo. Otworzył umysł na dźwięk harfy, który był jednocześnie wołaniem do południowego wiatru buszującego wśród bezdroży. Nuta po nucie - każda z nich była dostrojona do smutku, jaki go przepelniał - wzywał rozpuszczone wiatry z powrotem na Wichrową Równinę.

Przybywały na ten zew z północnych rubieży, niosąc lodowate zimno; z bezdroży, niosąc deszcz; od morza, niosąc smak wodorostów i śniegu; z Hed, niosąc zapach wilgotnej



ziemi. Niszczyły wszystko na swej drodze. Przydusiły do ziemi trawę na całej równinie. Wyrywały z korzeniami las na jej skraju. Uniosły Morgona, zawodząc mrokiem jego żaloby, szarpały powietrze swoim przenikliwym, wściekłym poświstem. Rozpędziły na wszystkie strony walczące armie. Gnały przed sobą konie bez jeźdźców; unosiły umarłych z powrotem do wspomnień; tarcze fruwały nad równiną jak suche liście; ludzie przywierali do ziemi, próbowali się czołgać, szukać jakiejś osłony. Wiatrom nie byli w stanie oprzeć się nawet Panowie Ziemi, w ich podmuchach nie ostał się żaden kształt, jaki przyjmowali.

Morgon, z umysłem rozczłonkowanym na dźwięki harfy, starał się okiełznać rozpętany żywioł. Basowy, północny wiatr przeniknął go swoją głęboką nutą; wypełniała jego umysł dopóty, dopóki nie zaczął wibrować dźwiękiem, niczym struna harfy. Wiatr zostawił go w końcu w spokoju; Morgon pochwycił inny głos, cienki i przenikliwy, głos odległych bezdroży. Przeszył mu umysł słodką, straszną nutą. Morgon zapłonął wraz z nim, wchłonął go. Kolejny wiatr, wiatr znad morza, wdarł się weń z dziką pieśnią. Morgon wyśpiewał mu w odpowiedzi tę dzikość, zmieniał w sobie głosy, głosy wiatrów, łagodził je. Fale nacierające na wybrzeża Hed zaczęły się uspokajać. Następny wiatr wcisnął się z pieśnią w umysł Morgona. Śpiewał mu o zimowej ciszy na przełęczy Isig i o dźwiękach harfy rozbrzmiewających wciąż echem w ciemnościach pod Górą Erlenstar. Morgon ukształtował tę ciszę i tę ciemność we własną pieśń.

Walcząc o podporządkowanie sobie wiatrów, nie zwracał uwagi na umysły Panów Ziemi. Moc wiatrów wypełniała go, rzucała mu wyzwanie, a jednocześnie broniła. Dopóki pozostawał w nie wpleciony, żaden umysł na równinie nie miał do niego dostępu. Jakąś drobną cząstką siebie obserwował królestwo, z którym był związany. Wojownicy umykali pod osłonę granicznych lasów. Ogarnięci paniką porzucali broń, nie zabierali nawet swoich rannych. Odgłosy jego zmagania z wiatrami niosły się aż po Caithnard, Caerweddin i Hed. Uszli z równiny również czarodzieje; czuł ich oddalającą się moc, którą oszołomieni i zalęknieni próbowali się osłaniać. Zmierzch nasunął się na równinę, za nim postępowała noc, a Morgon brał się za bary z zimnymi, podstępными, wilczogłosymi wiatrami nocy.

Czerpał z wiatrów ich moc i kształtował ją z bezbłędną precyzją. Potrafiłby już nakazać wschodniemu wiatrowi, by wcisnął się pod kurhan, który piętrzył się obok niego, i rozrzucił kamienie po całej równinie. Potrafiłby podnieść z ziemi pojedynczy płatek śniegu albo obrócić na plecy którąś z poległych strażniczek, by zobaczyć jej twarz. Na obrzeżach równiny całą noc płonęły setki ognisk. Mieszkańcy królestwa, nie zmrzywszy oka, śledzili zmagania, w których Morgon chwila po chwili wysnuwał z upływających godzin ich los. Opatrywali rannych i zastanawiali się, czy przetrwają wzbudzający grozę proces

przechodzenia mocy z Najwyższego na jego dziedzica. W końcu Morgon podarował im świt.

Jemu samemu skojarzył się z okiem wpatrującym się weń poprzez białą mgłę. Wycofał się w siebie z rękoma pełnymi wiatrów. Był sam na cichej równinie. Panowie Ziemi wycofywali się na zachód. Morgon stał przez chwilę nieruchomo; nie miał pewności, czy spędził tu jedną noc, czy całe stulecie. Potem wypuścił sondę za uchodzącymi Panami Ziemi.

Uciekali przez Ruhn. Palili za sobą miasteczka, wsie i dwory lordów; przeorywali swą mocą pola, lasy i sady. Ginęli zwierzęta i ludzie, którzy znaleźli się w zasięgu ich umysłów. Sunąc świadomością przez to pobojoywisko, poczuł, jak narasta w nim muzyka harfy. Posłuszne mu już wiatry ocknęły się na ten dźwięk gniewne, niebezpieczne i wysssały go z jego postaci. Stał się półczłowiekiem, półwiatrem, harfistą grającym pieśń śmierci na harfie bez strun.

Wtedy sięgnął po całą moc, jaka leżała pogrzebana pod ruinami wielkich miast Ymris. Wyczuł w niej umysł Najwyższego i nareszcie dowiedział się, dlaczego Panowie Ziemi z taką zaciekłością walczyli o swoje miasta. Wszystkie one były kurhanami, zburzonymi pomnikami na grobach ich umarłych. Ta moc leżała pod ziemią uśpiona od tysiący lat. Ale tak samo, jak to miało miejsce z upiorami An, ich umysły można było przebudzić wspomnieniem, i Morgon, ryjąc świadomością pod gruzami, budził ich swoją żalobą. Nie widział ich. Ale na Wichrowej Równinie i na Równinie Królewskich Ust, w ruinach Ruhn i wschodniego Umber gromadziła się moc, zalegając nad kamieniami niczym niesamowite, naładowane grozą napięcie przed burzą. To napięcie dawało się wyczuć w Caerweddin i ocalałych jeszcze miastach. Nikt tego świtu nie odzywał się słowem; wszyscy czekali.

Morgon ruszył przez Wichrową Równinę. Szła za nim armia umarłych Panów Ziemi; rozlewali się po Ymris, szukali żyjących Panów Ziemi, by zakończyć tę wojnę. Wiatry wypłaszały Panów Ziemi spod postaci kamieni i liści, w których się ukryli; umarli wypierali ich z milczącym zdecydowaniem z krainy, którą niegdyś tak kochali. Rozproszyli się po bezdrożach, po wilgotnych, mrocznych kniejach, po nagich wzgórzach, po lodowatych taflach lungoldzkich jezior. Morgon, poprzedzany przez wiatry, postępując na czele umarłych, ścigał ich aż na próg zimy. Ścigał ich z taką samą nieustępliwością, z jaką oni gnali go kiedyś do Góry Erlenstar.

Kiedy spychał ich pod górę, po raz ostatni spróbowali stawić mu czoło. Ale natrafili na mur umarłych, a z góry runęły na nich wściekłe wiatry. Mógł ich wtedy zniszczyć, odrzec z mocy, tak jak oni próbowali uczynić to jemu. Ale coś z ich piękna tliło się nadal w Raederle, i to coś podpowiadało mu, jacy niegdyś byli; i nie miał serca ich zabijać. Nie tknął nawet ich mocy. Zepchnął wszystkich pod Górę Erlenstar, gdzie ukryli się przed nim w

kształtach wody i klejnotów. Zapieczętował całą górę - wszystkie korytarze i ukryte źródła, zewnętrzne stoki i skalne korzenie - swoim imieniem. Pośród drzew i głazów wokół góry, w świetle i na wietrze, postawił na straży umarłych. Potem uwolnił wiatry od swojej pieśni, a one ściągnęły na całe królestwo zimę z północnych rubieży.

\* \* \*

Dokończywszy dzieła, wrócił na Wichrową Równinę przyciągany wspomnieniami. Trawę i zwały gruzów przykrywał śnieg. Spomiędzy nagich drzew na obrzeżach równiny wzbijały się w niebo dymy ognisk, bo nikt stąd jeszcze nie odszedł. Zastępy ludzi i zwierząt wyczekiwały cierpliwie jego powrotu. Pogrzebali swoich poległych i posłali po zapasy żywności; gotowali się do spędzenia tu zimy.

Morgon rozstał się przy zburzonej wieży z wiatrami i powrócił do swej postaci. Usłyszał rozmowę morgoli z Goh; zobaczył Hara opatrującego wciąż zranioną nogę. Nie wiedział, czy Eliard przeżył. Podniósł wzrok na ogromny kurhan i zbliżył się do tego źródła swej żałoby. Przyłożył czoło do jednego z zimnych, pięknych kamieni, rozpostarł na nim ramiona, tak jakby chciał objąć całe to rumowisko i przygarnąć je do serca. Poczul się nagle widmem, którego przeszłość pogrzebana została pod tymi zwałami gruzów. Tymczasem z lasów zaczęli się wyłaniać ludzie. Zauważył ich, nie oglądając się, okiem umysłu: maleńkie figurki brnące przez pustą, przysypaną śniegiem równinę. Kiedy się w końcu odwrócił, otaczali go już milczącym kręgiem.

Wyczuł, że to on ich tu przyciągnął, tak jak jego gnało zawsze do Detha: bez wyraźnego powodu, bez pytań, instynktownie. Przy nim stali ziemwładcy królestwa i czwórka czarodziejów. Nie odzywali się. Nie wiedzieli, co powiedzieć, widząc, jaką mocą dysponuje i w jakiej pograżony jest żałobie; bez słów wyczuwali w nim coś, co przynosi wreszcie pokój na tę starożytną równinę.

Przesunął wzrokiem po twarzach, które tak dobrze znał. Oni też byli wstrząśnięci śmiercią Najwyższego i rzezią, jaka się tu niedawno rozegrała. Zobaczył wśród nich Eliarda i serce mu się ścisnęło. Takim go jeszcze nie widział. Eliard twarz miał bladą i stężalą. Jedna trzecia jego kmieci poległa; odesłał już ich ciała na Hed, by pochowano je tam w zamrażniętej ziemi. Ta zima miała być trudna dla pozostałych przy życiu i Morgon nie wiedział, jak pocieszyć brata. Ale w oczach patrzącego nań Eliarda było jeszcze coś - coś, czego próżno by szukać u poprzednich książąt Hed: świadomość tajemnicy.

Morgon przeniósł wzrok na Astrina. Nowy król Ymris nie doszedł jeszcze do siebie po śmierci Heuru i nie oswoił się z mocą, którą tak niespodziewanie otrzymał.

- Przykro mi - powiedział Morgon. Własne słowa zabrzmiały mu w uszach jakoś banalnie i pusto. - Czułem, jak umiera. Ale nie potrafiłem... nie mogłem mu pomóc. Tyle śmierci czułem...

Skierowało się na niego jedno białe oko.

- Ale ty żyjesz - wyszeptał Astrin. - Najwyższy. Przeżyłeś, by w końcu zająć swoje miejsce i przynieść nam pokój.

- Pokój. - Morgon czuł za sobą zimne jak lód kamienie.

- Morgonie - odezwał się cicho Danan - widząc, jak wali się ta wieża, straciliśmy wszyscy nadzieję, że dożyjemy świtu.

- Wielu nie dożyło. Wielu twoich górników zginęło.

- Ale wielu uszło z życiem. Mam ogromną górę porośniętą mnóstwem drzew; ty ją nam zwróciłeś, mamy dokąd wracać.

- Dożyliśmy chwili przejścia mocy z Najwyższego na jego dziedzica - powiedział Har.

- Zapłaciliśmy za to wysoką cenę, ale... przetrwaliśmy. - W czystym, zimnym świetle jego oczy były dziwnie łagodne. Poprawił sobie opończę na ramionach. - Cudownie rozegrałeś tę grę i zwyciężyłeś. Nie rozpaczaj po Najwyższym. Był stary i tracił już moc. Zostawił ci królestwo uwikłane w wojnę. Nie zawiodłeś jego nadziei. Teraz możemy spokojnie wracać do domów i nie obawiać się obcych. Kiedy zimowe wiatry zakołaczą do naszych drzwi, a my oderwiemy się od kominków, żeby otworzyć, i ujrzymy w progu Najwyższego, ty nim będziesz. Jesteś darem, który on nam zostawił.

Morgon milczał. Pomimo tego, co tu słyszał, znowu ogarnął go smutek. I jednocześnie wyczuł u kogoś z nich podobny smutek, żalobę, której nie są w stanie rozwiać żadne słowa. Poszukał źródła tego smutku i znalazł je w zmęczonym, przytłoczonym przez cień śmierci Mathomie. Podszedł do niego.

- Kto? - spytał.

- Duac - odparł król. Odetchnął głęboko. Stał w śniegu niczym mroczne widmo. - Nie chciał zostać w An... to była jedyna sprzeczka, którą z nim przegrałem. Mój ziemdziedzic o morskich oczach...

Morgon nie odzywał się. Ileż jego więzi uległo zerwaniu, ilu śmierci nie wyczuł. I nagle coś sobie przypomniał.

- Ty wiedziałeś, że Najwyższy tu zginie - powiedział.

- On sam to przewidział - powiedział Mathom. - Pochowaj go tutaj, w miejscu, w którym chciał umrzeć. Niech spoczywa w pokoju.

- Nie mogę - szepnął Morgon. - Byłem jego śmiercią. Wiedział o tym. Wiedział przez

cały czas. Byłem jego przeznaczeniem, a on moim. Nasze żywoty splatały się w jedną nieprzerwaną, pokrętną grę w zagadki... To on wykuł dla mnie miecz, od którego zginął, i ja przyniosłem tu ten miecz na jego zgliszcze. Gdybym się zastanowił... gdybym wiedział...

- To co byś zrobił? On nie miał siły, by zwyciężyć w tej wojnie, a wiedział, że ty tego dokonasz, jeśli przekaże ci swoją moc. W tej grze wygrał. Pogódź się z tym.

- Nie mogę... jeszcze nie teraz. - Morgon położył dłoń na kamieniu, a potem spojrzał w górę i omiótł wzrokiem niebo, szukając tam kogoś, kogo nie wyczuwał swoim umysłem. - Gdzie Raederle?

- Przez jakiś czas była ze mną - odezwała się morgola. Twarz miała spokojną jak zimowy poranek. - Przypuszczam, że poszła cię szukać, ale może chce w samotności oplakać śmierć brata. - Uśmiechnęła się, kiedy Morgon spojrzał jej w oczy. - Morgonie, on nie żyje. Ale przez krótką chwilę miał w tobie kogoś, kogo kochał.

- W tobie również - szepnął Morgon. Odwrócił się, by szukać gdzieś w swoim królestwie pocieszenia. Stał się śniegiem, albo powietrzem, a może został sobą; nie był tego pewien. Wiedział tylko, że nie pozostawiał w śniegu śladów stóp, po których ktoś mógłby za nim podążać.

Wędrował po ziemi, przyjmując wiele postaci i odnawiając zerwane więzi, dopóki nie pozostało w królestwie ani jedno drzewo, ani jedno zwierzę, ani jeden owad, ani jeden człowiek, którego obecności nie byłby świadom - z wyjątkiem pewnej kobiety. Wiatry, które w swej nienasyconej ciekawości zajrzały wszędzie, opowiadały mu o pozbawionych dachu nad głową lordach i wojownikach z Ymris, szukających schronienia na dworze Astrina, o kupcach dostarczających morzem do tej spustoszonej wojną krainy ziarno z An i Herun oraz piwo z Hed. Powiedziały mu o powrocie vest do Osterlandu i o tym, jak król An odesłał swoich umarłych z powrotem pod ziemię Trzech Prowincji. Przysłuchiwały się rozmowom czarodziejów radzących w Caithnard nad odbudową szkoły w Lungold, o Mistrzach, którzy rozwiązywali spokojnie ostatnie pozostające jeszcze bez odpowiedzi zagadki ze swych list. Morgon czuł, że Har czeka na niego przy swoim zimowym kominku z wilkami warującymi u stóp. Wyczuwał od czasu do czasu spojrzenie morgoli wybiegające poza ściany jej dworu, poza wzgórze okalające Herun, szukające go, szukające Raederle.

Przesiadywał całymi dniami na rubieżach, pod postacią splotu starych korzeni, i usiłował stłumić w sobie żalobę, analizując krok po kroku gry prowadzone przez harfistę, próbując je zrozumieć. Ale zrozumienie nie przyniosło mu pocieszenia. Próbował grać na harfie ogromnej jak nocne niebo, o ramie wysadzonej gwiazdami, ale nawet to nie dawało mu ukojenia. Nie mógł sobie znaleźć miejsca, schodził z nagich, zimnych szczytów w ciche lasy,

zaglądał do tawern i kmiących chat, gdzie witano go uprzejmie, biorąc za wędrowca pragnącego się ogrzać przy kominku. Sam nie wiedział, czego chce jego serce; dlaczego widmo harfisty, miał odpoczywać, wciąż się za nim snuje.

Pewnego dnia wygrzebał się spod zasy śniegu na północnych rubieżach, i nie zastanawiając się, czemu to robi, powędrował na południe. W drodze przez królestwo wciąż zmieniał postać; pod żadną nie czuł się dobrze. Kiedy minął się ze zdążającą na północ wiosną, jego niepokój się nasilił. Wiatry nadlatujące z zachodu i południa niosły zapach świeżo zaoranej ziemi i słońca. Nastroiły jego wichrową harfę spokojniejszymi tonami. On sam nie czuł się spokojny. Buszował pod postacią niedźwiedzia po leśnych ostępach, pod postacią sokoła wlatywał w południe w pogodne niebo. Pod postacią mewy płynął przez trzy dni na dziobie kupieckiego statku, aż w końcu marynarze zwrócili uwagę na jego dziwne, nieruchome oczy i przepędzili go. Lecąc, pełznąc, galopując z dzikimi końmi, posuwał się wybrzeżem Ymris i wreszcie dotarł do Meremont. Stamtąd podążył za wonią własnych wspomnień i znalazł się znowu na Wichrowej Równinie.

Stanął na niej pod postacią księcia Hed, ze znamionami na dłoniach i trzema gwiazdkami na czole. Wokół rozbrzmiewały echa bitwy; kamienie spadały i znikły. Trawy kołysały się niczym pozrywane struny harfy. Strzała światła, wypuszczona przez zachodzące słońce, poraziła mu wzrok. Odwrócił się plecami do zachodu i zobaczył Raederle.

Była na Hed, na plaży pod Tol. Siedziała na kamieniu, rzucając w morze kawałki pokruszonej muszli.